

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

ŻELAZNA STOPA

Jack London

*Ta ziemia, scena cierpień zadawanych światu,
Przyprawia cię o md/ości...
Za zmianą wciąż zmiana.
A jednak bądź cierpliwy.
Może nasz dramaturg
W piątym akcie pokaże, co znaczy ten dramat.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MÓJ ORZEŁ

Lato. Miękki wietrzyk ledwo porusza gałęziami sekwoi, a Dzika Woda pluska łagodnie po omszałych kamieniach. Motyle kąpią się w promieniach słońca i zewsząd dochodzi usypiające brzęczenie pszczoł. Jest tak cicho, a ja siedzę tutaj pogrążona w myślach i niepokoju. Bo niepokojem napawa mnie ta cisza. Wydaje się nierzeczywista. Wypełnia cały świat, lecz jest to cisza przed burzą. Wyteżam słuch i wszystkie zmysły, by złowić oznakę nadciągającej burzy. Oby nie wybuchła przedwcześnie Oby nie przedwcześnie!

Nic dziwnego, że jestem niespokojna. Myślę, myślę — nie mogę przestać myśleć. Tak długo przebywałam w samym gąszczu życia, że przygnębia mnie cisza i spokój. I nie mogę powstrzymać się od rozmyślań nad szaleńczym huraganem śmierci i zagłady, tak bliskim już rozpętania. Brzmią mi w uszach jęki konających; widzę, jak już widziałam w przeszłości, dumne i piękne ciała poszarpane i okaleczone, dusze wydarte z nich gwałtem i rzucone pod stopy Boga. Tak my, nieszczęsne istoty ludzkie, idziemy do naszych celów poprzez zniszczenie i rzeź, zmierzając do trwałego pokoju i szczęścia na ziemi.

I jestem samotna. Kiedy nie myślą o tym, co nadciąga, myślę o tym, co było, a czego już nie ma — o moim orle, wzbijającym się potężnymi skrzydłami ponad próżnię, wznoszącym się aż tam, gdzie dla niego zawsze świeciło słońce promiennego ideału wolności człowieka. Nie potrafię siedzieć beczynnym i czekać na wielkie zdarzenie, które jest jego dziełem, choć on go już ujrzeć nie może. Poświęcił Powstaniu swój wiek męski i oddał za nie życie. Jest ono tworem jego rąk. On go dokonał. Tak więc w te pełne niepokoju chwile oczekiwania będę pisać o moim mężu. Ze wszystkich istot żyjących ja jedna mogę we właściwym świetle ukazać jego postać. A była to postać tak piękna i szlachetna, że trudno przedstawić ją w dostatecznym blasku. Duszę miał wspaniałą i w miarę jak moja miłość wyzbywa się egoizmu, żałuję przede wszystkim, że nie ma go tutaj, by widział jutrzejszy świat. Musi się nam powieść. Zbyt potężnie, zbyt mocno wszystko w tym celu zbudował. Biada Żelaznej Stopie I Wkrótce będzie strącona ze zgiętego karku ludzkości. Kiedy rozlegnie się hasło, powstaną robotnicze zastępy całej kuli ziemskiej. Historia nie znała dotąd rzeczy podobnej. Solidarność ludzi pracy jest zapewniona i po raz pierwszy wybuchnie rewolucja międzynarodowa, która sięgnie aż po krańce świata.

Jak widać to, co ma się zdarzyć, przepełnia mnie do głębi. Dniem i nocą żyłam tym całkowicie i tak długo, że zawsze jest we mnie obecne. Stąd też nie mogę myśleć o moim mężu, a zapomnieć o tym. Był duszą tej sprawy, więc jakżebym mogła oddzielić go od niej w moim sercu?

Jak już mówiłam, ja jedna mogę oświetlić pewne cechy jego charakteru. Wiadomo powszechnie, że ciężko się trudził dla Wolności i, wiele dla niej wycierpiał. Jaki ciężko się trudził, ile wycierpiał, ja wiem najlepiej. Byłam bowiem z nim razem przez te dwadzieścia pełnych troski lat i znam jego wytrwałość, jego niezmordowane wysiłki i bezgraniczne oddanie Sprawie, dla której zaledwie dwa miesiące temu oddał życie.

Postaram się pisać najprościej i opowiedzieć, jak Ernest Everhard wszedł do mego życia. Jak spotkałam go po raz pierwszy, jak z czasem stałam się jego częścią, jak zupełnie przeorał moje życie. W ten sposób będziecie mogli patrzeć na niego moimi oczyma i poznać go, jak ja go poznałam — we wszystkim, z wyjątkiem (rzeczy zbyt osobistych i drogich mi, aby o nich mówić..

Po raz pierwszy spotkałam go w lutym 1912, gdy jako gość mego ojca był na obiedzie u nas w Berkeley. Nie mogę powiedzieć, by moje pierwsze wrażenie było zbyt dodatnie. Na obiad miało przyjść wiele osób i w salonie, gdzie zebraliśmy się czekając, aż wszyscy nadejdą, Ernest wyraźnie kontrastował z otoczeniem. Mój ojciec nazwał po cichu ten obiad „wieczorem kaznodziejów” i wśród tłumu duchownych Ernest z pewnością był nie na miejscu.

Przede wszystkim był źle ubrany. Gotowy ciemny garnitur źle na nim leżał. Co prawda żaden gotowy garnitur nigdy na niego nie pasował. I tego wieczoru, jak zwykle, mięśnie wypychały materiał, a na potężnych, szerokich barach ubranie marszczyło się w całe mnóstwo fałdek. Jego kark był karkiem atlety, grubym i mocnym. Taki więc — pomyślałam — jest ten odkryty przez mego ojca filozof społeczny i były kowal. Rzeczywiście wyglądał na kowala z tymi wydatnymi mięśniami i karkiem byka. Od razu umieściłam go w rzędzie dziwotworów — jakiś Ślepy Tom klasy robotniczej.

A cóż dopiero, kiedy podał mi rękę! Uścisk jego dłoni był stanowczy i mocny, ale równocześnie spojrzał na mnie śmiało swymi czarnymi oczyma — zuchwale, pomyślałam sobie. Jako wytwór otoczenia miałam bowiem w tym czasie silne instynkty klasowe. Takie zuchwalstwo ze strony człowieka z mojej własnej klasy byłoby prawie niewybaczalne. Wiem, że mimo woli spuściłam oczy i doznałam prawdziwej ulgi, gdy odwróciłam się od niego, by powitać biskupa Morehouse — mego ulubieńca — miłego i poważnego pana w średnim wieku, przypominającego wyglądem i dobrocią Chrystusa, a przy tym uczonego.

Ale śmiałość, która wydała mi się zuchwalstwem, była istotną cechą Ernesta Everharda. Prosty, bezpośredni, nie lękał się niczego i nie chciał tracić czasu na towarzyski konwenans. „Podobałaś mi się — wyjaśnił mi znacznie później — więc dlaczego nie miałbym nasycić oczu tym, co mi się podoba?” Powiedziałam już, że się nie lękał niczego. Był z natury arystokratą — mimo że znajdował się w obozie wrogów arystokracji. Był nadczłowiekiem, jasnowłosą bestią, jak ją opisał Nie-tzsche, a ponadto zachwycał się demokracją.

Zajęta witaniem innych gości, zupełnie zapomniałam o filozofie klasy robotniczej, do czego przyczyniło się także niemiłe pierwsze wrażenie. Ale przy stole raz czy dwa razy zwróciłam na niego uwagę, zwłaszcza na kpiarski błysk w jego oku, gdy słuchał tego, co kolejno mówili pastory. Wydało mi się, że ma poczucie humoru i wybaczyłam mu niemal jego ubranie. Ale czas mijał i obiad dobiegał końca, a Ernest nie otworzył nawet ust, podczas gdy pastory mówili bez przerwy o klasie robotniczej i jej stosunku do kościoła, o tym, co kościół już dla niej uczynił i dalej czyni. Spostrzegłam, że ojcu milczenie Ernesta sprawia przykrość. W pewnej chwili ojciec skorzystał z przerwy i poprosił go, aby coś powiedział. Lecz Ernest wzruszył tylko ramionami, stwierdził, że nic nie ma do powiedzenia, i dalej gryzł solone migdałki.

Ojciec jednak niełatwo ustępował. Po chwili odezwał się znowu:

— Jest tu wśród nas przedstawiciel klasy robotniczej. Jestem pewien, że mógłby oświetlić te sprawy z nie znanego nam punktu widzenia, co byłoby i ciekawe, i nowe. Mam na myśli pana Everharda.

Reszta gości przejawiała uprzejme zaciekawienie prosząc Ernesta, by dał wyraz swoim poglądom. Ludzie ci zachowywali się z tak niedwuznaczną wyrozumiałością i pobłażliwością, że sprawiało to wrażenie klepania po ramieniu. Spostrzegłam, że Ernest to zauważył i że go to ubawiło. Rozejrzał się powoli dokoła i w oczach jego zobaczyłam błysk śmiechu.

— Nie jestem biegły w konwenansach dysput kościelnych — zaczął, po czym zawahał się jakby zażenowany i niezdecydowany.

— Prosimy — nalegano zewsząd, a doktor Hammerfield powiedział:

— Niczyjejprawdy nie mamy nikomu za złe. Oczywiście jeżeli ten ktoś wypowiada ją szczerze

— dodał.

— A więc odróżnia pan szczerłość od prawdy? — natychmiast roześmiał się Ernest.

Doktor Hammerfield osłupiał, lecz zdołał odpowiedzieć:

— Najlepsi z nas mogą się mylić, młodzieńcze — nawet najlepsi.

Ernest zmienił się w mgnieniu oka. Stał się innym człowiekiem.

— Dobrze więc — odparł. — I niech mi będzie wolno zacząć od stwierdzenia, że wszyscy się mylicie. Nie wiecie nic, a nawet mniej niż nic o klasie robotniczej. Wasza socjologia jest równie błędna i bezwartościowa jak wasz sposób myślenia.

Nie tyle to, co powiedział, ale jak powiedział, poruszyło s mnie od razu. Głos jego był równie śmiały jak oczy. Brzmiał V jak pobudka, która wstrząsnęła mną do głębi. I cały stół ożywił się również, wyrwany nagle z senności i nudy.

— A dlaczego to nasz sposób myślenia, młodzieńcze, jest tak przeraźliwie błędny i bezwartościowy? — zapytał doktor Hammerfield, a w głosie jego i całej postawie uwydatniło się coś niemiłego.

— Jesteście metafizycy. Za pomocą metafizyki można dowieść wszystkiego. A dokonawszy tego, każdy metafizyk może każdemu innemu metafizykowi udowodnić ku swemu zadowoleniu, że tamten się myli. Jesteście anarchistami w dziedzinie myśli. Jesteście obłąkani, wy, twórcy wszechświatów. Każdy z was żyje we wszechświecie własnego wyrobu, utworzonym z jego własnych pragnień i fantazji. Nie znacie rzeczywistego świata, w którym żyjecie, a na wasze myślenie nie ma w tym rzeczywistym świecie miejsca, chyba jako na objaw umysłowego' schorzenia.

Czy wiecie, co mi się przypominało, gdy siedziałem przy stole słuchając, jak mówicie i mówicie bez końca? Przypominaliście mi żywcem świat średniowiecznych scholastyków, którzy z powagą i uczeniem rozprawiali o fascynującej kwestii, ile aniołów może tańczyć na końcu igły. Cóż, łaskawi panowie, jesteście tak oddaleni od życia umysłowego dwudziestego stulecia, jak indiański zaklinacz odprawiający swe czary w puszczy dziewiczej dziesięć tysięcy lat temu.

Ernest mówił z uniesieniem i pasją. Twarz mu płonęła, oczy miały błyski, a szczęki zwierzały się wyzywająco. Ale był to tylko jego sposób bycia. Zawsze pobudzał ludzi. Jego miażdżący jak młot, gwałtowny sposób atakowania wytrącał ich z równowagi. Tak też stało się teraz. Biskup Morehouse pochylił się naprzód i słuchał z uwagą. Rumieniec zdenerwowania i gniewu wypłynął na twarz doktora Hammerfielda. Pozostali też byli rozjątrzeni, a niektórzy uśmiechali się z wyrazem wyższości i rozbawienia. Ja byłam tym zachwycona. Rzuciłam okiem na ojca i ogarnął mnie strach, że zakrztusi się śmiechem na widok skutków wybuchu tej bomby ludzkiej, którą sam rzucił między nas.

— Używa pan bardzo nieokreślonych pojęć — przerwał doktor Hammerfield — może pan sprecyzuje, co ma pan na myśli, nazywając nas metafizykami?

— Nazywam was metafizykami, bo rozumiecie metafizycznie — ciągnął Ernest. — Wasze metody rozumowania są przeciwieństwem metod naukowych. Wasze wnioski nie mają żadnej podstawy. Możecie dowieść wszystko i nic i nie znajdzie się pośród was nawet dwóch, którzy zgodzą się w jakiejś sprawie. Każdy z was sięga we własną świadomość, by wyjaśnić i siebie, i wszechświat. Ale tłumaczyć świadomość przez świadomość to tyle, co chcieć unieść się w powietrze ciągnąc za własny pasek.

— Nie rozumiem — rzekł biskup Morehouse. — Zdaje mi się, że wszelkie sprawy umysłu są metafizyczne. Najbardziej ścisła i przekonywająca z nauk, matematyka, jest czystą metafizyką. Każdy proces myślowy w rozumowaniu naukowym jest metafizyczny. Pan chyba zgodzi się ze mną?

— Jak sam pan powiedział, nie rozumiecie panowie — odparł Ernest. — Metafizyk wnioskuje

dedukcyjnie, wychodząc z własnej świadomości. Uczony wnioskuje indukcyjnie, wychodząc z faktów doświadczalnych. Rozumowanie metafizyka biegnie od teorii do faktów, uczonego — od faktów do teorii. Metafizyk szuka w sobie wyjaśnienia wszechświata, uczonego szuka we wszechświecie wyjaśnienia siebie.

— Chwała ci, Panie, że nie jesteśmy uczonymi — mruknął pobłaźliwie doktor Hammerfield.

— A kim wobec tego jesteście? — zapytał Ernest.

— Filozofami.

— Tędy was wiedli — roześmiał się Ernest. — Porzuciliście rzeczywisty i twardy grunt, by ucieść się w powietrze, mając słowo za narzędzie losu. Ale zejździe łaskawie na ziemię i powiedzcie dokładnie, co rozumiecie przez filozofię.

— Filozofia jest — tu doktor Hammerfield przerwał i wymownie odchrząknął — czymś, co można określić w sposób zrozumiały tylko dla umysłów i temperamentów filozoficznych. Ograniczony badacz z nosem w probówce nie potrafi zrozumieć filozofii.

Ernest zlekceważył zaczepkę. Zawsze miał zwyczaj odwracać ostrze w stronę przeciwnika. Uczynił to i teraz, a twarz jego jaśniała życzliwością i głos brzmiał przyjaźnie.

— A zatem zrozumie pan niewątpliwie moją definicję filozofii. Nim jednak ją podam, poproszę pana o zachowanie metafizycznego milczenia, chyba że zdoła pan wskazać w niej błąd. Filozofia jest po prostu najszerszą ze wszystkich nauk. Metoda rozumowania jest w niej ta sama co w każdej poszczególnej dziedzinie nauki i we wszystkich dziedzinach nauki razem wziętych. A dzięki tej samej metodzie rozumowania, metodzie indukcyjnej, filozofia zespala wszystkie dziedziny nauki w jedną wielką naukę. Jak mówi Spencer, dane jakiegokolwiek dziedziny nauki są częściowo ujednoczoną wiedzą. Filozofia ujednocza wiedzę, na którą składają się wszystkie dziedziny nauki. Filozofia jest nauką nauk, mistrzynią nauk, proszę łaskawych panów. Jak wam podoba się moja definicja?

— Bardzo godna uwagi, bardzo — odmruknął bez przekonania doktor Hammerfield.

Lecz Ernest był bezlitosny.

— Pamiętajcie, panowie — uprzedził — że moja definicja jest zabójcza dla metafizyki. Jeśli teraz nie wytkniecie w niej błędu, nie będziecie później mogli wysuwać argumentów metafizycznych. Musicie iść przez życie szukając tego błędu i zachowując metafizyczne milczenie, dopóki go nie znajdziecie.

Ernest zamilkł i czekał. Zapanowała przykra cisza. Doktor Hammerfield był dotknięty. Był także zaskoczony. Miażdzący atak Ernesta pozbawił go pewności siebie. Nie był przyzwyczajony do prostej i bezpośredniej metody dyskusji. Rozejrzał się wokół stołu szukając pomocy, lecz nikt z nią nie pośpieszył. Dostrzegłam, że ojciec osłania serwetką uśmiech.

— Jest jeszcze inna droga zdemaskowania metafizyków — rzekł Ernest, gdy doktor Hammerfield był już całkowicie zdetonowany. — Sądzić ich według ich dzieł. Cóż oni zdziałali dla ludzkości poza budową zaników powietrznych i braniem własnych cieni za bogów? Może zdołali rozbawić nieco ludzkość, to prawda. Lecz jakie przynieśli jej namacalne dobra? Filozofowali, jeśli mi wolno nadużyć tego słowa, o sercu jako siedzibie uczuć, podczas gdy uczeni formułowali wiedzę o krążeniu kiwi. Deklamowali o zarazie i głodzie jako dopustach bożych, podczas kiedy uczeni budowali spichrze i kanalizowali miasta. Tworzyli bóstwa na swój własny obraz i podobieństwo, wtedy gdy uczeni budowali drogi i mosty. Opisywali ziemię jako pępek wszechświata, gdy uczeni odkrywali Amerykę, a sięgając w przestrzeń do gwiazd — odkrywali ich prawa. Słowem, metafizycy nie zrobili nic, absolutnie nic dla ludzkości. Krok za krokiem musieli cofać się przed pochodem nauki. W miarę jak naukowo stwierdzone fakty obalały ich subiektywne tłumaczenie rzeczy, tworzyli nowe subiektywne tłumaczenie spraw świata obejmujące także te ostatnio stwierdzone fakty. I nie wątpię,

że to właśnie robić będą aż po kres czasów. Metafizyk, szanowni panowie, jest zaklinaczem. Różnica między wami a Eskimosem, który sporządza sobie bogów przybranych w futro i żywiących się wielorybim tłuszczem, to po prostu różnica wielu tysiącleci stwierdzonych faktów, to wszystko.

— A jednak myśl Arystotelesa rządziła Europą przez dwanaście wieków — obwieścił uroczyście doktor Ballingford. — A przecież Arystoteles był metafizykiem.

Doktor Ballingford rozejrzał się dokoła i zebrał w nagrodzie aprobujące uśmiechy i skinienia głów.

— Pański przykład jest bardzo nieudany — odrzekł Ernest. — Mówi pan o nader mrocznym okresie dziejów. Nazywamy nawet ten okres Ciemnowieczem. Były to czasy opanowania nauki przez metafizyków, czasy, kiedy fizyka polegała na szukaniu kamienia filozoficznego, chemia była alchemią, astronomia zaś astrologią. Smutne było to władztwo myśli Arystotelesa!

Doktor Ballingford spojrział niezadowolony. Zaraz jednak twarz mu pojaśniała i rzekł:

— Przyjmując nawet posępny obraz, jaki pan nakreślił, musi pan jednak przyznać, że w metafizyce zawierała się jakaś siła, skoro zdołała wydobyć ludzkość z tego mrocznego okresu i sprowadzić oświecenie wieków późniejszych.

— Metafizyka nie miała z tym nic wspólnego — odparł Ernest.

— Co? — zawołał doktor Hammerfield. — Czy więc nie oderwane myślenie doprowadziło do odkrywczych podróży?

— Ach, drogi panie — uśmiechnął się Ernest — myślałem, że nie ma już pan głosu: nie znalazł pan jak dotąd błędu w mojej definicji filozofii. Nie ma pan teraz gruntu pod nogami. Ale tak jest z każdym metafizykiem, więc panu wybaczam. I powtarzam, że metafizyka nic z tym nie ma wspólnego. Chleb z masłem, jedwabie i klejnoty, pieniądze, a także przypadkowe zamknięcie lądowych szlaków handlowych do Indii — takie były przyczyny podróży i odkryć. Z upadkiem Konstantynopola w roku 1453 Turcy przecięli karawanom drogę do Indii. Kupcy europejscy musieli szukać innego szlaku. I to było pierwotną przyczyną podróży odkrywczych. Kolumb wyruszył na poszukiwanie nowej drogi do Indii. Mówią o tym wszystkie podręczniki historii. Przy tej okazji stwierdzono nowe właściwości, wymiary i kształty ziemi i system Ptolemeusza musiał zgasnąć.

Doktor Hammerfield zachnął się.

— Nie zgadza się pan ze mną? — zapytał Ernest. — W czym więc się mylę?

— Mogę tylko podtrzymać raz jeszcze mój punkt widzenia — odparł zgryźliwie doktor Hammerfield. — Za długa historia, by w nią się teraz wdawać.

— Żadna historia nie jest za długa dla uczonego — rzekł łagodnie Ernest. — Dlatego też uczoney dociera do celu. Dlatego właśnie dotarł i do Ameryki.

Nie będę opisywała całego wieczoru, choć z radością przywołuję wspomnienia każdej chwili, (każdego szczegółu tych pierwszych godzin mej znajomości z Ernestem Everhardem.

Spór szalał, wdali się w niego wszyscy, przejęci i rozgorączkowani, zwłaszcza kiedy Ernest nazwał ich romantykami filozofii i budowniczymi zamków na lodzie. A za każdym razem odsyłał ich do faktów. „Fakty, panowie, nieodparte fakty!” — wołał z tryumfem, wysadzając kogoś z nich z siodła. Jeżył się cały od faktów. Zarzucał ich nimi, zapędzał w kozi róg, bombardował bez przerwy całymi salwami faktów.

— Pan zdaje się być kapłanem w świątyni faktu — próbował szydzić doktor Hammerfield.

— Nie ma Boga oprócz Faktu, a pan Everhard prorokiem jego — parafrazował doktor Ballingford.

Ernest przytaknął z uśmiechem.

— Jestem jak mieszkaniec Teksasu — powiedział. A gdy go naciskano, wyjaśnił: — Bo, proszę

panów, w Missouri na przykład mówią zawsze: „musisz mi pokazać”. Ale w Teksasie mówią: „musisz mi dać to do ręki”. Z czego widać, że Teksasczyk nie jest metafizykiem.

Kiedy indziej, gdy Ernest stwierdził, że filozof metafizyczny nie zdołałby nigdy wytrzymać próby prawdy, doktor Hammerfield nagle zapytał:

— A co jest próbą prawdy, młodzieńcze? Niechże pan łaskawie wyjaśni nam to, nad czym tak długo łamali sobie głowy mądrzejsi od pana.

— Chętnie — odparł Ernest, a jego pewność siebie rozdrażniła tamtych. — Mędrcy tak długo łamali sobie głowy nad prawdą, bo gonili za nią w obłokach. Gdyby pozostali na twardym gruncie, znaleźliby ją z łatwością. A nawet przekonaliby się, że sami wypróbują prawdę całym swoim życiem, każdym czynem i myślą.

— Próba, próba — powtórzył niecierpliwie doktor Hammerfield. — Daruj pan sobie wstępy. Daj nam to, czego tak długo szukamy — daj nam próbę, daj miernik prawdy. Jeśli to uczynisz, będziemy jako bogowie.

W jego słowach i tonie brzmiał drwiący i nieuprzejmy sceptycyzm, w którym smakowała po cichu większość obecnych, choć biskup Morehouse nie był tym zachwycony.

— Doktor Jordan sformułował to bardzo wyraźnie — rzekł Ernest. — Jego miernik prawdy brzmi: czy działa skutecznie? Czy można zawierzyć jej życie?

— Ba! — mruknął lekceważąco doktor Hammerfield. — Nie wziął pan pod uwagę biskupa Berkeleya. Nikt jak dotąd nie zdołał mu odpowiedzieć.

— Najszlachetniejszy spośród metafizyków — roześmiał się Ernest. — Ale pański przykład jest bardzo nieszczególny. Berkeley sam przyznał, że jego metafizyka nie funkcjonowała skutecznie.

Doktor Hammerfield zapłonął gniewem sprawiedliwego. Wyglądał, jakby przyłapał Ernesta na kradzieży czy kłamstwie.

— Młodzieńcze — zagrzmiął — to twierdzenie jest tyleż warte co wszystkie pańskie dzisiejsze wywody. To licha i niczym nie poparta teza.

— Czuję się całkowicie zmiażdżony — bąknął potulnie Ernest. — Nie wiem tylko, co mnie uderzyło. Może mi pan to położy na dłoni, doktorze.

— Owszem, chętnie — wybuchnął doktor Hammerfield. — Bo skąd pan możesz wiedzieć? Nie słyszałeś pan, by biskup Berkeley przyznawał, że z jego metafizyki nic skutecznego nie wyszło. Nie masz pan na to dowodu. Młodzieńcze, jego metafizyka zawsze była skuteczna.

— Uważam za dowód, że metafizyka Berkeleya nie działała skutecznie, to — Ernest urwał i spokojnie przeczekał chwilę — to, że Berkeley niezmiennie przechodził przez drzwi, nie zaś przez mury. Że swoje życie zawierał realnym kawałkom rostbefu i chleba z masłem. Że golił się brzytwą, która skutecznie usuwała zarost z jego twarzy.

— Ależ to są wszystko rzeczy powszednie! — wykrzyknął doktor Hammerfield. — Metafizyka jest sprawą umysłu.

— I funkcjonuje skutecznie w umyśle? — spytał łagodnie Ernest.
Tamten skinął głową.

— I nawet całe chóry anielskie potrafią tańczyć na końcu igły — w umyśle — ciągnął z zastanowieniem Ernest. — I żywiący się wielorybim tłuszczem, przybrany w futra bożek może istnieć i funkcjonować — w umyśle. I nie ma na to żadnych przeciwdowodów — w umyśle. Przypuszczam, doktorze, że pan żyje w umyśle?

— Mój umysł jest moim królestwem — zabrzmiała odpowiedź.

— To tylko inny sposób stwierdzenia, że żyje pan w obłokach. Ale na obiad z pewnością pan wraca na ziemię; albo jeśli nastąpi trzęsienie ziemi. Czy też, doktorze, chce pan powiedzieć, że nie

żywi pan obaw, by w czasie trzęsienia ziemi jakaś niematerialna cegła trafiła w pańskie niematerialne ciało?

Przy tych słowach ręka doktora Hammeorfielda zupełnie odruchowo dotknęła czaszki, gdzie pod włosami kryła się blizna. Jak się okazało, Ernest mimo woli natrafił na czułe miejsce. Doktor Hammerfield omal nie został zabity podczas wielkiego trzęsienia ziemi przez padający komin. Zebrani wybuchnęli śmiechem.

— A więc? — spytał Ernest, gdy wesołość ucichła — jakież są przeciwdowody?

Wśród ogólnego milczenia powtórzył raz jeszcze: — Więc. — Po czym dodał: — Owszem, dobry, ale już nie tak dobry ten pański argument.

Lecz doktor Hammerfield, chwilowo zmiażdżony, nie reagował i bitwa potoczyła się w innych kierunkach. Punkt po punkcie Ernest zbijał twierdzenia teologów. Kiedy mówili, że znają klasę robotniczą, wyłożył im podstawowe o niej prawdy, o których nie mieli pojęcia, i domagał się przeciwdowodów. Wskazywał im fakty, zawsze tylko fakty, zawracał ich z podniebnych wycieczek i ściągął z powrotem na twardy grunt ziemi i faktów.

Jak dokładnie ożywa przede mną ta scena! Słyszę go ponownie, słyszę bojowe nuty jego głosu, kiedy w nich walił faktami, a każdym faktem uderzał wielokrotnie. Był bezlitosny. Nie prosił o pardon i sam go nie dawał. Nie zapomnę nigdy ciągów, jakie im sprawił na końcu,

— Wiele razy przyznaliście dzisiaj, panowie, wprost lub dając dowody swej ignorancji, że nie znacie wcale klasy robotniczej. Ale nie można was za to potępiać. Skąd mielibyście wiedzieć cokolwiek o robotnikach? Nie mieszkać w tych samych dzielnicach co oni. Gnieździecie się razem z klasą kapitalistyczną w innych zupełnie stronach. Bo i dlaczegożby nie? Klasa kapitalistyczna opłaca was, odżywia i okrywa wam grzbiety tymi ubraniami, które dziś macie na sobie. W zamian wy głosicie wśród waszych pracodawców gatunek metafizyki, jaki najbardziej im odpowiada. A ten gatunek tak im odpowiada, bo nie zagraża ustanowionemu porządkowi społecznemu.

Wokół stołu rozległy się sprzeciwy.

— Ach, nie kwestionuję waszej szczerości — ciągnął Ernest. — Jest niewątpliwa. Głosicie to, w co wierzycie. Na tym polega wasza siła i wartość — dla klasy kapitalistycznej. Lecz gdyby wasza wiara zmieniła się w coś, co zagraża ustanowionemu porządkowi, wasze nauki stałyby się nie do przyjęcia dla waszych pracodawców i zostalibyście wtedy usunięci. Raz po raz spotyka to kogoś z was. Czy nie mam racji? Tym razem nie było sprzeciwu. Wszyscy potakiwali w milczeniu, z wyjątkiem doktora Hammerfielda, który rzekł:

— Żąda się dymisji, gdy czyjeś myślenie jest błędne.

— Czyli inaczej mówiąc, gdy to myślenie jest nie do przyjęcia — odparł Ernest, po czym ciągnął dalej: — Toteż powtarzam wam, idźcie swoją drogą, głosicie kazania pobierajcie zapłatę, ale na miłość boską, dajcie spokój klasie robotniczej. Należycie do obozu wroga. Nie macie nic wspólnego z klasą robotniczą. Wasze ręce są wydelikaczone przez pracę, jaką inni za was wykonali. Wasze brzuchy spęczniały od jedzenia. (Tu doktor Ballingford drgnął, a oczy wszystkich skupiły się na jego opasłym kałdunie. Mówiono, że od lat już nie widział własnych nóg). A wasze mózgi pełne są doktryn, na których spoczywa ustanowiony porządek. Jesteście takimi samymi najemnikami (uczciwymi najemnikami, przyznaję) jak żołnierze gwardii szwajcarskiej. Bądźcie wierni waszej naturze i tym, co wam płacą: strzeżcie swymi kazaniem interesów waszych pracodawców, ale nie przychodźcie do klasy robotniczej służyć jej za fałszywych przywódców. Nie możecie uczciwie należeć do tych dwóch obozów na raz. Klasa robotnicza umiała obejść się bez was. Wierzcie mi, że potrafi to nadal. Co więcej, lepiej da sobie radę bez was niż z wami.

ROZDZIAŁ DRUGI

WYZWANIE

Gdy goście się rozeszli, ojciec padł na fotel i wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Od śmierci mojej matki nie widziałam, by śmiał się tak serdecznie.

— Założę się — mówił ze śmiechem — że doktor Hammerfield, odkąd żyje, nie spotkał się z czymś podobnym. „Konwenanse dysput kościelnych” I Czy zauważyłaś, jak zaczął? Niczym jagnię — mam Everharda na myśli — i jak szybko przedzierzgnął się w ryczącego lwa? Ma wspaniale zdyscyplinowany umysł. Byłby z niego świetny uczony, gdyby w tym kierunku zużytkował swoją energię.

Nie muszę chyba zaznaczać, że Ernest Everhard do głębi mnie zainteresował. Nie tylko tym, co mówił i jak mówił; zainteresował mnie sam człowiek. Nigdy dotąd takiego człowieka nie spotkałam. Myślę, że właśnie dlatego, choć miałam dwadzieścia cztery lata, nie wyszłam jeszcze za mąż. Podobał mi się: musiałam to wyznać sobie w duchu. A podobał mi się dla przyczyn, które leżały poza zasięgiem rozumu czy logiki. Pomimo swoich wydatnych barów i szyi atlety zrobił na mnie wrażenie naiwnego chłopca. Czułam, że w przebraniu intelektualnego zawadiaki kryje się delikatna i wrażliwa dusza. Wyczuwałam to w sposób, którego nie umiałabym określić, jakimś kobiecym instynktem. Jego głos, czysty jak brzmienie pobudki, trafiał mi prosto w serce. Wciąż miałam go w uszach. Chciałam znowu go usłyszeć i znowu zobaczyć w jego oczach błysk śmiechu, który zadawał kłam niewzruszonej powadze jego twarzy. A inne jeszcze, mgliste na razie i nieokreślone uczucia rodziły się we mnie. Kochałam go prawie, choć jestem pewna, że gdybym nie spotkała go więcej, owe mgliste uczucia rozwiałyby się, i z łatwością byłabym go zapomniała..

Ale było mi chyba przeznaczone spotkać go ponownie. Sprawily to nowe zainteresowania mojego ojca socjologią i dyskusyjne obiady, jakie urządzał. Ojciec nie był socjologiem. W małżeństwie z moją matką był bardzo szczęśliwy, a i badania w jego ulubionej dziedzinie, fizyce, dawały mu całkowite zadowolenie. Kiedy jednak matka umarła, dotychczasowa praca nie mogła wypełnić mu pustki. Z początku bez większego zapału sięgnął do filozofii; a potem, coraz bardziej zaciekawiony, przeszedł do ekonomii i socjologii. Miał silne poczucie sprawiedliwości i niebawem ogarnęła go pasja naprawiania krzywd. Z radością przyjmowałam te oznaki nowego zainteresowania życiem, choć nie miałam wtedy pojęcia, jaki to będzie mieć skutek. Z chłopięcym entuzjazmem ojciec pogрузił się w nowych poszukiwaniach, nie bacząc na to, dokąd go one wiodą.

Nawykł do pracy laboratoryjnej, toteż pokój jadalny zmienił teraz w laboratorium socjologiczne. Na obiady przychodzili najrozmaitsi ludzie — uczeni, politycy, bankierzy, kupcy, profesorowie, przywódcy związkowi, socjaliści i anarchiści. Ojciec pobudzał ich do dyskusji, a sam badał ich myśli o życiu i społeczeństwie.

Ernesta poznał na krótko przed „wieczorem kaznodziejów”. A kiedy już goście poszli, dowiedziałam się, jak go spotkał pewnego dnia na ulicy, gdy przystanął, by usłyszeć, co mówi do tłumu robotników jakiś człowiek przemawiający z improwizowanej trybuny. Człowiekiem na trybunie ze skrzynki był Ernest. Nie znaczy to, że był pospolitym mówcą ulicznym. Zajmował wysokie stanowisko we władzach partii socjalistycznej, był jednym z jej przywódców i uznanym autorytetem w zakresie filozofii socjalizmu. Ale miał jakiś dar wyrażania rzeczy zawiłych bardzo jasnym językiem, był urodzonym pedagogiem i popularyzatorem i nie gardził skrzynką uliczną jako

środkiem wyjaśniania robotnikom zagadnień ekonomii.

Ojciec przystanął, słuchał, zainteresował się, po czym umówił się z nim na spotkanie, a gdy już znajomość była na dobre zawarta, zaprosił Ernesta na kaznodziejski obiad. Po tym obiedzie opowiedział mi ojciec nieliczne znane sobie fakty z jego życia. Ernest urodził się w rodzinie robotniczej, chociaż pochodził ze starego rodu Everhardów, którzy od dwustu lat mieszkali w Ameryce. Mając lat dziesięć zaczął pracować w fabryce, potem był czeladnikiem, wreszcie zaś kowalem. Był samoukiem, nauczył się niemieckiego i francuskiego i gdy go poznałam, zarabiał na skromne życie tłumacząc dzieła naukowe i filozoficzne dla borykającego się z losem socjalistycznego wydawnictwa w Chicago. Zarobki te powiększały trochę honoraria wpływające czasami ze sprzedaży jego własnych prac z zakresu ekonomii i filozofii.

Tyle dowiedziałam się o nim tego dnia. I długo nie mogłam zasnąć wsłuchując się wyobraźnią w dźwięk jego głosu. Przestraszyły mnie własne myśli. Ernest był tak inny niż ludzie mojej klasy, tak obcy i tak silny. Ta jego siła napawała mnie zachwytem i lękiem, gdyż galopująca fantazja unosiła mnie coraz dalej, aż zaczęłam w nim widzieć kochanka i męża. Zawsze słyszałam, że siła męczyzny pociąga nieodparcie kobietę, ale on był za silny. „Nie! — zawołałam — nie! To niemożliwe, to bez sensu!” Ale nazajutrz zbudziłam się z pragnieniem, by zobaczyć go znowu. Chciałam widzieć, jak z bojowym akcentem w głosie poskramia przeciwników w dyskusji; zobaczyć, jak z całą swą siłą i pewnością siebie pogłębia zarozumiałych, jak ich wytrąca z utartych koleji myśli. Nie przeszkadzało mi to zawadiactwo. By posłużyć się jego własnym zwrotem, „było skuteczne”, dawało wyniki. A poza tym warte było widzenia. Podniecało jak pierwsze strzały bitwy.

Minęło Mika dni, w ciągu których czytałam książki Ernesta pożyczone od ojca. Jego pisane słowo było jak słowo mówione, jasne i przekonujące. Skończona prostota tego słowa przekonywała nawet, gdy się jeszcze wątpiło. Miał dar przejrzystości. Jego objaśnienia były wprost znakomite. Lecz mimo zalet stylu wiele rzeczy mi się nie podobało. Zbyt wielki nacisk kładł na to, co nazywał walką klasową, na antagonizm między pracą i kapitałem, na sprzeczność interesów.

Ojciec ze śmiechem powtórzył mi opinię doktora Hammerfielda o Ernestie, która brzmiała, że jest to „bezczelny szczeniak, rozzuchwalony wątpą i niedokładną wiedzą”. Poza tym doktor Hammerfield zastrzegł się, że nie chce więcej Ernesta widzieć.

Natomiast biskup Morehouse zainteresował się nim i pragnął nowego spotkania. „Dzielny młodzieniec — powiedział — i bardzo żywy, bardzo, bardzo żywy. Tylko trochę zbyt pewny siebie, zanadto pewny siebie”.

Któregoś popołudnia ojciec przyprowadził Ernesta. Biskup przyszedł już wcześniej i siedliśmy na werandzie do podwieczorku. Nawiasem mówiąc, pobyt Ernesta w Berkeley spowodowany był tym, że uczęszczał na specjalne kursy biologii na uniwersytecie i dużo pracował nad nową książką pod tytułem „Filozofia i rewolucja”.

Weranda stała się nagle jakby za ciasna, kiedy przyszedł Ernest. Nie żeby taki był duży — miał wszystkiego metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale jakby promieniował wielkością. Gdy przystanął, by mnie przywitać, był odrobinę zmieszany, co dziwnie kłóciło się z jego zuchwałymi oczyma i mocnym, zdecydowanym uściskiem podanej mi dłoni. Wzrok jego był przy tym równie zdecydowany i pewny. Zdawałam się w nim czytać tym razem jakieś pytanie, a Ernest jak poprzednio długo mi się przyglądał.

— Czytałam pańską „Filozofię klasy robotniczej” — powiedziałam, a jego oczy pojaśniały zadowoleniem.

— I oczywiście — odparł — wzięła pani pod uwagę, dla jakiego czytelnika książka jest przeznaczona?

— Oczywiście. I właśnie dlatego mam z panem na pieńku — rzuciłam wyzwanie.

— Ja też mam z panem na pieńku, panie Everhard — rzekł biskup Morehouse.

Ernest wzruszył beztrosko ramionami i wziął z moich rąk filiżankę herbaty.

Biskup skłonił się dając mi pierwszeństwo.

— Pan sieje nienawiść klasową — powiedziałam. — Uważam za rzecz złą, a nawet występłą odwoływanie się do wszystkiego, co brutalne i ograniczone w klasie robotniczej. Nienawiść klasowa jest antyspołeczna i, jak mi się zdaje, antysocjalistyczna.

— Nie przyznaję się do winy — odparł. — Nienawiści klasowej nie ma ani w tekście, ani w duchu tego wszystkiego, co kiedykolwiek pisałem.

— Oo! — zawołałam z wyrzutem; sięgnęłam po książkę i otworzyłam ją.

Wypił łyk herbaty i uśmiechnął się do mnie, gdy przewracałam kartki.

— Strona sto trzydziesta druga — zaczęłam czytać głośno: — „A zatem walka klasowa istnieje w obecnym stadium rozwoju społecznego między pracodawcami i pracującymi”.

Spojrzałam na niego z tryumfem.

— Nie ma tu wzmianki o nienawiści klasowej — odrzekł z uśmiechem.

— Ależ — powiedziałam — sam pan pisze „walka klasowa”.

— Rzecz zupełnie różna od nienawiści klasowej. I niech mi pani wierzy, nie jesteśmy siewcami nienawiści. Mówimy, że walka klas jest prawem rozwoju społecznego. Nie jesteśmy za nią odpowiedzialni. Nie tworzymy walki klas. Wyjaśniamy ją tylko, jak Newton wyjaśniał prawo ciążenia. Wyjaśniamy istotę sprzeczności interesów, która jest przyczyną walki klas.

— Przecież nie powinno być sprzeczności interesów! — zawołałam.

— Całkowicie z panią się zgadzam — odparł. — I my socjaliści dążymy właśnie do tego — do zniesienia sprzeczności interesów. Przepraszam panią, ale chciałbym tu przeczytać wyjątek. — Wziął książkę i odwrócił kilka stron. — Strona sto dwudziesta szósta: „Cykl walk klasowych, który rozpoczął się z upadkiem pierwotnego, plemiennego komunizmu i z powstaniem własności prywatnej, skończy się wraz z zanikiem prywatnej własności środków produkcji”.

— Nie zgadzam się z panem — wtrącił biskup; lekki rumieniec zabarwił mu bladą, ascetyczną twarz, zdradzając napięcie uczuć. — Pańska przesłanka jest błędna. Nie ma takiej rzeczy jak sprzeczność interesów między pracą i kapitałem — czy też raczej nie powinno jej być.

— Dziękuję — rzekł Ernest z powagą. — Ostatnim swoim zdaniem zwrócił mi pan przesłankę.

— Ale dlaczego miałyby istnieć sprzeczność? — spytał z przejęciem biskup.

Ernest wzruszył ramionami.

— Bo taka widać jest już nasza natura.

— Kiedy nie jest taka! — zawołał biskup.

— Czy ma pan na myśli człowieka idealnego? — zapytał Ernest — bezinteresownego i podobnego Bogu, a tak rzadkiego na świecie, że w praktyce nie istnieje? Czy też ma pan na myśli przeciętnego człowieka, zwykłego i pospolitego?

— Zwykłego i pospolitego człowieka — brzmiała odpowiedź.

— Takiego, który jest słaby, błędzący, skłonny do upadku? Biskup Morehouse skinął głową.

— Małostkowego i samoluba. Znowu skinienie głową.

— Uwaga! — ostrzegł Ernest. — Powiedziałem „samolubnego”.

— Przeciętny człowiek jest samolubny — potwierdził odważnie biskup.

— I pożąda wszystkiego, co tylko może zdobyć.

— Pożąda wszystkiego, co tylko może zdobyć — to smutne, ale prawdziwe.

— W takim razie już pana pokonałem. — Szczęki Ernesta zwały się jak potrzask. — Niech mi

pan pozwoli objaśnić. Weźmy na przykład człowieka, który pracuje jako tramwajarz.

— Nie mógłby pracować, gdyby nie istniał kapitał — przerwał biskup.

— To prawda. Ale przyzna pan z drugiej strony, że kapitał musiałby zginąć, gdyby mu praca nie zapewniała dywidend.

Biskup milczał.

— Przyzna pan? — nalegał Ernest. Biskup przytaknął.

— W takim razie nasze twierdzenia znoszą się nawzajem — powiedział Ernest rzeczowym tonem — i wracamy do punktu wyjścia. Zaczniemy więc na nowo. Tramwajarz dostarcza pracy. Akcjonariusz dostarcza kapitału. Wspólnym wysiłkiem tramwajarza i kapitalisty zarabia się pieniądze. Obie strony dzielą między siebie zarobione pieniądze. Udział kapitalisty nazywa się „dywidendą”, udział robotnika „płacą”.

— Słusznie — przerwał biskup — i nie ma żadnego powodu, by ten podział nie odbywał się przyjaźnie.

— Zapomniał pan już o tym, na cośmy się obydwaj zgodzili — odparł Ernest. — Zgodziliśmy się, że człowiek przeciętny jest samolubem. Taki jest, jak jest. A pan już ulatuje w obłoki i urządza podział między takimi ludźmi, jakimi powinni być, ale nie są. Wróćmy jednak na ziemię. Samolubny robotnik chce otrzymać z podziału, ile tylko się da. Samolubny kapitalista też chce otrzymać z podziału, ile tylko się da. Gdy ilość jakichś dóbr jest ograniczona, a z dwóch ludzi każdy chce ich otrzymać jak najwięcej dla siebie, powstaje sprzeczność interesów. To jest właśnie sprzeczność między pracą i kapitałem. I jest to sprzeczność nie do pominięcia. Jak długo istnieć będą robotnicy i kapitaliści, trwać będzie ich spór o podział. Gdyby pan dzisiaj był w San Francisco, musiałby pan chodzić piechotą. Wszystkie tramwaje stoją.

— Nowy strajk? — zapytał z niepokojem biskup.

— Tak, spierają się o podział dochodu z tramwajów miejskich.

Biskup Morehouse bardzo się tym przejął.

— To źle! — zawołał. — To wielka krótkowzroczność ze strony robotników. Jak mogą spodziewać się, że zachowają naszą sympatię...

— Jeżeli z ich powodu musimy chodzić piechotą — dokończył z ironią Ernest.

Lecz biskup Morehouse nie zwrócił na to uwagi i ciągnął dalej:

— Ich pogląd na rzeczy jest zbyt wąski. Ludzie powinni być ludźmi, a nie zwierzętami. Teraz będą znów gwałty i morderstwa, płaczące sieroty i wdowy. Kapitał i praca powinny żyć w przyjaźni. Powinny iść ręką w rękę, pracując dla wzajemnych korzyści.

— I znów pan wzbił się w obłoki — sucho zauważył Ernest. — Proszę zejść na ziemię. I pamiętać, że jak stwierdziliśmy obaj, przeciętny człowiek jest samolubem.

— Ale nie powinien nim być! — wykrzyknął biskup.

— Tu ja znowu zgadzam się z panem — odrzekł Ernest. — Nie powinien być samolubem, ale będzie nim, dopóki będzie żył w ustroju społecznym opartym na etyce świń.

Biskup osłupiał, a ojciec parsknął śmiechem.

— Tak jest, na etyce świń — powtórzył bez skrupołów Ernest. — Taki jest sens kapitalistycznego ustroju. I tego właśnie broni wasz kościół, to głosicie z ambon, ilekroć na nie wejdziecie. Etykę świń! Inaczej nie można jej nazwać.

Biskup Morehouse wzrokiem wezwał mego ojca na pomoc. Ojciec jednak roześmiał się i pokiwał głową.

— Zdaje mi się — powiedział — że pan Everhard ma rację. Jest to polityka *laissez-faire*, czyli każdy sobie, a komu się nie uda, niech go diabli wezmą. Jak mówił pan Everhard jeszcze tamtego

wieczoru, działalność kleru polega na utrzymywaniu w społeczeństwie ustanowionego porządku. A nasz porządek społeczny wspiera się na tym właśnie fundamencie.

— Ale to nie jest nauka Chrystusa! — zawołał biskup.

— Kościół nie głosi dzisiaj nauki Chrystusa — odparł szybko Ernest. — I dlatego robotnik nie chce mieć nic wspólnego z kościołem. Kościół godzi się na wszystkie bestialstwa i straszne barbarzyństwa, jakich klasa kapitalistyczna dopuszcza się wobec klasy robotniczej.

— Kościół nie godzi się na to — zaproponował biskup.

— Kościół przeciw temu nie protestuje — rzekł Ernest. — A skoro nie protestuje, to tym samym się godzi. Bo proszę pamiętać, że kościół jest popierany przez klasę kapitalistyczną.

— Nigdy nie rozpatrywałem sprawy od tej strony — powiedział naiwnie biskup. — Pan chyba się myli. Wiem, że na tym świecie dużo jest rzeczy smutnych i złych. Wiem, że kościół utracił to, co pan nazywa proletariatem.

— Proletariatu nie mieliście nigdy za sobą — zawołał Ernest. — Proletariat wyrósł poza kościołem i bez kościoła.

— Nie bardzo pana rozumiem — przerwał mu niepewnie biskup.

— Zaraz to wytłumaczę. Po wprowadzeniu maszyn i fabrycznego systemu produkcji w drugiej połowie XVIII wieku, masy pracujące oderwane zostały od ziemi. Dawny system produkcji uległ rozbiciu. Ludzi wyparto ze wsi i stłoczono w miastach fabrycznych. Matki i dzieci zapędzono do pracy przy nowych maszynach. Życie rodzinne ustało. Warunki były straszne. Jest to krwawa opowieść.

— Wiem, wiem o tym — przerwał biskup Morehouse z rozpaczą malującą się na twarzy. — To było naprawdę straszne. Ale to stało się półtora stulecia temu.

— I wtedy właśnie, półtora stulecia temu, narodził się współczesny proletariat — ciągnął Ernest. — Ale kościół go zignorował. Kościół milczał, kiedy kapitaliści zmienili naród w bydło rzeźne. Kościół nie protestował, podobnie jak nie protestuje dzisiaj. Jak mówi Austin Lewis nawiązując do tamtych czasów, ci, którym przykazano „Paście baranki moje”, patrzyli w milczeniu i bez sprzeciwu, jak te baranki sprzedawano w niewolę i zapracowywano na śmierć. Kościół wtedy milczał — i zanim pójdę dalej, chciałbym, aby pan ze mną wyraźnie się zgodził albo też wyraźnie mi zaprzeczył. Czy kościół wtedy milczał?

Biskup zawahał się. Podobnie jak doktor Hammerfield, nie był nawykły do takich wściekłych „zwarć”, jak to nazywał Ernest.

— Dzieje osiemnastego wieku są spisane — nalegał Ernest. — Jeśli kościół nie milczał wtedy, to jego głos znaleźć można w księgach.

— Obawiam się, że kościół istotnie milczał — wyznał biskup.

— I milczy także dzisiaj.

— Z tym się nie zgadzam.

Ernest zamilkł na chwilę, spojrzął na przeciwnika badawczo i przyjął wyzwanie.

— Dobrze — powiedział. — Zobaczmy. W Chicago niektóre kobiety pracują cały tydzień za dziewięćdziesiąt centów. Czy kościół zaprotestował przeciwko temu?

— Nic o tym nie wiedziałem. Dziewięćdziesiąt centów na tydzień! To straszne!

— Czy kościół przeciw temu zaprotestował? — powtórzył Ernest.

— Kościół o tym nie wie. — Biskup walczył z coraz większym trudem.

— A jednak — rzekł Ernest szyderczo — przykazano kościołowi: „Paś baranki moje”. Proszę wybaczyć mi sarkazm — dodał po chwili — ale doprawdy można z wami stracić cierpliwość. Czy kiedy protestowaliście wobec waszych kapitalistycznych parafian przeciw pracy dzieci w

przedziałniach na południu? Szczęście i siedmioletni dzieci pracują tam na nocnych zmianach po dwanaście godzin. Nigdy nie oglądają dobroczynnych promieni słońca. Gina jak muchy. Dywidendy płacone są ich krwią. A za te dywidendy buduje się w Nowej Anglii wspaniałe kościoły, gdzie wasi poczciwi kaznodzieje głoszą przyjemne banały wytwornym i sytym odbiorcom tych dywidend.

— Nie wiedziałem o tym — wyszeptał z trudem biskup. Twarz miał bladą, jakby był bliski omdlenia.

— Tak więc nie zaprotestowaliście?

Biskup potrząsnął głową.

— A zatem kościół milczy i dzisiaj, tak jak milczał w XVIII wieku?

Biskup nie odpowiedział, ale tym razem Ernest nie nalegał.

— I proszę pamiętać, że ilekroć jakiś duchowny protestuje, zaraz się go usuwa.

— Nie uważam, aby to było w porządku — zastrzegł się biskup.

— Czy pan zaprotestuje? — spytał Ernest.

— Wskaż mi pan zło, takie, jak mówiłeś, w naszym własnym mieście, a zaprotestuję.

— Wskażę panu — odparł spokojnie Ernest. — Jestem do całkowitej pana dyspozycji. Zabiorę pana w podróż do piekieł.

— A ja zaprotestuję. — Biskup uniósł się w fotelu, a jego łagodna twarz stała się nagle zacięta.

— Kościół nie będzie milczał.

— Usuną pana — ostrzegł Ernest.

— Dowiodę, że jest inaczej — rzekł biskup. — Dowiodę, jeśli jest tak, jak pan mówi, że kościół błędził wskutek niewiedzy. Co więcej, sądzę, że wszystko, co jest potworne w społeczeństwie przemysłowym, istnieje wskutek niewiedzy klasy kapitalistycznej. Naprawi ona wszystkie krzywdy, gdy tylko o nich się dowie. A będzie rzeczą i obowiązkiem kościoła przekazać tę wiadomość.

Ernest wybuchnął śmiechem. Był to śmiech brutalny, co skłoniło mnie, aby stanąć w obronie biskupa.

— Muszę zwrócić uwagę. — powiedziałam — że pan widzi tylko jedną stronę medalu. Tymczasem jest w nas dużo dobrego, choć nie przyznaje nam pan ani jednej zalety. Biskup ma rację. Zło w społeczeństwie przemysłowym, przy całej swej potworności, jest tylko skutkiem niewiedzy. Warstwy społeczne znalazły się zbyt daleko od siebie.

— Dziki Indianin nie jest tak okrutny ani drapieżny jak klasa kapitalistyczna — rzekł Ernest; w tej chwili nienawidziłam go z całego serca.

— Pan nas nie zna — odparłam — nie jesteśmy okrutni ani drapieżni.

— Proszę tego dowieść — rzucił wyzywająco.

— Jak mogę dowieść tego... panu? — Wzbierał we mnie gniew.

Potrząsnął głową.

— Nie wymagam, by pani dowiodła tego mnie. Proszę to udowodnić sobie.

— Nie potrzebuję, bo wiem.

— Pani nic nie wie — rzekł szorstko.

— Spokój, spokój, dzieci — odezwał się łagodząco ojciec.

— Wcale o to nie dbam — zaczęłam z oburzeniem, ale Ernest mi przerwał.

— O ile wiem, ma pani pieniądze — czy też ojciec pani, to na jedno wychodzi — zainwestowane w Zakładach Sierra.

— A cóż to ma do rzeczy? — zawołałam.

— Niewiele — wyrzekł powoli — tyle tylko, że suknia, którą ma pani ma sobie, splamiona jest krwią. Potrawy, które pani zjada, są przyrządzane z krwią. Krew małych dzieci i silnych mężczyzn

splywa z wiązania pani domu. Mogę przymknąć oczy i w tej chwili nawet usłyszeć, jak splywa kroplami wszędzie dookoła.

Jakby przystosowując zachowanie do słów, zamknął oczy i opadł na oparcie fotela. Wybuchnęłam płaczem z upokorzenia i zranionej próżności. Nigdy w życiu nikt nie potraktował mnie tak brutalnie. Biskup i ojciec byli zmieszani i zakłopotani. Usiłowali sprowadzić rozmowę na jakieś inne, mniej drażliwe tory, lecz Ernest otworzył oczy, spojrzął na mnie i dał im znak, by umilkli. Usta i oczy miał teraz surowe, nie było w nich ani śladu uśmiechu. Ale nie dowiedziałam się nigdy, co chciał mi powiedzieć, jaką jeszcze chłostę mi wymierzyć. W tej samej bowiem chwili jakiś człowiek przechodzący chodnikiem zatrzymał się i spojrzął na nas. Był to rosły mężczyzna, biednie ubrany, a na plecach niósł całe mnóstwo trzciniowych i bambusowych krzeseł, półek i parawanów. Patrzył na dom, jakby zastanawiając się, czy wejść i spróbować sprzedać coś ze swego towaru.

— Ten człowiek nazywa się Jackson — rzekł Ernest.

— Taki zdrowy mężczyzna powinien pracować, a nie zajmować się handlem domokrażnym — odparłam sucho.

— Czy zauważyła pani jego lewy rękaw? — spytał łagodnie Ernest.

Spojrzałam i zobaczyłam, że rękaw jest pusty.

— To właśnie krew z jego ręki słyszałam kapiącą z wiązań waszego domu — ciągnął Ernest tym samym tonem. — Stracił rękę w Zakładach Sierra i wyrzuciliście go na bruk, by zginął jak szkapa ze złamaną nogą. A kiedy mówię „wy”, mam na myśli administratora i urzędników, których opłacacie, wy i inni udziałowcy, za prowadzenie Zakładów. Kalectwo spowodował wypadek. Stało się to, gdy chciał uratować dla firmy parę dolarów. Tryby maszyny chwyciły mu ramię. Sięgnął, by wydobyć odprysk żelaza, który się tam dostał. Mógł tego nie robić, ale wówczas zdruzgotałoby tryby. A tak zmiażdżyło mu rękę, poszarpało na strzępy od palców do ramienia. Stało się to w nocy. Fabryka była czynna dłużej niż zwykle i tego kwartału wypłaciła tłustą dywidendę. Jackson pracował przez wiele godzin, jego mięśnie straciły zwykłą sprężystość i zręczność. Ruchy miał trochę zwolnione. Dlatego chwyciła go maszyna. Miał żonę i troje dzieci.

— A co zrobiły dla niego Zakłady? — spytałam.

— Nic. A raczej zrobiły coś. Wygrały proces o odszkodowanie, jaki wytoczył im Jackson po wyjściu ze szpitala. Zakłady, wie pani, mają bardzo zręcznych adwokatów.

— Pan nie powiedział wszystkiego — rzekłam z przekonaniem. — Albo też pan sam nie wie wszystkiego. Może ten człowiek był bardzo zuchwały?

— Zuchwały Ha! Ha! — zaśmiał się niczym Mefistofeles. — Wielki Boże! Zuchwały! Z tą oderwaną ręką! Przeciwnie, był mimo to cichym i pokornym sługą i nikt nie stwierdził, by kiedykolwiek zachował się zuchwale.

— Dobrze, ale sądy — nie ustępowałam. — Przecież sądy nie rozstrzygnęłyby sprawy na jego niekorzyść, gdyby nie było w niej czegoś jeszcze, o czym pan nie wspomniał.

— Głównym zastępcą prawnym Zakładów jest pułkownik Ingram. To kuty prawnik. — Ernest przez chwilę bacznie się we mnie wpatrywał, po czym ciągnął dalej: — Powiem pani, co pani powinna zrobić. Powinna pani zbadać sprawę Jack-sona.

— Już to sobie postanowiłam — odparłam chłodno.

— Świetnie — rozpromienił się Ernest — i powiem pani, gdzie go można znaleźć. Ale drzę na samą myśl o tym, czego musi się pani dowiedzieć w związku z ręką Jacksona.

W ten sposób zarówno biskup, jak ja przyjęliśmy wyzwanie Ernesta.

Wyszli razem zostawiając mnie na pastwę poczucia krzywdy wyrządzonej mnie i mojej klasie. Ten człowiek był dziką bestią. Nienawidziłam go wtedy i pocieszałam się myślą, że jego zachowanie

jest tym właśnie, czego spodziewać się można ze strony przedstawiciela klasy robotniczej.

ROZDZIAŁ TRZECI

REKA JACKSONA

nawet mi przez myśl nie przeszło, że ręka Jacksona odegra w moim życiu rozstrzygającą rolę. Sam Jackson nie zrobił na mnie wrażenia, kiedy go odszukałam. Znalazłam go w ruderze na skraju błot ciągnących się wzdłuż zatoki. Kałuże stojącej wody otaczały dom, ich powierzchnię pokrywała zielona, gnijąca pleśń, wydając ohydny, nie do zniesienia woń.

Jackson był istotnie cichym i pokornym człowiekiem, jakim opisał go Ernest. Zajęty wykończaniem jakiegoś przedmiotu z trzciny, przez czas naszej rozmowy ani na chwilę pracy tej nie przerywał. Mimo jednak pokory i uniżenia wyczułam nutę narastającej goryczy, kiedy powiedział: — Mogli byli przynajmniej dać mi zajęcie dozorca. Niewiele z niego wydobyłam. Wyglądał na tępego, a jednak zręczność, z jaką pracował swą jedną ręką, zdawała się temu wrażeniu przeczyć. To nasunęło mi pewne przypuszczenie.

— Jak to się stało — spytałam — że maszyna chwyciła panu rękę?

Spojrzał na mnie z namysłem i wahaniem, po czym potrząsnął głową.

— Sam nie wiem. Tak się jakoś stało.

— Nieuwaga? — nalegałam dalej.

— Nie — odparł — tego bym nie powiedział. Pracowałem już którąś nadgodzinę i musiałem być chyba porządnie zmęczony. Siedemnaście lat pracuję w tej fabryce i wiem, że wypadki zdarzają się prawie zawsze przed samym gwizdkiem. Mogę się założyć, że więcej wypadków zdarza się w ostatniej godzinie przed gwizdkiem niż przez całą resztę dnia. Człowiek nie rusza się już tak prędko, kiedy przepracuje tyle godzin. Wiem dobrze, bo tylu ich widziałem z poobcinanymi rękami i nogami czy całkiem poharatanych przez maszynę.

— Dużo? — spytałam.

— Setki, setki ludzi. I dzieci też.

Prócz kilku strasznych szczegółów Jackson powtórzył mi o swoim wypadku to, co już przedtem słyszałam. Kiedy spytałam, czy nie naruszył czasem jakichś przepisów pracy przy maszynie, potrząsnął głową.

— Odciągnąłem pas prawą ręką — powiedział — a lewą próbowałem uchwycić odprysk. Nie sprawdzałem, czy pas jest zdjęty. Myślałem, że to zrobiłem szarpnąwszy prawą ręką — tylko że nie zrobiłem. Spieszyłem się i nie ściągnąłem pasa do końca. Wtedy właśnie obcięło mi rękę.

— Musiało to bardzo boleć — rzekłam ze współczuciem.

— Tak, gruchotanie kości to nie jest rzecz przyjemna — odparł.

Na sprawę procesu o odszkodowanie miał pogląd dość mętny. Jedno tylko było dlań całkiem jasne — że nie dostał żadnego odszkodowania. W jego przekonaniu na niepomysłne orzeczenie sądu wpłynęły zeznania majstrów i administratora.

Zeznania te, jak się wyraził, „nie były takie, jak powinny”. Postanowiłam więc zwrócić się do tych ludzi.

Jackson znajdował się w rozpaczliwym położeniu. Żona mu chorowała, a trzcinowe wyroby sprzedawane po domach nie mogły dać zarobku wystarczającego na wyżywienie rodziny. Zalegał z czynszem, więc najstarszy synek, chłopak jedenastoletni, zaczął pracować w fabryce.

— Mogli byli zrobić mnie tym dozorcą — powiedział na ostatku, gdy już wychodziłam.

Kiedy później rozmówiłam się z prawnikiem, prowadzącym sprawę Jacksona, z obydwoma majstrami i administratorem Zakładów, którzy zeznawali w sądzie, doszłam do wniosku, że była jakaś racja w tym, co mówił Ernest.

Adwokat sprawiał wrażenie słabego i niedołęznego, toteż na jego widok przestałam się dziwić, że Jackson przegrał sprawę. Pomyślałam najpierw, że Jackson sam sobie zawinił biorąc takiego adwokata. Lecz zaraz potem przypomniały mi się dwie uwagi Ernesta: „Zakłady mają bardzo zręcznych adwokatów” i „pułkownik Ingram to kuty prawnik”. Zaczęłam lepiej rozumieć. Zaświtało mi w głowie, że oczywiście Zakłady mogą sobie pozwolić na lepszych adwokatów niż taki, na jakiego stać robotnika Jacksona. Był to jednak szczegół podrzędny. Musiały istnieć jakieś poważne racje, dla których Jackson przegrał sprawę.

— Dlaczego pan przegrał proces? — spytałam.

Adwokat zmieszał się i przez chwilę nie umiał dać odpowiedzi, ja zaś poczułam w sercu żal nad tym biedakiem. Potem zaczął narzekać. Myślę, że utyskiwanie było jego cechą wrodzoną. Należał do ludzi przegranych od urodzenia. Skarżył się na świadków. Złożyli tylko zeznania korzystne dla strony przeciwnej. Nie mógł z nich wydusić ani słowa, które zaważyłoby na rzecz Jacksona. Świadkowie dobrze wiedzieli, z kim lepiej nie zadzierać. A Jackson był głupcem. Pułkownik Ingram zakrzyczał go i zapędził w kozi róg. Znakomicie umiał brać w ogień krzyżowy pytań. Doprowadził do tego, że Jackson sam dawał szkodliwe dla siebie odpowiedzi.

— W jaki sposób jego odpowiedzi mogły być szkodliwe, jeżeli prawo było po jego stronie? — spytałam.

— A cóż prawo ma z tym wspólnego? — zapytał z kolei adwokat. — Widzi pani te książki? — wskazał dłonią zastawione tomami półki wzdłuż ścian małej kancelarii. — Przewertowałam je wszystkie i wiem, że ustawa to jedno, a prawo to drugie. Proszę spytać jakiegokolwiek prawnika. Prawa można nauczyć się w szkółce niedzielnej. Ale z tych ksiąg dowiedzieć się można, czym jest ustawa.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że Jackson miał prawo za sobą, a jednak przegrał sprawę? — pytałam z niedowierzaniem. — Czy chce pan powiedzieć, że w sądzie, u sędziego Caldwell, nie ma sprawiedliwości?

Mały adwokat spojrzał na mnie płonącymi oczyma, lecz po chwili ogień z nich ustąpił.

— Nic nie mogłem poradzić — zaczął znów utyskiwać. — Zrobili głupca z Jacksona, a także i ze mnie. Jakież ja miałem szanse? Pułkownik Ingram jest Wielkim prawnikiem. Gdyby nim nie był, czyż powierzono by mu zastępstwo prawne Zakładów Sierra czy syndykatu rolniczego Erston i Zjednoczenia Berkeley, i spółki Oakland, spółki San Leandro i Pleasanton Electric? Jest rzecznikiem spółek akcyjnych, a takim panom nie płaci się za to, by dawali robić ze siebie głupców. Jak pani myśli, za co same Zakłady Sierra płacą mu dwadzieścia tysięcy dolarów tocznie? Za to, że wart jest dla nich co najmniej tyle. A ja nie jestem wart takich pieniędzy. Gdybym był, nie siedziałbym tutaj głodując i podejmując się spraw takich jak Jacksona. Ile też, myśli pani, dostałbym, gdybym tę sprawę wygrał?

— Na pewno obdarłby go pan ze skóry — odrzekłam.

— Oczywiście — wykrzyknął gniewnie — muszę przecież z czegoś żyć, prawda?

— Jackson ma żonę i dzieci — wytknęłam mu z oburzeniem.

— Ja też mam żonę i dzieci — odrzucił — a poza mną żywa dusza na świecie nie troszczy się o to, czy mają one co włożyć do ust.

Twarz jego nagle złagodniała, otworzył zegarek i pokazał mi wprawioną wewnątrz koperty miniaturową fotografię kokiety i dwóch małych dziewczynek.

— Niech pani się im przypatrzy. Ciężko nam było, bardzo ciężko. Myślałem, że wyślę je na wieś, jeśli wygram sprawę Jacksona. Tutaj ciągle chorują, ale nie stać mnie na ich wyjazd.

Kiedy zaczęłam się żegnać, wrócił na nowo do swoich narzekania.

— Nie miałem cienia szans. Pułkownik Ingram i sędzia Caldwell przyjaźnią się ze sobą. Nie powiem, że ta przyjaźń rozstrzygnęłaby sprawę nawet, gdybym wydusił z ich świadków właściwe zeznania. Ale muszę powiedzieć, że sędzia Caldwell robił, co tylko mógł, żeby przeszkodzić mi w uzyskaniu tych zeznań. Nic dziwnego sędzia Caldwell i pułkownik Ingram należą do' tych samych klubów i stowarzyszeń. Mieszkają w tej samej dzielnicy — na którą mnie nie stać. A ich żony wiecznie nawzajem się odwiedzają. Spotykają się ciągle przy kartach i podobnych okazjach.

— Ale w gruncie rzeczy myśli pan, że Jackson miał prawo za sobą? — spytałam przystając na chwilę w progu.

— Nie myślę, ale wiem o tym — powiedział adwokat. — Dlatego z początku sądziłem, że ma jakieś widoki. Ale żonie nic o tym nie wspomniałem. Nie chciałem jej rozczarować. I bez tego ciągle marzyła o wyjeździe na wieś.

— Dlaczego nie zwrócił pan w sądzie uwagi, że Jackson starał się zapobiec uszkodzeniu maszyny? — spytałam Piotra Donnelly, jednego z majstrów, którzy złożyli zeznania na rozprawie.

Długo namyślał się nad odpowiedzią. Następnie rozejrzał się niespokojnie dokoła i odrzekł:

— Bo mam żonę, dobrą, poczciwą żonę i troje dzieci, najrozkoszniejszych, jakie pani kiedykolwiek widziała. Dlatego.

— Nie rozumiem.

— Krótko mówiąc, bo to nie byłoby zdrowo — odparł.

— Czy to znaczy... — zaczęłam. Przerwał mi gwałtownie.

— Znaczy to, co mówię. Pracuję w Zakładach już bardzo wiele lat. Jako mały chłopiec zacząłem przy wrzecionach. Od tego czasu pracuję. Ciężką pracą zaszedłem wysoko, tu, gdzie dziś jestem. Bo jestem, proszę, pani, majstrem. Ale wątpię, żeby w całej fabryce znalazł się ktoś, kto podałby mi rękę, gdybym tonął. Kiedyś należałem do związku. Ale w czasie dwóch strajków wzięłem stronę Zakładów. Nazwali mnie „złotym”. I teraz nie znajdzie się nikt między nimi, kto wypiłby ze mną kieliszka. Czy widzi pani te blizny? To od cegieł, które we mnie rzucali. Wszyscy mnie przeklinają, nawet dzieci w przedzalni. Fabryka to teraz mój jedyny przyjaciel. Muszę stać przy niej nie z obowiązku, ale dlatego, że to chleb z masłem i życie moich dzieci. Teraz wie pani dlaczego.

— Czy Jackson nie był w porządku? — spytałam.

— Powinien dostać to odszkodowanie. Był dobrym robotnikiem i nigdy z nim nie było kłopotu.

— To znaczy, że choć pan przysiągł, nie mógł pan powiedzieć całej prawdy?

Potrząsnął głową.

— Prawdę, całą prawdę i nic tylko prawdę? — wyrzekłam uroczyście.

Jego twarz znowu stanęła w ogniach. Zwrócił ją nie ku mnie, ale ku niebu.

— Dla moich dzieci oddałbym duszę i ciało na wieczne potępienie — odrzekł.

Administrator Henryk Dallas, osobnik o lisiej twarzy, spojrział na mnie bezczelnie i nie chciał nic powiedzieć. Nie wydobyłam z niego ani słowa na temat rozprawy i jego zeznań. Ale z drugim majstrem miałam więcej szczęścia. James Smith miał twarz tak srogą, że serce mi zamarło, kiedy go zobaczyłam. On także wywarł na mnie wrażenie pozbawionego wolnej woli, a gdy zaczęłam z nim mówić, spostrzegłam, że umysłowo stoi wyżej niż przeciętna jego środowiska. Zgodził się z Piotrem Donnelly, że Jacksonowi należało się odszkodowanie. Posunął się nawet dalej, mówiąc, że trzeba nie mieć serca, by z zimną krwią wyrzucić robotnika na bruk, kiedy wypadek uczynił go niezdarnym do pracy. Wyjaśnił mi również, że w fabryce było dużo wypadków i że Zakłady przestrzegały

bezwzględnie metody procesowania się do ostatek o wszelkie wynikię stąd roszczenia o odszkodowania.

— Akcjonariuszom daje to setki tysięcy co roku — powiedział. A gdy to mówił, przypomniałam sobie ostatnią dywidendę wypłaconą ojcu, piękną toaletę dla mnie i książki dla siebie, jakie z tych pieniędzy kupił. Przypomniałam sobie oskarżenie Ernesta, że moja suknia splamiona jest krwią i od dotknięcia tej sukni skóra na mnie ścierpła.

— Zeznając na rozprawie, nie podkreślił pan, że Jacksona spotkał wypadek, ponieważ usiłował ratować maszynę przed uszkodzeniem? — spytałam.

— Nie, nie mówiłem tego — odparł i gorycz wykrzywiła mu usta. — Zeznałem, że Jackson uległ kalectwu z powodu własnego niedbalstwa i nieuwagi i że Zakłady nie mogą za to ani odpowiadać, ani być potępiane.

— A czy to było niedbalstwo? — spytałam.

— Można to nazwać, jak się komu podoba. Fakt jest faktem, że po wielu, godzinach pracy każdy będzie zmęczony.

Człowiek ten zaczął mnie interesować. Naprawdę był nieprzeciętny.

— Ma pan, zdaje się, lepsze wykształcenie niż większość robotników — rzekłam.

— Skończyłem szkołę średnią — odparł. — A utrzymywałem się pracując *jako* dozorca. Miałem zamiar pójść na uniwersytet. Ale mój ojciec umarł i skończyło się na pracy w fabryce. Chciałem być przyrodnikiem — wyjaśnił wstydliwie, jak gdyby przyznawał się do jakiejś słabości. — Ubóstwiałem zwierzęta. Ale musiałem pójść do pracy w fabryce. Kiedy zostałem majstrem, ożeniłem się, potem przyszyły dzieci i... po prostu nie byłem już sam sobie panem.

— Co pan przez to rozumie?

— Chciałem, żeby pani wiedziała, dlaczego na rozprawie złożyłem takie zeznania, dlaczego trzymałem się wskazówek. — Czyich, wskazówek?

— Pułkownika Ingrama. Powiedział mi dokładnie, co i jak mam zeznać.

— I Jackson przegrał przez to sprawę.

Skinął głową, a na jego twarz wystąpił ciemny rumieniec.

— A Jackson ma na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci.

— Wiem — odrzekł spokojnie, choć twarz pociemniała mu jeszcze bardziej.

— Niech mi pan powie — mówiłam dalej — czy było to łatwe przedzierać się z tego, czym pan był jeszcze w szkole średniej, w takiego człowieka, jakim pan się musiał stać, żeby zrobić to, co zrobił pan na rozprawie?

Gwałtowność jego wybuchu zdumiała mnie i przeraziła. Stek przekleństw wyrwał mu się z ust; zacisnął pięść, jakby miał mnie zaraz uderzyć.

— Przepraszam panią — odezwał się po chwili. — Nie, to nie było łatwe. A poza tym myślę, że może już pani iść. Dowiedziała się pani ode mnie wszystkiego, czego chciała. Ale na ostatek pozwoli pani, że jeszcze jedno jej powiem. Nic z tego nie przyjdzie, jeśli pani zechce powtórzyć moje słowa. Zaprzeczę im, a nie ma tu żadnych świadków. Zaprzeczę każdemu słowu. A w razie potrzeby zrobię to pod przysięgą i w sądzie.

Po rozmowie ze Smithem poszłam do gabinetu ojca w Gmachu Chemii i tam spotkałam Ernesta. Stało się to niespodzianie, ale powitał mnie znowu śmiałym spojrzeniem, mocnym uściskiem dłoni i tą właściwą mu mieszaniną swobody i niezdarności. Zachował się tak, jakby nasze poprzednie burzliwe spotkanie poszło w zapomnienie. Ja jednak nie byłam skłonna puścić go w niepamięć.

— Badałam sprawę Jacksona — zaczęłam z miejsca. Zamienił się cały w słuch i czekał, co powiem dalej. Tylko w jego oczach wyczytałam pewność, że moje dotychczasowe przekonania

zostały zachwiane.

— Zdaje się, że go źle potraktowano — przyznałam. — Myślę, że... że jego krew rzeczywiście jest na wiązaniach naszego domu.

— Niewątpliwie — odparł Ernest. — Gdyby Jacksona i jemu podobnych traktowano łagodnie, dywidendy nie byłyby tak wielkie.

— Już nigdy — dodałam — żadna nowa suknia nie sprawi mi przyjemności.

Odczuwałam pokorę i skruchę, a przy tym doznawałam miłego uczucia, że Ernest jest jak gdyby moim spowiednikiem. Już wtedy, jak zawsze później, pociągała mnie 'jego siła. Promieniowało z niej nadzieją spokoju i opieki.

— A szata pokutna z worka też pani przyjemności nie sprawi — odrzekł z powagą. — W fabrykach worków dzieje się zupełnie to samo. Dzieje się wszędzie/Nasza tak opiewana cywilizacja oparta jest na krwi, przepojona jest krwią i ani pani, ani ja, ani nikt w ogóle nie może uniknąć jej szkarłatnego piętna. Co to byli za ludzie, z którymi pani mówiła?

Opowiedziałam mu szczegółowo, co się zdarzyło.

— A więc żaden z nich — rzekł Ernest — tnie był panem siebie. Wszyscy są przywiązani do bezlitosnej maszyny przemysłu. A co jest najstraszniejsze, co jest największą tragedią, to to, że wiążą ich węzły serca. Wiążą ich dzieci, a chronienie tych młodych istnień jest u nich instynktowną wprost koniecznością. Ten instynkt jest silniejszy niż wszelkie poczucie moralne. Mój ojciec I Mój ojciec kłamał, kradł, dopuszczał się mnóstwa nieuczciwości dla kawałka chleba, który musiał mieć dla mnie i moich braci i siostr. Był niewolnikiem maszyny przemysłowej, która z niego wyssała życie, zamęczyła na śmierć.

— Ale pan — przerwałam — pan z pewnością jest panem siebie.

— Niezupełnie — odparł. — Nie jestem związany węzłami serca i często dziękuję przeznaczeniu, że nie mam dzieci, choć bardzo dzieci kocham. Ale gdybym się kiedy ożenił, nie śmiałybym nigdy mieć dziecka.

— To bardzo zła zasada I — wykrzyknęłam.

— Wiem o tym — odrzekł ze smutkiem. — Ale praktyczna. Jestem rewolucjonistą, a to niebezpieczny zawód.

Roześmiałam się z niedowierzaniem.

— Gdybym spróbował dostać się w nocy do domu pani ojca i wykraść mu dywidendy z Zakładów Sierra — co by wtedy zrobił?

— Śpi zawsze z rewolwerem na stoliku przy łóżku — odparłam. — Najprawdopodobniej zastrzeliłby pana.

— A gdybym ja i jeszcze paru innych poprowadziło półtora miliona ludzi do wszystkich domów bogaczy, to strzelaniny byłoby chyba sporo, prawda?

— Tak, ale pan przecież tego nie robi — odrzekłam.

— Przeciwnie, ja właśnie to zrobię. I zamierzamy odebrać nie tylko bogactwa w domach, ale i wszystkie źródła tych bogactw, wszystkie kopalnie, koleje, fabryki, banki czy składy. Na tym polega rewolucja. Jest to rzecz naprawdę niebezpieczna. I myślę, że może być przy tym więcej strzelaniny, niż sam się spodziewam. Ale, jak już mówiłem, nikt nie jest dzisiaj panem siebie. Jesteśmy wszyscy wplątani w koła i tryby maszyny przemysłowej. Stwierdziła to pani w stosunku do siebie i ludzi, z którymi pani rozmawiała. Niech pani rozmawia dalej. Niech pani zobaczy się z pułkownikiem Ingramem, z reporterami, którzy o sprawie Jacksona nie chcieli ani słówkiem wspomnieć w gazetach, niech pani pomówi z wydawcami tych gazet, a przekona się pani, że wszyscy są niewolnikami maszyny.

Po chwili rozmowy zagadnęłam go, jak często robotnicy ulegają wypadkom. W odpowiedzi usłyszałam wykład statystyczny.

— Są to rzeczy znane — powiedział — i ogłoszone drukiem. Z 'danych wynika niezbicie, że wypadki rzadko zdarzają się w początkowych, porannych godzinach pracy. Ale ich liczba rośnie szybko w godzinach późniejszych, gdy robotnicy są coraz bardziej zmęczeni, przez co zarówno ich ruchy, jak i procesy umysłowe stają się powolniejsze.

Czyż pani nie wie na przykład, że ojcu pani zagraża trzykrotnie mniejsze niebezpieczeństwo śmierci lub kalectwa niż robotnikowi? Towarzystwa ubezpieczeń dobrze o tym wiedzą. Dlatego ojcu pani liczą po cztery dolary i dwadzieścia centów rocznie za każde tysiąc dolarów ubezpieczenia od wypadku, a robotnikowi za takie samo ubezpieczenie kazaliby płacić piętnaście dolarów.

— A jak liczą panu? — spytałam i w tej samej chwili doznałam niepokoju, który był czymś więcej niż zwyczajną troską.

— Och, jako rewolucjoniście grozi mi jakie osiem razy większe niż robotnikowi niebezpieczeństwo kalectwa czy też utraty życia — odparł niefrasobliwie. — Towarzystwa ubezpieczeń pobierają od chemików specjalistów mających do czynienia z materiałami wybuchowymi osiem razy tyle, co od robotników. Nie sądzę, by mnie chciano w ogóle ubezpieczyć. Dlaczego pani pyta?

Spuściłam wzrok, czując, że krew napływa mi do policzków.

I nie z tego powodu, że on zauważył mój niepokój, lecz że spostrzegłam to sama i w jego obecności.

Ale w tej właśnie chwili wszedł ojciec i zaczął przygotowywać się do wyjścia ze mną. Ernest zwrócił książki, które poprzednio pożyczał, i pożegnał się pierwszy. Przedtem jednak zwrócił się do mnie i rzekł:

— Ale, ale, sikoro już pani zakłóciła swój spokój ducha, a ja zakłócam go biskupowi, niechże pani zobaczy się z panią Wickson i panią Pertonwaithe. Ich mężowie, jak pani wie, to główni akcjonariusze Sierry. Te dwie panie są, podobnie jak reszta ludzkości, związane z machiną. Ale związane w taki sposób, że siedzą na jej wierzchu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

NIEWOLNICY MACHINY

Im dłużej myślałam o ręce Jacksona, tym bardziej byłam wstrząśnięta. Znalazłam się oko w oko z rzeczywistością. Po raz pierwszy zobaczyłam życie. Mój pobyt na uniwersytecie, studia i nabyta kultura, wszystko to nie było realne. Niczego się nie nauczyłam poza teoriami o życiu i społeczeństwie, które wyglądały pięknie tylko na kartkach książek. Teraz dopiero ujrzałam samo życie. Ręka Jacksona była życiowym faktem. „Fakty, panowie, nieodparte fakty!” — to zdanie Ernesta rozlegało się w mej pamięci.

Zdawało mi się potworną niemożliwością, by całe społeczeństwo zbudowane było na krwi. A jednak istniała sprawa Jacksona. Nie mogłam przed nią uciec. Myśl moja bezustannie zwracała się do niego, jak igła kompasu do bieguna. Potraktowano go w sposób ohydny. Nie zapłacono mu za jego krew po to, by wypłacić większą dywidendę. I znałam kilkanaście szczęśliwych, zadowolonych rodzin, które dostały te dywidendy i w ten sposób ciągnęły zysk z krwi Jacksona. Jeśli z jednym człowiekiem można było tak ohydnie postąpić, a społeczeństwo tego nawet nie dostrzegło, to czy i z wielu innymi nie postępuje się równie ohydnie? Wspominałam kobiety z Chicago, o których Ernest mówił, że pracują za dziewięćdziesiąt centów tygodniowo, i opisane przez niego niewolnictwo dzieci w południowych przędzalniach bawełny. Widziałam ich blade jak pergamin dłonie, z których całą krew wyciśnięto przy wyrobie tkaniny na moją suknię. A potem myślałam o Zakładach Sierra i wypłaconych przez nie dywidendach i na mej sukni widziałam także krew Jacksona. Przed Jacksonem nie było ucieczki. Wszystkie rozmyślenia prowadziły mnie zawsze do niego.

Gdzieś w głębi duszy miałam uczucie, że znalazłam się nad brzegiem przepaści. Było to, jakbym miała za chwilę ujrzeć nowe a straszne objawienie życia. I nie tylko ja jedna. Cały mój świat przewracał się do góry nogami. Mój ojciec — zauważyłam, jaki wpływ Ernest zaczyna na niego wywierać. A biskupi Gdy go widziałam ostatnio, wyglądał na człowieka chorego. Nerwy miał do ostatka napięte, a z jego oczu wyzierała nieopisana groza. Z ułamków wiadomości rozumiałam, że Ernest dotrzymał obietnicy i zabrał go w podróż do piekieł. Nie wiedziałam jednak, co oglądały oczy biskupa, gdyż zanadto był oszołomiony, aby móc o tym mówić.

Raz, kiedy szczególnie mocno odczułam, że i mój mały świat, i cały świat się wali, pomyślałam, iż sprawcą tego jest Ernest. I pomyślałam jeszcze, że żyliśmy tak spokojnie i szczęśliwie, zanim się zjawił! Lecz już w następnej chwili uświadomiłam sobie, że taka myśl jest zdradą wobec prawdy. Ukazał mi się Ernest przeobrażony, Ernest jako apostoł prawdy, o jaśniejszej skroni, nieustraszony jak anioł boży zesłany dla walki o sprawiedliwość i prawdę, zesłany na pomoc biednym, opuszczonym i uciemżonym. A potem ukazała mi się inna jeszcze postać — postać Chrystusa! On również brał stronę opuszczonych i uciemżonych przeciw całej wszechwładnej potędze kapłanów i faryzeuszy. I wspominałam jego kres na krzyżu, a moje serce Skurczyło się od bólu, gdyż pomyślałam zarazem o Ernestie. Czy też i jego przeznaczeniem jest krzyż? Czy zginąć ma ten głos bojowy a czysty jak pobudka, to uosobienie męstwa i szlachetnej siły?

W tej samej chwili rozumiałam, że kocham go i że trawi mnie pragnienie, by go pocieszyć. Pomyślałam o jego życiu. Jakże musiało być ubogie surowe i smutne. Pomyślałam o jego ojcu, który kłamał i kradł dla niego i zapracował się na śmierć. A on sam poszedł do fabryki, kiedy miał dziesięć lat! Serce pękało mi niemal, tak chciałam objąć go ramionami, złożyć jego głowę na mojej

piersi — głowę, która musi być bardzo znużona tyłoma myślami; zapewnić mu spokój — po prostu spokój — wytchnienie i zapomnienie, choćby na krótko.

Na jakimś zebraniu religijnym spotkałam pułkownika Ingrama. Znałam go dobrze i od wielu lat. Przychwyciłam go jak w pułapce — choć o tym nie wiedział — w ogrodzie zimowym pełnym wielkich palm i figowców. Przywitał mnie z radością, zdawkową, lecz pełną uprzejmości. Stanowił uosobienie taktu, dyplomacji i względów, był szarmancki jak zawsze. A z wyglądu był w naszym kręgu najbardziej dystyngowanym panem. Nawet czcigodny rektor uniwersytetu wyglądał przy nim niepozornie.

A jednak przekonałam się, że pułkownik Ingram jest w tym samym położeniu co niepiśmienny robotnik. Nie był panem siebie. On również był przywiązany do koła maszyny. Nie zapomnę zmiany, jaka w nim zaszła, gdy poruszyłam sprawę Jacksona. Uśmiechnięta życzliwość znikła nagle jak widmo, a wyraz przerażenia zniekształcił jego pełne dystynkcji oblicze. Odczułam ten sam niepokój co wtedy, gdy James Smith wybuchnął przekleństwami. Ale pułkownik Ingram nie kłął. Była to jedyna drobna różnica między robotnikiem a nim. Słyszał z dowcipu, lecz teraz nie umiał się zdobyć na żart. Bezwiednie zaczął rozglądać się na wszystkie strony szukając ucieczki. Ale był w pułapce wśród palm i figowców.

Ach, na samo wspomnienie nazwiska Jackson robi mu się słabo. Dlaczego poruszyłam tę sprawę? Nie uważa wcale mojego żartu za dobry. Było to z mojej strony w złym smaku i bardzo nie na miejscu. Czyż nie wiem, że w jego zawodzie osobiste uczucia wcale się nie liczą? Osobiste uczucia musi zostawić w domu idąc do biura. Z chwilą przekroczenia progów kancelarii ma już tylko uczucia zawodowe.

— Czy Jackson powinien być dostać odszkodowanie? — spytałam.

— Oczywiście — odparł. — To znaczy osobiście uważam, że tak. Ale nie ma to nic wspólnego ze stroną prawną.

Zaczynał powoli odzyskiwać panowanie nad sobą.

— Niech mi pan powie — spytałam — czy prawo i ustawa to jedno?

— Zapomina pani o tym, co idzie przed prawem,

— Siła? — domyśliłam się, pułkownik zaś skinął głową. — A przecież — ciągnęłam — wyobrażamy sobie, że ustawy zapewniają nam wymiar sprawiedliwości?

— Na tym polega paradoks — odparł z uśmiechem. — Bo istotnie mamy wymiar sprawiedliwości.

— Pan mówi teraz jako przedstawiciel adwokatury, prawda? — spytałam.

Twarz pułkownika zrobiła się, dosłownie czerwona. Znów zaczął szukać sposobu ucieczki. Lecz zagroziłam mu drogę i stałam nieruchomo.

— Proszę mi powiedzieć — rzekłam — kiedy ktoś podporządkuje osobiste uczucia uczuciom zawodowym, czy nie jest to swego rodzaju przemieszczenie duchowe?

Nie otrzymałam już odpowiedzi. Pułkownik Ingram wymknął się niechlubnie, przewracając po drodze wielką donicę z palmą.

Wówczas zwróciłam się do dzienników. Napisałam spokojną, powściągliwą i obiektywną relację ze sprawy Jacksona. Nie oskarżałam ludzi, z którymi odbyłam rozmowy, a nawet ich nie wymieniłam. Podałam tylko nagie fakty, długie lata pracy Jacksona w Zakładach, jego próbę ratowania maszyny i wynikły z tym wypadek oraz jego obecne rozpaczliwe, głodowe warunki. Wszystkie trzy miejscowe dzienniki odrzuciły moją notatkę, a tak samo zrobiły obydwie tygodniki.

Dotarłam do Percy Laytona. Po skończeniu uniwersytetu Percy Layton poświęcił się

dziennikarstwu i terminował jako reporter najbardziej wpływowej z trzech gazet. Uśmiechnął się, gdy go spytałam, dlaczego dzienniki nie chciały zamieścić żadnej wzmianki o Jacksonie czy jego sprawie.

— Polityka redakcyjna — odparł. — My, reporterzy, nie mamy z tym nic wspólnego. To rzecz redaktorów.

— A cóż to za polityka?

— Solidarności z wielkimi przedsiębiorstwami — wyjaśnił. — Takiej notatki nie mogłaby pani zamieścić nawet w formie płatnego ogłoszenia. Ktoś, kto spróbowałby przemycić to do gazety, straciłby posadę. Nikt by tego nie puścił, choćby pani chciała zapłacić dziesięciokrotną cenę ogłoszenia.

— A jaka jest pana własna polityka? — spytałam. — Wygląda mi na to, że pana zadaniem jest wypaczanie prawdy na polecenie redakcji, która z kolei spełnia rozkazy wielkich przedsiębiorców.

— Ja nie mam z tym nic wspólnego, — Przez chwilę miał jakiś niepewny wyraz twarzy, po czym rozpoznał się, jak gdyby znalazł wyjście. — Ja sam nie piszę nigdy rzeczy kłamliwych. Pozostaję w zgodzie z moim sumieniem. Pewnie, że w pracy codziennej natyka się człowiek na mnóstwo ohydy. Ale i to jest nieuchronną częścią tej pracy — zakończył jak chłopiec, który wymyślił wykręt.

— Lecz przecież spodziewa się pan zająć kiedyś fotel redaktorski i samemu uprawiać politykę.

— O, do tego czasu będę już zahartowany.

— Póki nie jest pan jeszcze zahartowany, niech pan mi powie, co pan teraz myśli o ogólnej polityce redakcyjnej.

— Wcale o niej nie myślę — odparł z pośpiechem. — Jeśli się chce zrobić karierę w dziennikarstwie, nie można podcinać gałęzi, na którą się wchodzi. Tyle to już chyba umiem.

Tu gestem mędrca skinął swą młodą głową. — Czy to aby w porządku? — obstawałam przy swoim. — Nie rozumie pani, na czym polega gra. Wszystko to jest w porządku, bo dobrze się kończy, czy pani tego nie widzi?

— Zachwycająca mętność — mruknęłam. Bolałam nad jego młodością i czułam, że albo krzyknę, albo wybuchnę płaczem.

Zaczynałam teraz przezierać pozory społeczeństwa, w którym żyłam, i dostrzegać ukrytą pod spodem straszliwą rzeczywistość. Jakaś milcząca zmowa zdawała się otaczać Jacksona i odczułam odrobinę sympatii dla płaczącego adwokata, który tak niechlubnie stał w jego sprawie. Milcząca zmowa zataczała jednak coraz szersze kręgi. Kierowała się już nie tylko przeciw Jacksonowi. Wymierzona była przeciw wszystkim robotnikom, jacy ulegli kalectwu w Zakładach. A skoro przeciw wszystkim robotnikom w Zakładach, to z pewnością i przeciw wszystkim robotnikom innych zakładów i fabryk. Czyż więc tak było w całym przemyśle?

Ale w takim razie istotę społeczeństwa stanowiło kłamstwo. Wzdrygnęłam się wobec takiego wniosku. Był zbyt groźny i straszny, aby być prawdziwym. Lecz był przecie Jackson i była ręka Jacksona, i krew na mojej sukni, krew na więzaniach naszego domu. A Jackson nie był jeden — jak to sam mówił, były ich setki w samych Zakładach Sierra. Nie mogłam ujść Jacksonowi.

Widziałam się z panami Wicksonem i Pertonwaithe, dwoma głównymi akcjonariuszami Zakładów. Nie mogłam poruszyć żadnym z nich, jak poruszyłam robotnikami, których zatrudniali. Stwierdziłam, że mają etykę wyższą, inną niż reszta społeczeństwa. Nazwałabym ją etyką arystokratyczną czy etyką panów. Mówili górnice o polityce i utożsamiali ją z prawem. Zwracali się do mnie tonem ojcowskim, wyrozumiali dla mej młodości i braku doświadczenia. Rozmowa z nimi była najbardziej beznadziejna ze wszystkich, jakie odbyłam w toku moich poszukiwań. Wierzyli bez zastrzeżeń, że ich postępowanie jest słuszne. Nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości, żadnej

dyskusji. Byli przekonani, że są zbawcami społeczeństwa i że im właśnie szerokie rzesze zawdzięczają szczęśliwość. Kreślili obrazy straszliwych cierpień, jakie musiałaby znosić klasa robotnicza, gdyby nie zatrudnienie, którego w swej mądrości oni i tylko oni jej dostarczają.

Zaraz potem spotkałam Ernesta i opowiedziałam moje przygody. Spojrzał na mnie z wyrazem zadowolenia i rzekł:

— To świetnie. Zaczyna pani sama dogrzebywać się prawdy. Dochodzi pani do własnych wniosków, opartych na doświadczeniu i słusznych. Nikt w całej machinie przemysłowej nie jest panem siebie, z wyjątkiem wielkiego kapitalisty, który też nim nie jest, jeśli mi pani wybaczy ten irlandzki zwrot. Właściciele, jak pani widzi, są najzupełniej pewni słuszności wszystkiego, co robią. Jest to szczytowy bezsens całej sytuacji. Tak bardzo są zależni od swej ludzkiej natury, że nie postawią kroku bez przeświadczenia, iż mają rację. Potrzebne im jest uznanie dla *ich* czynów.

Ilekroć, oczywiście w zakresie interesów, chcą coś przeprowadzić, czekają, aż w ich mózgach zrodzi się jakieś religijne, moralne, naukowe lub filozoficzne uzasadnienie słuszności danego projektu. A wtedy wprowadzają go w życie, nieświadomi słabości ludzkiego umysłu, która powoduje, że rodzicielem myśli jest życzenie. Tak więc, gdy czegoś zapragną, uzasadnienie samo już im przychodzi. Są powierzchownymi kazuistami. Są jak jezuici. Potrafią nawet wyrządzenie krzywdy usprawiedliwić jakimś dobrem, które ma z niej rzekomo wyniknąć. Jedną z ulubionych fikcji, którą sami stworzyli, a uważają za pewnik, jest przekonanie, że górują nad resztą ludzkości mądrością i talentami organizacyjnymi. Stąd czerpią prawo do rozporządzania bochenkiem chleba całej reszty ludzkości. Wskrzesili nawet teorię o boskich prawach królów — w tym wypadku królów przemysłowych.

Słabość ich położenia płynie stąd, że są tylko ludźmi interesu. Nie są filozofami. Nie są biologami ani socjologami. Gdyby nimi byli, wszystko oczywiście byłoby w porządku. Przedsiębiorca, który byłby zarazem biologiem i socjologiem, wiedziałby mniej więcej, co dobre jest dla ludzkości. Ale poza swoim królestwem interesów ci ludzie są głupi. Znają się tylko na interesach. Nie znają ani człowieka, ani społeczeństwa, a jednak narzucają siebie na arbitrów decydujących o losie zgłodniałych milionów i w ogóle wszystkich ludzi. Pewnego dnia historia straszliwie sobie z nich zakpi.

Nie zdziwił mnie wcale przebieg mej rozmowy z panią Wickson i panią Pertonwaithe. Były to kobiety z towarzystwa. Mieszkały w pałacach i willach rozsianych po całym kraju, w górach, nad jeziorami, nad morzem. Usługiwały im całe armie służby, a rozmiary ich towarzyskich poczynań były wprost fantastyczne. Opiekowały się uniwersytetem i kościołami, toteż duchowni chyliłi im się do nóg w kornym poddaństwie. Każda z tych dwu kobiet była potęgą dzięki pieniądzom. Swoje znaczne wpływy opierały również na tym, że finansowały myśl naukową, jak o tym przekonałam się wkrótce pod kierunkiem Ernesta.

Małpowały mężów i tak samo jak oni górnice mówiły o polityce, obowiązkach i odpowiedzialności bogaczy.

Kierowała nimi ta sama etyka co: i ich mężami: etyka ich klasy. I powtarzały różne gładkie frazesy, których nie rozumiały.

Tak samo wpadły w wielkie rozdrażnienie, gdy opowiedziałam im o strasznym położeniu rodziny Jacksona, dziwiąc się, że nie pomyślały, by z własnej woli jakoś go zabezpieczyć. Powiedziały, że nie potrzebują niczyich pouczeń, jak mają wypełniać swe obowiązki społeczne. A kiedy poprosiłam wręcz, by Jacksonowi pomogły, odmówiły bez ogródek. Najbardziej zadziwiająca było to, że odmówiły tymi samymi niemal słowami, choć rozmawiałam z każdą z nich z osobna i żadna nie miała pojęcia, że widziałam się czy mam się zobaczyć z drugą. Jednakowo mnie zapewniły, że chętnie

stwierdzą raz na zawsze, iż nie nagrodzą nigdy niczyjego niedbalstwa; nie dadzą też ani grosza nikomu, kto miał wypadek, bo stwarza to dla biednych pokusę szukania naumyślnie kalectwa przy maszynie.

I obie te damy były zupełnie szczerze. Upajały się poczuciem wyższości własnej i swojej klasy. W swojej klasowej etyce znajdowały uzasadnienie dla wszystkiego, co robiły. Gdy opuszczałam wspinały dom pani Pertonwaithe, przyjrzałam się temu gmachowi i przypomniałam sobie powiedzenie Ernesta, że one też przywiązane są do maszyny, ale w taki sposób, że siedzą na jej szczycie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

FILOMACI

Ernest często bywał w naszym domu. A przyciągał go nie tylko mój ojciec i nie tylko obiadowa dyskusja. Już wtedy przypisywałam sobie, że w pewnym stopniu jestem przyczyną tych wizyt. Niewiele upłynęło czasu, gdy przekonałam się o słuszności moich przypuszczeń. Nie było bowiem nigdy na świecie człowieka tak kochającego, jak Ernest Everhard. Jego wzrok przenikał mnie coraz głębiej, uścisk dłoni stawał się coraz mocniejszy. A pytanie, jakie od początku wyczytałam w jego oczach, coraz bardziej domagało się odpowiedzi.

Kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, odniosłam wrażenie niezbyt dodatnie. Potem odczułam, że mnie wyraźnie pociąga. Jeszcze później przysła odraza, gdy tak dziko zaatakował moją klasę i mnie. W końcu jednak, kiedy zobaczyłam, że nie oczernił mej klasy, że przykre i gorzkie rzeczy, które o niej mówił, były zupełnie słuszne, zaczęłam znów zbliżać się do niego. Stał się dla mnie wyrocznią. Był tym, który zerwał zasłonę z oblicza społeczeństwa i pozwolił mi ujrzeć rzeczywistość, równie przykrą, jak niewątpliwie prawdziwą.

Mówiłam już, że nigdy na świecie nikt tak nie kochał jak on. W mieście uniwersyteckim dorosła, dwudziestoczteroletnia dziewczyna musiała oczywiście mieć za sobą jakieś doświadczenia w miłości. Kochali się we mnie gołowąsi studenci i siwi profesorowie, czołowi piłkarze i lekkoatleci. Ale żaden z nich tak nie kochał jak Ernest. Jego ramiona otoczyły mnie, zanim sobie zdałam z tego sprawę. Usta jego znalazły się na moich, zanim mogłam wyrzec słowo protestu czy zrobić gest oporu. Moja konwencjonalna panińska wstydlivość wydawała się śmieszną przy sile jego uczuć. Ich napór był nie do przewyciężenia i po prostu nie mogłam mu się oprzeć. Ernest nie oświadczył mi się. Wziął mnie w ramiona, pocałował i przyjął za pewnik, że się pobierzemy. Nie mogło być o tym dyskusji. Jedyna rzecz do rozważenia — co zresztą wynikło później — to termin naszego ślubu.

Było to niesłychane. Nierzeczywiste. A jednak zgodnie z tym, co Ernest określił jako miernik prawdy, skuteczne. Życie me zawierzyłam temu uczuciu. Ufność ta dała mi szczęście. Co prawda w pierwszych dniach naszej miłości lęk przed jutrem nachodził mnie często, gdy rozmyślałam o pasji i gwałtowności jego uczucia. Ale obawy te były bezpodstawne. Żadna kobieta nie miała nigdy bardziej czulego i łagodnego męża. Owa łagodność i pasja tworzyły w nim dziwną mieszaninę, podobnie jak połączenie swobody i niezdarności. Ach, ta jego niezdarność. Nigdy nie zdołał wyzbyć się jej całkowicie, a była zachwycająca. W naszym salonie zawsze przypominał mi trochę słonia w składzie porcelany.

W tym właśnie czasie opuściły mnie resztki wątpliwości (na ogół podświadomych), czy moja miłość dla niego jest bez zastrzeżeń. Stało się to w Klubie Filomatów, pewnego niezwykłego wieczoru, gdy rozegrała się bitwa, w której Ernest osaczył magnatów w ich własnej kryjówce. Trzeba wiedzieć, że Klub Filomatów był najbardziej zamkniętym klubem w całej Kalifornii. Był dziełem Miss Brentwood, niesłychanie bogatej starej panny, i stał się dla niej mężem, rodziną i rozrywką. Członkowie rekrutowali się z samych bogaczy, i to najwybitniejszych, a oczywiście kilku naukowców dla nadania klubowi tonów intelektualnych.

Filomaci nie mieli własnego lokalu. Nie był to ten rodzaj klubu. Raz na miesiąc zbierali się w domu należącym do kogoś z nich, by wysłuchać odczytu. Prelegenci byli zwykle płatni, chociaż nie zawsze. Jeśli jakiś nowojorski chemik zrobił na przykład odkrycie w zakresie radu, opłacano mu

podróż poprzez cały kontynent, a ponadto dostawał królewskie honorarium za stracony czas. To samo było ze słynnym podróżnikiem wracającym gdzieś spod bieguna czy z najnowszą sławą literacką lub artystyczną. Nie wolno było wprowadzać gości i Filomaci pilnie przestrzegali zasady, by żadne sprawozdania z ich zebrań nie dostawały się do prasy. Toteż wybitni mężowie stanu — a były i takie wypadki — mogli tam z całą szczerością wyrażać swe poglądy.

Zmięty list, który dostałam od Ernesta dwadzieścia lat temu, leży teraz przede mną. Z niego przepisuję ten ustęp:

„Twój ojciec należy do Filomatów, więc możesz bywać w (ich klubie. Przyjdź zatem we wtorek wieczór. Obiecuję ci mnóstwo wrażeń. W twoich niedawnych potyczkach nie wstrząsnęłaś nikim z magnatów, jeśli przyjdiesz, zrobię to za ciebie. Zmuszę ich, aby wyli jak wilki. Ty kwestionowałaś tylko ich moralność. A kiedy kwestionuje się ich moralność, rosną jedynie w swym poczuciu wyższości i pobłażania. Ale ja zagrozę ich workom złota, a to wstrząśnie nimi aż po korzenie ich pierwotnych natur. Jeżeli możesz przyjść, zobaczysz jaskiniowca w wieczorowym stroju, jak wyje i pokazuje kły na widok kości. Przrzekam ci wspaniałą kocią muzykę i wielce pouczające wejrzenie w naturę dzikiej bestii..

Zaprosili mnie z myślą rozszarpania na kawały. Był to pomysł panny Brentwood. Wygadała się z tym dość niezdarnie, kiedy mnie zapraszała. Już przedtem dostarczała im podobnej rozrywki. Przepadają za łagodnymi reformatorami o ufnych duszyczkach. Panna Brentwood przypuszcza, że jestem łagodny jak kocię, a dobrotliwy i tępy jak krowa. Nie będę zaprzeczał, że sam jej poddałem to przypuszczenie. Z początku była bardzo ostrożna, póki nie odgadła mojej nieszkodliwości. Mam otrzymać piękne honorarium — dwieście pięćdziesiąt dolarów — jak przystało temu, który, mimo że radykał, kandydował raz na gubernatora. Mam także włożyć frak. Jest to obowiązkowe. Nigdy w życiu nie byłem w takim przebraniu. Myślę, że będę musiał chyba frak sobie wypożyczyć. Ale gotów jestem nawet na więcej, byle dostać się do Filomatów”.

Tak się złożyło, że tego wieczoru klub zebrał się akurat u państwa Pertonwaithe. Do wielkiego salonu wniesiono dodatkowe krzesła i zasiadło tam ogółem ze dwustu Filomatów, aby posłuchać Ernesta. Byli to prawdziwi panowie społeczeństwa. Zabawiałam się obliczaniem w myśli, ile też wynoszą razem ich majątki. Tworzyło to sumę wielu setek milionów. A ich właściciele nie należeli do próżnujących bogaczy. Byli to, wszystko ludzie interesu, którzy brali nadal czynny udział w życiu gospodarczym i politycznym.

Wszyscy już zajęliśmy miejsca, kiedy panna Brentwood wprowadziła Ernesta. Przeszli od razu do tego krańca sali, z którego miał przemawiać. Miał na sobie frak i ze swą królewską głową i szerokimi barami wyglądał wspaniale. Mimo to w jego ruchach można było wysledzić znaną mi tak dobrze, choć ledwo dostrzegalną niezdarność. Myślę, że już za to jedno potrafiłabym go pokochać. Toteż patrząc na niego odczuwałam niezmierną radość. Poczułam na nowo tętno jego dłoni na mojej, dotknięcie jego ust i taka we mnie wezbrała duma, że miałam ochotę wstać i obwieścić wszystkim zebrany: „On jest mój! Trzymał mnie w ramionach i ja jedna na świecie potrafiłam wypełnić jego duszę tak, by już nie było w niej miejsca na zwykłe mu mnóstwo niepospolitych myśli!”

Przy stole prezydialnym panna Brentwood przedstawiła Ernesta pułkownikowi Van Gilbertowi, z czego wywnioskowałam, że ten ostatni ma przewodniczyć. Pułkownik Van Gilbert był radcą prawnym wielkich spółek akcyjnych. A ponadto był niesłychanie bogaty. Najniższe honorarium, jakie raczył dostrzegać, wynosiło sto tysięcy dolarów. Był mistrzem w prawie. Igrał ustawami niczym marionetkami. Ugniatał je jak glinę, wyginał i formował w dowolnie obrane wzory niczym dzieci chińską drucianą zabawką. Miał staroświecki wygląd i sposób mówienia, lecz jeśli idzie o wiedzę, wyobraźnię i pomysłowość, był niewyczerpany i młody. Jego rozgłos datuje się od czasu, gdy obalił

testament Shardwella. Dostał za to pół miliona dolarów. Od tej chwili jak rakietę wzbijał się w górę. Nazywano go nieraz największym prawnikiem w kraju — oczywiście prawnikiem spółek akcyjnych. A już w żadnym wyliczeniu trzech największych prawników Stanów Zjednoczonych nie można go było pominąć.

Pułkownik wstał i w wyszukanych słowach, podszytych lekkim odcieniem ironii, przedstawił Ernesta. Wprowadzając reformatora społecznego i przedstawiciela klasy robotniczej, nie omieszkął wpleść paru subtelnych żartów, wywołując tym wśród zebranych uśmiechy. Rozgniewana, spojrzałam na Ernesta, lecz jego wygląd rozżłościł mnie podwójnie. Zachowywał się, jak gdyby nie odczuwał wcale tej delikatnej drwiny. Co gorsza, jak gdyby nie zdawał sobie z niej sprawy. Siedział z łagodnym, obojętnym i sennym wyrazem twarzy. Wyglądał naprawdę niemrawo. Przez głowę przemknęła mi myśl, czy przypadkiem nie przytłoczyło go to imponujące zbiorowisko potęg finansowych i intelektualnych. Ale wtedy uśmiechnęłam się. Mnie nie mógł oszukać. Ale zwiódł pozostałych, tak jak zwiódł pannę Brentwood. Siedziała ona w fotelu ustawionym na samym froncie i raz po raz obracała się w stronę kogoś z klubowców, porozumiewawczym uśmiechem wyrażając uznanie dla uwag pułkownika.

Gdy ten skończył, Ernest wstał i zaczął swe przemówienie. Zrazu mówił głosem cichym, z zastanowieniem i skromnie, z wyrazem oczywistego zakłopotania, opowiadał, jak urodził się w klasie robotniczej, o nędzy i ohydzie swego środowiska, w którym ciało i umysł znośny jednakie męki i głód. Odmalował swoje ambicje i ideały, i swoje pojęcie o raj, w jakim przebywali ludzie klas wyższych.

— *Wiedziałem* — mówił — że w górze nade mną jest bezinteresowność duszy, czystość i szlachetność myśli, toczy się wartkie życie umysłowe. Wiedziałem o tym wszystkim, bo czytałem powieści z „Biblioteki wczasowej”, w których z wyjątkiem awantur i czarnych charakterów mężczyźni i kobiety naładują wzniosłym ideałom, posługują się zachwycającym językiem i dokonują chwalebnych czynów. Krótko mówiąc, podobnie jak wierzyłem we wschód i zachód słońca, tak przyjmowałem za pewnik, że nade mną znajduje się wszystko, co suotene, szlachetne i piękne, wszystko, co nadaje życiu godność i powagę, co czyni je cennym i wynagradza człowieka za jego trudy i znoje.

Dalej opowiadał o swojej pracy w fabryce, o tym, jak uczył się kowalstwa i jak zetknął się z socjalistami. Znalazł wśród nich wspaniałe umysły, znakomite głowy, głosicieli ewangelii, którzy się załamali, albowiem ich chrześcijaństwo przerastało wszelkie Kongregacje wyznawców złotego cielca, profesorów, których załamała uległość uniwersytetów wobec klasy rządzącej. Socjaliści byli rewolucjonistami, którzy walczyli o to, by obalić irracjonalne społeczeństwo obecne i z tego materiału zbudować racjonalne społeczeństwo przyszłości. Powiedział jeszcze wiele innych rzeczy, których nie będę spisywać, gdyż zajęłoby to zbyt wiele czasu. Lecz nie zapomnę nigdy, jak określił życie wśród rewolucjonistów. Już teraz nie dobierał słów. Głos jego zyskał pewność i siłę, zdawał się płonąć, jak płonął Ernest i jak płonęły myśli, które z siebie wyrzucał.

— Wśród rewolucjonistów — mówił — znalazłem także gorącą wiarę w człowieka, żarliwą ideowość, łagodność i bezinteresowność, znalazłem zdolność do wyrzeczeń i ofiar — najpiękniejsze zalety ducha. Życie było tu czyste, szlachetne, prawdziwe. Stykałem się z ludźmi wielkiego serca, którzy przekładali ciało i ducha ponad dolary i centy, dla których cichy płacz wygłodzonego dziecka z suterren znaczył więcej niż rozgłos i ceremonie towarzyszące zdobywaniu rynków i światowych imperiów. Wszystko dokoła mnie było szlachetnością intencji i bohaterstwem czynów, moje dni promieniały słońcem, a noce gwiazdami, były ogniem i brylantową rosą, A przed mymi oczyma wciąż płonął i świecił święty Graal, własny Graal Chrystusa, żywe człowieczeństwo, cierpiące i

uciemięzione, ale które wreszcie miało być ocalone, zbawione.

I znowu stał przede mną, jak kiedyś, przemieniony. Czoło jaśniało mu iskrą bożą, jaka w nim była, a jeszcze bardziej jaśniały oczy wewnętrznym ogniem, który promieniował z niego i spowijał go niczym płaszcz. Lecz inni zdawali się nie widzieć tego promieniowania, więc przypisałam je łzom radości i ukochania, mącącymi wzrok. W każdym razie Wickson, który siedział za mną, pozostał obojętny, gdyż usłyszałam jego drwiące mruknięcie: „Utopia”.

Ernest przeszedł następnie do swego wznoszenia się w społeczeństwie — aż do chwili, gdy zetknął się z przedstawicielami klas wyższych, gdy zaczął mieć do czynienia z ludźmi zajmującymi wysokie stanowiska. Wówczas przyszło rozczarowanie, które opisał w słowach niezbyt pochlebnych dla audytorium. Zdumiała go pospolitość gliny, z jakiej ci ludzie byli zrobieni. Życie okazało się pozbawione uroku i wdzięku. Przeraził go ich egoizm, a jeszcze bardziej zdumiał go brak wszelkiego życia intelektualnego. Pod świeżym wrażeniem rewolucjonistów był teraz wstrząśnięty tępotą umysłową klasy panującej. Poza tym zaś przekonał się, że ci wszyscy panowie, mężczyźni i kobiety, hołdują mimo wspaniałości kościołów i znakomicie płatnych kaznodziejów grubemu materializmowi. Paplali co prawda bez przerwy o jakichś swoich rozkosznych ideałach i ulubionych zasadach moralnych, ale głównym tonem ich życia był jednak płaski materializm: I nie mieli żadnej prawdziwej moralności — takiej na przykład, jaką głosił Chrystus, a której nikt już teraz nie głosi.

— Spotkałem ludzi — mówił — którzy w gromkich mowach przeciwko wojnie wciąż wzywali imienia Księcia Pokoju, a równocześnie wtykali karabiny w ręce Pinkertonów, aby strzelali do robotników strajkujących w ich fabrykach. Spotkałem ludzi, którzy nie posiadali się z oburzenia wobec brutalności meczów bokserskich, a jednocześnie fałszowali pożywki, od których co roku ginęło więcej niemowląt niż z krwawych rąk Heroda.

Pewien subtelny dżentelmen o arystokratycznych rysach był fikcyjnym prezesem i służył za parawan spółkom akcyjnym ograbiającym wdowy i sieroty. Inny znów dżentelmen, zbieracz rzadkich książek i wytworny protektor literatury, płacił haracz szantażującemu go ponuremu osobnikowi, szefowi maszyny administracji miejskiej. Wydawca drukujący ogłoszenia patentowanych leków nazwał mnie łajdackim demagogiem, bo ośmieliłem się wezwać go do wydrukowania w jego gazecie prawdy o tych lekach. Człowiek rozprawiający poważnie i szczerze o wzniosłości idealizmu i dobroci Boga tuż przedtem oszukał swych współników w jakimś przedsięwzięciu. Inny, filar kościoła, wspierający szczerze prace misyjne, kazał dziewczętom harować w swoich warsztatach po dziesięć godzin dziennie za głodową płacę, w ten sposób zmuszając je wprost do prostytucji. Jeszcze inny, który fundował katedry uniwersyteckie i budował wspaniałe kaplice, złożył w sądzie fałszywą przysięgę, by uzyskać ileś tam dolarów. Magnat kolejowy złamał swe słowo obywatela, dżentelmena i chrześcijanina udzielając potajemnie rabatów, a udzielił ich dużo. Dostojny senator był narzędziem i niewolnikiem, był marionetką gruboskórnego, ciemnego szefa maszyny politycznej, a tym samym był gubernator stanu i sędzia sądu najwyższego — wszyscy trzej mieli bezpłatny bilet kolejowy. Tamten zaś chytry kapitalista był panem maszyny politycznej, panem szefa maszyny i właścicielem linii kolejowych, które wydały bilety.

Tak więc zamiast w rajach znalazłem się na jałowej pustyni interesów. Nie znalazłem tam nic prócz głupoty, chyba że chodziło o interesy. Nie znalazłem tam nic czystego, szlachetnego i żywotnego, znalazłem natomiast wielu, w których jedno tylko było żywotne: ich zgnilizna. Znalazłem potworne samolubstwo i potworny brak serca, i gruby, żarłoczny, bardzo praktyczny i bardzo praktykowany materializm.

Dużo mówił jeszcze Ernest o ich i o swoim rozczarowaniu. Intelektualnie nudzili go, moralnie i duchowo budzili w nim mdłości. Toteż z radością wrócił do swych rewolucjonistów, którzy byli

czyści, szlachetni, mieli żywe umysły, pod żadnym względem nie przypominali kapitalistów.

— A teraz — ciągnął dalej — pozwólcie mi państwo opowiedzieć o rewolucji.

Tu muszę jednak wtrącić, że ta jego straszliwie drapieżna krytyka wcale ich nie poruszyła. Spoglądając po twarzach, widziałam, jak zachowały niezmaconą wyższość wobec tych wszystkich oskarżeń. I przypomniałam sobie słowa Ernesta: że nie zdoła nimi wstrząsnąć żadne potępienie ich moralności. Spostrzegłam tylko, że zuchwalstwo jego języka dotknęło pannę Brentwood. Miała minę niespokojną i zakłopotaną.

Ernest zaczął od opisu armii rewolucyjnej, malując jej siłę w liczbach (liczby głosów złożone w różnych krajach), a wówczas zebrani przejawili niepokój. Na ich twarzach odbił się jakby lęk, zacisnęli usta. Aż wreszcie Ernest rzucił im rękawicę. Opisał międzynarodową organizację socjalistów, która jednoczyła półtora miliona swych członków w Stanach Zjednoczonych z ponad dwudziestoma trzema milionami w reszcie świata.

— Taka armia rewolucyjna — rzekł — licząca dwadzieścia pięć milionów to coś, co powinno władcom i klasom rządzącym nakazać głębokie zastanowienie. Hasło tej armii brzmi: „Żadnej litości! Chcemy mieć wszystko, co wy posiadacie. Nie zadowolimy się niczym mniej niż tym wszystkim, co wy posiadacie. Chcemy w nasze ręce ująć ster władzy i losy ludzkości. Oto są nasze dłonie. Mocne to dłonie. Zabierzemy wam wasze rządy, wasze pałace i wasz wspaniały przepych. I odtąd będziecie pracować na kawałek chleba, jak pracują chłopci w polu czy niedożywiony i ogłupiały kancelista z waszych wielkich miast. Oto są nasze dłonie. To mocne dłonie!”

Mówiąc to wyciągnął przed siebie swe potężne ramiona, a jego dłonie kowala zaciskały się jak szpony orła. Gdy tak stał z rękoma wyciągniętymi, jakby miał poszarpać i zmiażdżyć słuchaczy, wyglądał niczym wcielenie ducha tryumfującej klasy. I czułam, jak widownię przebiegł ledwo dostrzegalny dreszcz w obliczu tego uosobienia rewolucji, konkretnej, nadciągającej i groźnej. Ściśle mówiąc, dreszcz przeszył kobiety i na ich twarzach wystąpił lęk. Z mężczyznami było inaczej. Byli to bogacze aktywni, nie próżniaki, i umieli walczyć. Rozległ się zdławiony, przytłumiony pomruk; rozbrzmiewał przez chwilę w powietrzu, po czym ucichł. Był to przedsmak wilczego wycia i tego wieczoru miał ich pomruk nieraz jeszcze się odezwać jako znak pierwotnych uczuć człowieka, znamię bestii ludzkiej. A pomruk ten wydobył się z ich gardeł zupełnie bezwiednie. Stado wilków obnażyło kły i warczało, warczało, samo o tym nie wiedząc. W owej chwili na widok zaciętego wyrazu twarzy i niebezpiecznego błysku w ich oczach zrozumiałam, że niełatwo pozwolą sobie wydrzeć panowanie nad światem.

Ernest dalej prowadził natarcie. Wyjaśnił, skąd się wzięło półtora miliona rewolucjonistów w Stanach Zjednoczonych, oskarżając klasę kapitalistyczną, że źle rządzi społeczeństwem. Odtworzył szkicowo gospodarcze warunki człowieka jaskiniowego i współczesnych nam dzikich plemion, podkreślając, że nie mają ani narzędzi, ani maszyn, tylko przyrodzone zdolności wytwórcze. Następnie zaś ukazał rozwój maszyn i organizacji społecznej aż do dnia dzisiejszego, kiedy zdolność wytwórcza cywilizowanego człowieka jest tysiąc razy większa niż dzikiego.

— Pięciu ludzi — powiedział — może wyprodukować chleb dla tysiąca. Jeden człowiek może wytworzyć ilość tkaniny bawełnianej wystarczającą dla dwustu pięćdziesięciu ludzi, wełny dla trzystu, obuwia dla tysiąca. Można by z tego wnosić, że przy umiejętnym kierowaniu społeczeństwem nowoczesny człowiek cywilizowany powinien mieć się o wiele lepiej od jaskiniowca. Ale czy tak jest? Zobaczmy. W Stanach Zjednoczonych piętnaście milionów ludzi żyje dziś w nędzy, a przez nędzę rozumieć należy takie warunki życia, w których z braku żywności i odpowiednich mieszkań człowiek nie może zachować nawet przeciętnego poziomu wydajności pracy. W Stanach Zjednoczonych, mimo całe wasze tak zwane ustawodawstwo pracy, w fabrykach zatrudnione są trzy

miliony dzieci . Liczba ta podwoiła się w ciągu lat dwunastu. Przy tej okazji chciałbym zadać pytanie, wam, którzy rządzą społeczeństwem, dlaczego nie ogłosiliście wyników spisu z roku 1910? I sam odpowiem za was: dlatego, żeście się bali. Dane obrazujące nędzę przyspieszyłyby rewolucję, która i teraz dojrzewa.

Ale wróćmy do mego aktu oskarżenia. Jeśli zdolność wytwórcza człowieka współczesnego jest tysiąc razy większa niż jaskiniowca, dlaczego dziś w Stanach Zjednoczonych piętnaście milionów ludzi nie ma odpowiednich mieszkań i nie odżywia się należycie? Dlaczego dziś w Stanach Zjednoczonych trzy miliony dzieci pracuje w fabrykach? Oskarżenie jest nieodparte. Klasa kapitalistyczna źle rządzi. W obliczu faktów, że człowiek współczesny żyje gorzej niż jaskiniowiec, a jego zdolność wytwórcza jest tysiąc razy większa niż jaskiniowca, jeden tylko jedyny wniosek jest możliwy: klasa kapitalistyczna źle rządzi, wy, moi panowie i władcy, źle rządzą, karygodnie i samolubnie. I z tego powodu nie możecie mi spojrzeć dziś prosto w oczy i dać odpowiedzi, jak cała wasza klasa nie może dać odpowiedzi półtora milionowi rewolucjonistów w Stanach Zjednoczonych. Nie możecie dać odpowiedzi. Wzywam was uroczyście, żebyście odpowiedzieli. I co więcej, śmiem teraz twierdzić, że nie odpowiecie mi, kiedy skończę mówić. W tej sprawie będziecie milczeli, choć potrafcie bardzo wymownie rozprawiać o innych rzeczach.

Wasze rządy zbankrutowały. Cywilizację zmieniliście w rumowisko. Byliście chciwi i ślepi. Zabieraliście głos w naszych ciałach ustawodawczych — jak to robicie i teraz — by oświadczać bezwstydnie, że zysk jest niemożliwy bez pracy nieletnich i dzieci. Nie potrzebujecie wierzyć mi na słowo. Stenogramy posiedzeń świadczą przeciw wam. Usypialiście swoje sumienie paplaniną o jakichś miłych waszemu sercu ideałach i ulubionych zasadach moralnych. Utuczyciście się władzą i posiadaniem, upili powodzeniem. I przeciw nam nie macie większych szans niż trutnie przyklepione do plastrów miodu, gdy pszczoły-robotnice rzucą się na nie, aby położyć kres ich dostatniemu istnieniu. Nie zdołaliście pokierować społeczeństwem, więc kierownictwo będzie wam odebrane. Półtora miliona przedstawicieli klasy robotniczej ogłasza, że wezwie resztę tej klasy do połączenia się z nimi i odebrania wam kierownictwa. Oto jest rewolucja, moi panowie. Powstrzymajcie ją, jeśli możecie.

Przez dłuższy czas echo głosu Ernesta rozbrzmiewało w ogromnej sali. A potem usłyszałam znów głuchy, zdławiony pomruk i z tuzin ludzi zerwało się na nogi wołając w stronę pułkownika Van Gilberta o udzielenie im głosu. Spostrzegłam, że ramiona panny Brentwood drgają konwulsyjnie i w pierwszej chwili chwycił mnie gniew, bo myślałam, że śmieje się z Ernesta. Ale zaraz potem przekonałam się, że nie był to śmiech, lecz histeria. Była przerażona tym, co zrobiła przyprawiając takiego podpalacza do dostojnego Klubu Filomatów.

Pułkownik Van Gilbert nie zauważył żadnego z tuzina ludzi, którzy z twarzami wykrzywionymi wściekłością żądali, by pozwolił im mówić. Jego własną twarz również wykrzywiła wściekłość. Zerwał się z fotela i wymachiwał rękoma, nie mogąc przez chwilę dobyć z siebie nic poza nieskładnymi dźwiękami. Wreszcie potok słów wydarł mu się z ust. Lecz nie była to mowa słynnego prawnika, który wart był sto tysięcy dolarów, ani też styl jej nie był po staroświecku ozdobny.

— Fałsz za fałszem! — wykrzyknął. — Jak długo żyję, nie słyszałem takiego nagromadzenia fałszywych wniosków w ciągu jednej krótkiej godziny. A poza tym, młodzieńcze, muszę panu zwrócić uwagę, że nie powiedział pan nic nowego. Słyszałem to wszystko już w szkole, zanim pan się urodził. Jean Jacques Rousseau głosił pańskie socjalistyczne teorie blisko dwieście lat temu. Powrót do natury, obrót koła wstecz. Dobrze sobie! Nasza biologia wykazuje całą absurdalność tego pomysłu. Słusznie ktoś zauważył, że najgroźniejsi są niedoucy; pańskie obłąkańcze teorie są najlepszym tego przykładem. Fałsz za fałszem! Aż niedobrze się robi od tego nadmiaru fałszów, od

tych pańskich dzieciennych rozumowań i mętnych ogólników.

Strzepnął pogardliwie palcami i z godnością usiadł na miejscu. Rozległy się piskliwe głosy uznania kobiet i cokolwiek ochryple głosy mężczyzn. Z tych zaś dwunastu, którzy domagali się głosu, połowa zaczęła mówić na raz. Powstał zamęt i rozgwar nie do opisania. Nigdy jeszcze ściany pałacu pani Pertonwaithe nie oglądały takiego widowiska. Oto więc byli ci opanowani wodzowie przemysłu, władcy społeczeństwa — zmienili się w horde ryczących, wyjących dzikusów we frakach. Zaiste Ernest wstrząsnął nimi, gdy wyciągnął ręce po ich sakiewki, ręce, które w ich oczach wydały się rękoma półtora miliona rewolucjonistów.

Lecz Ernest nigdy i w żadnej sytuacji nie tracił głowy. Zanim jeszcze pułkownik Van Gilbert zdołał usiąść, Ernest był już na nogach i wysunął się naprzód.

— Mówcie po kolei! — zagrzmiął.

Okrzyk dobyte z jego potężnych płuc zapanował nad burzą ludzką. Samym działaniem swej osobowości Ernest nakazał ciszę.

— Proszę po kolei — powtórzył już spokojnie. — I najpierw niech wolno mi będzie odpowiedzieć pułkownikowi Van Gilbertowi. A potem już wszyscy mogą mnie atakować — ale kolejno. Żadnych gier zbiorowych. To nie boisko piłki nożnej.

Pan — ciągnął zwracając się do pułkownika — nie odpowiedział na żaden z moich zarzutów. Wygłosił pan tylko w zdenerwowaniu parę dogmatycznych twierdzeń o moim poziomie umysłowym. Pewnie to wystarcza w pańskim zawodzie, ale ze mną nie można tak mówić. Nie jestem robociarzem, który z czapką w ręku prosi pana o podwyżkę płacy czy urządzenia ochronne do maszyny, przy której pracuje. Mając sprawę ze mną, nie warto puszczać się na dogmatykę. Proszę to zachować do rozmów ze swymi niewolnikami pracy. Ci nie ośmielą się odpowiadać, bo wiedzą, że od pana zależy ich kawałek chleba, ich życie.

Wzmianka zaś o powrocie do natury, o którym jakoby uczył się pan w szkole przed moim urodzeniem, wskazuje, pozwoli pan zwrócić sobie uwagę, że niczego się pan od tamtych czasów nie nauczył. Socjalizm ze stanem natury nie więcej ma wspólnego niż rachunek różniczkowy z nauczaniem Biblii w szkole. Powiedziałem, że poza dziedziną interesów wasza klasa jest głupia. Pan, szanowny panie, okazał się tego znakomitym przykładem.

Tak straszliwego schłostania prawniczej sławy panna Brentwood nie mogła już nerwowo wytrzymać. Jej histeria przeszła w gwałtowny atak i trzeba było wśród paroksyzmów śmiechu i płaczu wyprowadzić ją z sali. Niewiele to pomogło, bo czekały nas gorsze jeszcze rzeczy.

— Nie chcę, by mi wierzyć na słowo — ciągnął Ernest po przerwie. — Ale pańskie własne autorytety dowiodą jednogłośnie pańskiej głupoty. Pańscy właśni, najęci dostawcy wiedzy stwierdzą, że jesteś pan w błędzie. Zapytaj pan najskromniejszego z nauczycieli socjologii, jaka jest różnica między głoszoną przez Rousseau teorią powrotu do natury a teorią socjalizmu; zapytaj pan największych spośród uznanych burżuazyjnych ekonomistów i socjologów; przejrzyj pan jak najdokładniej wszelkie podręczniki pisane na ten temat i zalegające półki fundowanych przez was bibliotek. Zawszą dostanie pan tę samą odpowiedź: nie ma nic wspólnego między powrotem do natury a socjalizmem. Natomiast wszędzie spotka pan zgodną odpowiedź, że powrót do natury i socjalizm są sobie krańcowo przeciwstawne. I powtarzam, proszę nie polegać na tym, co mówię. Dowód pańskiej głupoty znajduje się w tych księgach, we własnych pana księgach, których pan nigdy nie czytał. A jako przykład głupoty jest pan tylko wzorowym okazem swojej klasy.

Pan zna się na prawie i interesach, pułkownika Van Gilbert. Pan wie, jak wysługiwać się spółkom akcyjnym i zwiększać ich dywidendy przez wykręcanie prawa. Dobrze. Trzymaj się pan tego. Jesteś pan w tym znakomitością. Jest pan dobrym prawnikiem, lecz bardzo złym historykiem,

nie ma pan pojęcia o socjologii, a pańska biologia współczesna jest Pliniuszowi.

Tu pułkownik Van Gilbert skrzył się na swym krześle. W salonie panowała absolutna cisza. Wszyscy siedzieli zaszuchani i jakby sparaliżowani. Wielki pułkownik Van Gilbert potraktowany w tak okropny sposób — to było coś nie do wiary, coś niebywałego, nie do pomyślenia. Wielki pułkownik Van Gilbert, przed którym sędziowie drżeli, gdy zabierał głos na rozprawie. Ale Ernest nigdy nie szczędził przeciwnika.

— Nie robię panu z tego zarzutu — ciągnął. — Każdy ma swoje zajęcia. Chodzi tylko o to, abyśmy obaj trzymali się swego zawodu. Pan jest specjalistą w, pewnej dziedzinie. Kiedy potrzebna jest znajomość ustaw, kiedy chodzi o to, by obejść prawo czy opracować nową ustawę z korzyścią dla złodziejskich spółek akcyjnych — jestem niczym, nie mogę równać się z panem. Ale gdy przychodzi do socjologii, czyli mojego zawodu, jesteś pan niczym przy mnie i nie możesz równać się ze mną. Niech pan to zapamięta. I niech pan zapamięta jeszcze to, że pańskie ustawy są to jednodniówki i pańska wiedza jest wiedzą jednodniówek. Dlatego też pańskie dogmatyczne twierdzenia i pochopne uogólnienia procesów historycznych i socjologicznych nie warte są, by o nich mówić.

Ernest przerwał i z głębokim namysłem przyjrzał się pułkownikowi, który zmienił się i pociemniał z gniewu na twarzy, drżał gwałtownie, z trudem chwytał oddech i kurczowo zaciskał i rozwierał szczupłe, białe dłonie.

— Ale dam panu okazję do zabrania głosu. Wytoczyłem akt oskarżenia przeciw pańskiej klasie. Udowodnij pan, że oskarżenia są błędne. Wskazałem na nędzę współczesnego człowieka: niewolnictwo trzech milionów dzieci w Stanach Zjednoczonych, dzieci, których praca jest konieczna dla zysków, na piętnaście milionów ludzi niedożywionych, źle ubranych i mieszkających w norach. Wskazałem, że zdolność wytwórcza współczesnego człowieka, dzięki organizacji społecznej i użyciu maszyn, jest tysiąc razy większa niż w czasach jaskiniowych. Powiedziałem wreszcie, że z tych dwóch faktów nie podobna wysnuć innego wniosku jak ten, że klasa kapitalistyczna zawiodła na całej linii. Tak brzmiało oskarżenie i rzuciłem panom wyraźne, jasne wyzwanie, domagając się odpowiedzi. Nie dość na tym. Przewidziałem, że nikt z was mi nie odpowie. Teraz więc ma pan sposobność obrócenia mego proroctwa wniwecz. Moją mowę nazwał pan fałszem. Niech pan ten fałsz wykaże, pułkowniku Van Gilbert. Niech pan odpowie na oskarżenie, jakie ja i półtora miliona moich towarzyszy wytoczyliśmy pańskiej klasie i panu.

Pułkownik Van Gilbert zapomniał całkiem, że jest przewodniczącym i że już choćby przez grzeczność powinien najpierw udzielić głosu tym, którzy się tego domagali. Przeciwnie, poderwał się wymachując rękoma i odrzucając na bok zarówno prawidła wymowy, jak i panowanie nad sobą, na przemian to wymyślał Ernestowi od młokosów i demagogów, to wściekle atakował klasę robotniczą rozwodząc się nad jej nikłą wartością i wydajnością.

— Jeszcze nie widziałem prawnika, który by tak uparcie jak pan odbiegał od rzeczy — zaczął Ernest w odpowiedzi na jego tyradę. — Moja młodość nie ma nic wspólnego z argumentami, jakie wysunąłem. Ani też nikła wartość klasy robotniczej. Zarzuciłem klasie kapitalistycznej, że bardzo źle rządzi społeczeństwem. Na ten zarzut nie dał pan odpowiedzi. Nawet nie próbował pan odpowiedzieć. Dlaczego? Czy dlatego, że odpowiedzi pan nie ma? Jest pan rzecznikiem wszystkich tu zebranych. Prócz mnie każdy z tutaj obecnych oczekuje, że da pan wreszcie tę odpowiedź. Spodziewają się jej od pana, gdyż sami jej nie mają. Ja mogę tylko powtórzyć, że byłem na to przygotowany. Wiedziałem i wiem, że nie możecie dać odpowiedzi i nawet nikt z was nie będzie tego próbował.

— To niedopuszczalne! — zawołał pułkownik Van Gilbert. — On nas obraża.

— Niedopuszczalny jest pański brak odpowiedzi — odparł z powagą Ernest. — A co do obrazy — logika nikogo nie *może* obrazić. Obraza jest z samej swojej istoty sprawą uczucia. Uspokój się pan i daj mi logiczną odpowiedź na mój logiczny zarzut, że klasa kapitalistyczna źle rządzi społeczeństwem.

Ale pułkownik Van Gilbert zachował tym razem milczenie. Przybrał wyraz gniewnej wyższości, jaki ujrzyć można na twarzy kogoś, kto uważa, iż nie warto wdawać się w dyskusje z prostakiem.

— Niech się pan nie martwi — rzekł Ernest. — Na pociechę mogę pana zapewnić, że nikt z pańskiej klasy nigdy jeszcze nie odpowiedział na ten zarzut. — Po czym zwrócił się do innych, pragnących dojść do słowa. — A teraz — zawołał — próbujcie i wy szczęścia. Jazda naprzód. Proszę tylko pamiętać, że domagam się od was tej odpowiedzi, której pułkownik Van Gilbert udzielić nie potrafił.

Nie podobna przytoczyć wszystkiego, co padło w tej dyskusji. Nie przypuszczałam nigdy, że tyle słów można powiedzieć w ciągu trzech krótkich godzin. W każdym razie było to wspaniałe. Im bardziej zapalali się przeciwnicy, tym więcej Ernest dolewał oliwy do ognia. Był jakby chodzącą encyklopedią wiedzy i jednym słowem czy zdaniem przeszywał ich niczym lekkim pchnięciem floretu. Wykazywał ich błędy logiczne. Tu był fałszywy sylogizm, tam wniosek nie wypływał z przesłanki, ówdzie znów przesłanka była bez wartości, gdyż zawierała już w sobie ukryty ten właśnie wniosek, jakiego należało dowieść. Tu tkwił pospolity błąd, tamto było tylko domniemaniem, inne zaś twierdzenie pozostawało w rażącej sprzeczności z pewnikami głoszonymi przez wszystkie podręczniki.

I tak po kolei. Chwilami Ernest zastępował floret maczugą, waląc na prawo i lewo w ich wywody. A zawsze domagał się faktów i nie chciał roztrząsać samych teorii. Fakty zaś, które sam przytaczał, zgotowały im istne Waterloo. Ataki na klasę robotniczą odpierał z miejsca, mówiąc: „Kocioł garnkowi przygania, co nie zmienia faktu, że przecież sam smoli”. I każdemu z przeciwników powtarzał: „Dlaczego nie, odpowiada pan na zarzut, że wasza klasa źle rządzi? Mówił pan o wszystkim i jeszcze paru innych rzeczach, ale nie o tym. Czy dlatego, że nie znajduje pan odpowiedzi?”

Pod sam koniec zabrał głos pan Wickson. On jeden zachował równowagę i Ernest potraktował go z szacunkiem, jakiego nie okazał żadnemu z pozostałych.

— Nie potrzeba tu żadnej odpowiedzi — rzekł Wickson z namysłem. — Przysłuchiwałem się całej dyskusji ze wstrętem i zdumieniem. Jestem wprost oburzony na was, panowie przedstawiciele mojej własnej klasy. Zachowaliście się gorzej niż sztubacy, wciągając w takie sprawy etykę i grzmiąc niczym mierni jacyś politycy. Przegraliście i taktycznie, i strategicznie. Cała wasza wymowa nie dała więcej niż bzykanie komara. Bzykacie jak rój komarów wokół niedźwiedzia. Oto, panowie, niedźwiedź (wskazał na Ernesta), a wasze bzykanie łaskocze mu tylko uszy.

Wiercie mi, sprawa jest poważna. Ten niedźwiedź wyciągnął dziś łapę, aby was zgnieść. Powiedział, że w Stanach Zjednoczonych jest półtora miliona rewolucjonistów. To prawda. Powiedział, że mają zamiar odebrać nam władzę, odebrać nasze pałace i wszystkie nasze dostatki. To również prawda. W społeczeństwie nadciąga zmiana, wielka zmiana. Ale może to być przypadkiem nie ta zmiana, jakiej spodziewa się niedźwiedź. Niedźwiedź mówi, że nas rozgniecie. A co będzie, jeśli to my zgnieciemy niedźwiedzia?

Głuchy pomruk znów rozległ się w sali, obecni potakiwali z przekonaniem głowami. Twarze im stwardniały. Ci ludzie umieli walczyć, widać to było.

— Ale nie zmiażdżymy niedźwiedzia bzykając wokół niego — zimno i beznamiętnie ciągnął dalej Wickson. — Naniedźwiedzia trzeba polować. Nie odpowiemy mu słowem, odpowiemy ołowiem.

Mamy w ręku władzę, nikt temu nie zaprzeczy. Dzięki posiadaniu władzy zostaniemy u władzy.

Nagie zwrócił się do Ernesta. Była to dramatyczna chwila.

— Taka jest nasza odpowiedź. Nie będziemy tracić słów na dysputy z panem. Kiedy zachwalane przez pana mocne ręce wyciągną się po nasze dostatki i pałace, pokażemy wam, czym jest siła. Nasza odpowiedź zabrmi rykiem bomb i pocisków, gwizdem kul, hukiem armat. Zdepczemy was, rewolucjonistów, i postawimy stopę na waszych twarzach. Jesteśmy panami świata, świat do nas należy i naszym pozostanie. Armia pracy czołgała się w prochu od początku dziejów, a dobrze znam historię! I czołgać się będzie w prochu, dopóki ja i moi, i ci, co po nas przyjdą, będą mieli siłę. Oto właściwe słowo. Królewskie słowo: Siła. Nie Bóg, nie Pieniądz, ale Siła. Wbij pan sobie to słowo w uszy, aż od niego zabolą. Siła.

— Odpowiedział mi pan — rzekł spokojnie Ernest. — Jest to jedyna możliwa odpowiedź. Siła. To właśnie głosimy my, przedstawiciele klasy robotniczej. Wiemy z gorzkich doświadczeń, zbyt dobrze wiemy, że nie zdoła was wzruszyć żadne odwoływanie się do prawa, sprawiedliwości i człowieczeństwa.. Wasze serca są równie twarde jak wasz but, który depcze twarze biedaków. Dlatego głosimy siłę. Siłą naszych głosów w dzień wyborów odbierzemy wam władzę...

— Cóż stąd — przerwał Wickson pytaniem — coż stąd, że w dniu wyborów uzyskanie większości, nawet ogromną większość? A jeśli my mimo to odmówimy przekazania wam władzy?

— To rozważyliśmy również — odparł Ernest — i odpowiedź damy wam ołowiem. Oświadcza pan, że siła jest słowem królewskim. Dobrze, niech nim będzie. Ale w dniu, kiedy odniesiemy zwycięstwo w wyborach, a wy odmówicie przekazania nam władzy konstytucyjnie i w spokoju zdobytej — w tym dniu, powiadam, damy wam odpowiedź. I odpowiedź ta zabrmi rykiem bomb i pocisków, gwizdem kul, hukiem armat.

Nie ma dla was ratunku. To prawda, że pan zna dobrze historię. To prawda, że od początku dziejów armia pracy czołgała się w prochu. I to też prawda, że dopóki wy i wasi następcy będziecie mieli siłę, świat pracy dalej będzie czołgał się w prochu. Zgadzam się z panem. Zgadzam się ze wszystkim, co pan powiedział. Siła będzie rozstrzygać, jak rozstrzygała zawsze. Jest to walka klas. Podobnie jak wasza klasa obaliła dawną szlachtę feudalną, tak samo z kolei będzie obalona przez moją klasę, klasę robotniczą. Jeśli pan odczyta biologię i socjologię równie dobrze, jak czyta pan historię, przekona się pan, że taki wynik jest nieuchronny. Wszystko jedno, czy stanie się to za rok, za dziesięć czy za tysiąc lat — wasza klasa upadnie. A obali ją siła. My, ludzie z armii pracy, wkuwaliśmy to słowo w nasze głowy, wkuwaliśmy aż do bólu. Siła. Zaprawdę, królewskie słowo. Tak skończył się wieczór w Klubie Filomatów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

CIENIE I ZNAKI

niej więcej w tym czasie znaki nadciągających wydarzeń zaczęły pojawiać się coraz częściej. Ernest parokrotnie wyraził wątpliwość, czy ojciec dobrze robi przyjmując u siebie socjalistów i przywódców robotniczych oraz bywając jawnie na zebraniach socjalistycznych, lecz ojciec wyśmiał tylko jego obawy. Co do mnie, wiele nauczyłam się w zetknięciu z przywódcami i myślicielami klasy robotniczej. Widziałam teraz dokładnie, jak jest po tamtej stronie barykady. Byłam zachwycona bezinteresownością i wspaniałą ideowością tych ludzi, choć przerażał mnie ogrom filozoficznej i naukowej literatury socjalizmu, jaka stała przede mną otworem. Uczyłam się szybko, ale nie dość szybko, by uświadomić sobie niebezpieczeństwo naszego położenia.

Były znaki ostrzegawcze, ale ich nie widziałam. Dla przykładu powiem, że panie Pertonwaithe i Wickson, stanowiące towarzyską wyrocznie w naszym uniwersyteckim mieście, rozgłaszały, że jestem zbyt arogancką i pewną siebie osobką o niezdrowej skłonności do natrętnego wtrącania się w cudze sprawy. Nie dziwiłam się tym uwagom zważywszy rolę, jaką odegrałam badając sprawę ręki Jacksona. Ale nie doceniłam skutku takich nastrojów, szerzonych przez dwie równie potężne towarzysko osobistości.

Dostrzegłam co prawda pewną powściągliwość ze strony moich różnych znajomych, ale przypisywałam to powszechnej w tych kołach krytyce mego zamierzonego małżeństwa z Ernestem. Dopiero po jakimś czasie Ernest wyraźnie zwrócił mi uwagę, że ta ogólna postawa mojej klasy nie jest czymś przypadkowym, że trzeba w tym szukać ukrytych sprężyn jakiegoś zorganizowanego zamysłu.

— Dałaś schronienie wrogowi swojej klasy — powiedział. — Nie dość na tym, dałaś mu miłość i siebie samą. Zdradziłaś więc swoją klasę. Nie myśl, że ci to ujdzie bezkarnie.

Jeszcze przed tą rozmową zdarzyło się co innego. Któregoś popołudnia, gdy ojciec wrócił do domu, a Ernest był ze mną, zauważyliśmy, że ojciec jest rozgniewany, choć rozgniewany w sposób filozoficzny. Rzadko kiedy gniewał się naprawdę. Ale pozwalał sobie czasami na pewną kontrolowaną dawkę gniewu, który jego zdaniem był pobudzający. I teraz odczuwał ten pobudzający gniew.

— Wiecie co? — spytał. — Byłem przed chwilą na śniadaniu z Wilcoxem.

Wilcox był emerytowanym rektorem uniwersytetu, którego starczy umysł wypełniały teorie aktualne w roku 1870 i od tej pory nie zmieniane,

— Zaprosił mnie — rzekł ojciec. — Specjalnie po mnie przysłał.

Umilkł, a myśmy czekali na ciąg dalszy.

— Trzeba przyznać, że był bardzo grzeczny, ale wyciął mi reprimendę. Mnie! Ten stary mamut!

— A ja nawet wiem za co — powiedział Ernest — i mógłbym się założyć.

— Nie zgadnie pan do trzech razy — roześmiał się ojciec.

— Zgadnę, i to z miejsca — odparł Ernest. — A nawet nie potrzebuję zgadywać. Wystarczy prosty wniosek. Dostał pan reprimendę za swoje prywatne życie.

— Tak! — zawołał ojciec. — Jak pan się domyślił?

— Wiedziałem, że to musi przyjść. I ostrzegałem już pana.

— To prawda — rzekł ojciec w zadumie. — Ale nie mogłem uwierzyć. Tak czy owak, to tylko

jeszcze jeden, ważki co prawda, argument dla mojej książki.

— To nic — ciągnął Ernest — w porównaniu z tym, co nastąpi, jeśli pan będzie dalej z uporem przyjmował u siebie w domu różnych socjalistów i radykałów, nie wyłączając mnie.

— Dokładnie to samo powiedział stary Wilcox. Co za dzikie pretensje! Powiedział, że to w złym tonie, że w żadnym razie nie może przynieść pożytku, a sprzeczne jest z tradycją i zasadami uniwersytetu. Mówił jeszcze dużo podobnych ogólników i nie mogłem go w niczym przyprzeć do muru. Zdecydowanie czuł się głupio, więc tylko powtarzał w kółko, że bardzo mnie szanuje i cały świat mnie szanuje jako uczonego. Widać było, że cała ta rozmowa sprawiała mu przykrość. Nie miał na nią ochoty.

— Nie był panem siebie — rzekł Ernest. — A nie zawsze można z wdziękiem nosić kajdany.

— Tak, tyle właśnie z niego wydobyłem. Powiedział, że uniwersytet potrzebuje w tym roku dużo więcej pieniędzy, niż daje rząd stanu; więc trzeba zdobyć pieniądze od ludzi bogatych, którzy z pewnością byliby zrażeni odstąpieniem uniwersytetu od wzniosłych ideałów obiektywnej służby obiektywnej nauce. A kiedy spytałem go wręcz, co moje życie prywatne ma wspólnego z odejściem uniwersytetu od tych ideałów, zaproponował mi płatny dwuletni urlop na pobyt w Europie dla badań i wypoczynku. Rzecz jasna, w tych warunkach nie mogłem się zgodzić.

— Szkoda, że pan się nie zgodził — rzekł z wielką powagą Ernest. — Byłoby znacznie lepiej.

— Byłaby to łapówka — zaproponował ojciec, a Ernest przytwierdził skinieniem głowy.

— Ten gałgan opowiadał mi jeszcze o gadaniu i plotkach krążących na temat mojej córki, ponieważ widywano ją w towarzystwie tak podejrzanego osobnika jak pan. Wilcox dowodził, że przynosi to ujmę dostojeństwu uczelni. Nie żeby sam miał jakie, broń Boże, zastrzeżenia. Ale że w ogóle powstają w związku z tym plotki i że go z pewnością zrozumie. Ernest rozważał to przez chwilę. Twarz jego przybrała wyraz wielkiej powagi połączonej z tajoną a gniewną pasją.

— W tym wszystkim — rzekł — jest coś więcej niż troska o tradycje uniwersytetu. Ktoś musiał wyrzucić nacisk na rektora Wilcoxa.

— Myśli pan? — spytał ojciec raczej zaciekawiony niż przestraszony.

— Chciałbym — odparł Ernest — móc panu wyłożyć pogląd, jaki zaczyna dopiero nabierać kształtu w mej głowie. Chodzi o to, że nigdy jeszcze, od początku świata, społeczeństwo nie było w stanie tak strasznego zamętu jak teraz. Gwałtowne zmiany w naszym przemyśle powodują równie gwałtowne zmiany w naszym systemie religijnym, politycznym i społecznym. Tkanka i budowa społeczeństwa przechodzą niewidoczne a groźne przeobrażenia. Rzeczy te można jedynie wyczuć, ale są wszędzie w powietrzu. Dostrzec można niejasno ich zarysy — zarysy rzeczy ogromnych i straszliwych, choć jeszcze mgławicowych. Mój umysł wzdraga się przed przemyśleniem do końca ich ostatecznego kształtu. Pamiętaj pan, co mówił Wickson u Filomatów? Za jego słowami kryły się te same bezkształtne i nie nazwane rzeczy, jakie ja wyczuwam. Wicksonem powodowała jakaś wyostrzona świadomość ich nadciągania.

— To znaczy?... — zaczął ojciec, lecz urwał.

— To znaczy, że nad światem zawisł jakiś ogromny i straszliwy cień, który z każdą chwilą się zbliża. Może pan go nazwać cieniem oligarchii, bliżej go określać nie miałbym odwagi. A już wprost wolę nie myśleć, jaka jest jego istota. Jedno chcę panu powiedzieć: położenie pana jest niebezpieczne. A niebezpieczeństwo to wydaje mi się tym poważniejsze, że nie potrafię go nawet w przybliżeniu wymierzyć. Niech pan usłucha mej rady i zgodzi się na ten urlop.

— Ależ to byłoby tchórzostwo — zawołał ojciec.

— Nic podobnego. Pan jest już starym człowiekiem. Dokonał pan już dzieła swojego życia, i to dzieła wielkiego. Więc walkę obecną niech pan pozostawi młodości i sile. My młodzi mamy jeszcze

zadanie naszego życia przed sobą. Avis stanie u mego boku w nadchodzącym starciu. Zastąpi pana w pierwszym szeregu walczących.

— Ależ oni nie mogą mi nic zrobić — sprzeciwił się ojciec. — Na szczęście jestem niezależny. Zapewniam pana, że wiem, jak strasznie mogą prześladować profesora, który materialnie zależy od swej uczelni. Ale ja nie jestem zaleo zany. Nie byłem profesorem ze względu na pensję. Mogę żyć bardzo wygodnie z moich własnych dochodów, a poza pensją nie mogą mi nic odebrać.

— Myli się pan — odparł Ernest. — Jeśli dojdzie do tego, czego się lękam, wówczas mogą równie łatwo jak pensję odebrać panu osobiste dochody, a nawet kapitały.

Ojciec zamilkł na dłuższą chwilę. Widziałam w jego twarzy najpierw głęboki namysł, a potem wyraz zapadającej decyzji. Wreszcie przemówił.

— Nie wezmę urlopu — rzekł i urwał znowu. — Będę dalej pisał moją książkę. Pan się może mylić. Ale czy się pan myli, czy nie, zostanę na posterunku.

— Dobrze — odparł Ernest. — Idzie pan tą samą drogą co biskup Morehouse i do podobnego krachu. Obydwaj będziecie proletariuszami, jeszcze zanim na to się zdecydujecie.

Rozmowa przeszła na temat biskupa i Ernest musiał opowiedzieć, co z nim zrobił.

— Biskup cierpi moralnie od czasu podróży do piekieł, jaką odbył ze mną. Zabrałem go do kilku domów robotniczych. Pokazałem mu strzępy ludzkie odrzucone przez maszynę przemysłową i biskup wysłuchał dziejów ich życia. Oprowadziłem go po dzielnicy nędzy w San Francisco, a wtedy zrozumiał, że istnieją głębsze przyczyny pijaństwa, prostytucji i zbrodni aniżeli wrodzone skłonności. Biskup bardzo cierpi, a co gorsza, zupełnie stracił orientację. Jest zanadto uczciwy i przez to został zbyt dotkliwie wstrząśnięty. I jak zwykle jest niepraktyczny. Głowę ma pełną najrozmaitszych złudzeń oraz planów pracy misyjnej wśród ludzi oświeconych. Poczytuje sobie za święty obowiązek odrodzenia dawnego ducha kościoła i głoszenie jego nauk panom pieniądza. Jest u kresu wytrzymałości nerwowej. Prędzej czy później załamie się, a wtedy nastąpi katastrofa. Jaką to przybierze postać, trudno nawet odgadnąć. Biskup jest duszą czystą i wzniosłą. Ale jest tak niepraktyczny. Wciąż wymyka mi się z rąk, nie mogę utrzymać go na ziemi. Przebywa w chmurach i pędzi wprost do własnego Ogrójca. Po czym nastąpi ukrzyżowanie. Przeznaczeniem takich szlachetnych dusz jest ukrzyżowanie.

— A twoim? — spytałam, osłaniając uśmiechem głęboki niepokój kochającego serca.

— Moim nie — odparł pogodnie. — Mnie mogą powiesić czy też bez wyroku zamordować, ale nigdy nie będę ukrzyżowany. Zbyt realnie i twardo stoję na ziemi.

— Więc dlaczego prowadzisz na krzyż biskupa? Bo nie zaprzeczysz, że pchnąłeś go na tę drogę.

— Dlaczego miałbym pozostawiać w zadowoleniu jedną zadowoloną duszę, kiedy miliony żyją w znoju i nędzy? — zapytał w odpowiedzi.

— A w takim razie dlaczego doradzałeś ojcu przyjęcie urlopu?

— Bo ja nie jestem czystą i wzniosłą duszą — odparł. — Bo ja jestem realny, twardy i samolubny. Bo kocham ciebie i, jak biblijna Rut, twoich bliskich uważani za swoich bliskich. Biskup zaś nie ma córki. A poza tym, choć nie jest to wielki pożytek, ale i mało skuteczny lament biskupa zrodzi swoje owoce w chwili rewolucji. Tu każdy drobiazg się liczy.

Nie podzielałam zdania Ernesta. Znałam dobrze szlachetność biskupa Morehouse i wcale nie uważałam, by jego głos, wzniesiony na rzecz słusznej sprawy, miał być tylko mało skutecznym lamentem. Ale wtedy jeszcze nie znałam tak dobrze surowych faktów życia, jak je znał Ernest. Widział on jasno słabość szlachetnej duszy biskupa. A nadchodzące wypadki miały niebawem przekonać o tym i mnie.

Wkrótce po tej rozmowie Ernest opowiedział mi, jako dobry kawał, o propozycji ze strony rządu.

Zaofiarowano mu stanowisko inspektora pracy Stanów Zjednoczonych. Ucieszyłam się niesłychanie. Uposażenie było stosunkowo wysokie, więc zabezpieczało nam przyszłość po ślubie. Poza tym była to niewątpliwie odpowiednia dla Ernesta praca, a sama nominacja stanowiła uznanie jego zdolności, co zaspokajało moją ambicję, ogromnie na jego punkcie wrażliwą.

Ale w tej chwili spostrzegłam psotny błysk w jego oczach. Po prostu śmiał się ze mnie.

— Nie myślisz chyba tego... odrzucić? — wybąkałam.

— To łapówka — odparł. — Kryje się za tym wprawna ręka Wicksona; a znowu za nim — ręce większych od niego ludzi. To stary podstęp, równie stary jak walka klasowa: wykradać armii pracy jej dowódców. Biedny, zdradzony świat pracy! Gdybyż choć wiedział, ilu jego przywódców w taki właśnie sposób przekupiono w przeszłości! Bez porównania mniej kosztuje kupić generała niż walczyć z nim i całym jego wojskiem. Tak było z... no, ale nie będę wymieniał nazwisk. Już sama myśl o nich jest dla mnie zbyt gorzka. Ja, moja droga, jestem dowódcą armii robotniczej i nie jestem na sprzedaż. Dość byłoby mi tylko wspomnieć los mego nieszczęsnego ojca i jego smutny koniec z przeciążenia pracą, aby mnie powstrzymać.

Łzy napłynęły do oczu mego bohatera, choć był tak wielki i silny. Nigdy nie mógł wybaczyć, że mu ojca zepchnęli w błoto, że musiał dopuszczać się brudnych kłamstw i drobnych kradzieży, aby zdobyć trochę pożywienia dla dzieci.

— Mój ojciec był porządnym człowiekiem — powiedział mi kiedyś Ernest. — Naturę miał uczciwą, ale wykoślawioną, zmarniałą, okaleczała na skutek potworności jego życia. W zahukane bydlę zmienili go panowie, te arcybydlęta. Mógłby żyć jeszcze i dziś, jak twój ojciec. Był mocnej kompleksji. Ale chwyciła go w swoje tryby machina i zaharowała na śmierć. W imię zysku. Pomyśl tylko o tym: dla zysku jego życie i krew przemieniono w kielich wina na stole bogaczy czy inną jakąś kosztowną błyskotkę dla zabawy bogatych nierobów — jego panów i arcybestii.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WIZJA BISKUPA

Biskup zupełnie stracił głowę — pisał mi Ernest. — Jest całkowicie w obłokach. A dziś wieczór ma zamiar wziąć się do uporządkowania naszego padołu płaczu. Chce zacząć publicznie głosić swoją naukę. Już mi to zapowiedział i w żaden sposób nie mogę mu tego wyperswadować. Przewodniczy dzisiaj na zebraniu I. P. H. i swoje nauki chce zawrzeć w słowie wstępnym.

Czy możesz wybrać się ze mną, aby go posłuchać? Oczywiście cały jego wysiłek pójdzie na marne. Będzie to cios dla niego, a także i dla ciebie. Ale ty możesz stąd wynieść bardzo pożyteczną lekcję. Wiesz, moja najmilsza, jak dumny jestem z twej miłości. I właśnie dlatego chcę, abyś poznała całą moją wartość, chcę w twoich oczach odkupić niektóre swoje wady. Tak więc moja duma wymaga, abyś przekonała się o słuszności i prawdzie moich ocen. Jestem bezwzględny w poglądach; klęska człowieka tak szlachetnego jak biskup wykaże ci, że ta bezwzględność jest konieczna. Przyjdź więc dziś wieczór. Choć będzie to smutny wieczór — nie wątpię, że zbliży nas jeszcze bardziej do siebie". Zebranie I. P. H. odbywało się tego dnia w San Francisco.

Jego celem miało być rozważenie upadku moralności i szukanie środków zaradczych. Biskup Morehouse przewodniczył. Był bardzo zdenerwowany; gdy zasiadł za stołem prezydialnym, widziałam, że z trudem panuje nad sobą. Obok niego zajęli miejsca: biskup Dickinson, H. H. Jones, profesor etyki na uniwersytecie kalifornijskim, pani W. W. Hurd, znana filantropka, Filip Ward, równie wielki filantrop, oraz szereg pomniejszych luminarzy na polu dobroczynności i akcji umoralniającej. Biskup Morehouse powstał i zaczął bez żadnych wstępów:

— Jechałem moją kareta ulicami miasta. Była noc. Od czasu do czasu spoglądałem przez okno pojazdu. Nagle uczułem, że oczy jakby mi się otwały, i zobaczyłem rzeczy w ich prawdziwym świetle. W pierwszej chwili zasłoniłem oczy rękoma, by nie patrzeć na straszliwy widok. A potem, w ciemności, zadałem sobie pytanie: co można zrobić? Co też można tu zrobić? W chwilę później to samo pytanie wyłoniło się w innym kształcie, co uczyniłby Pan nasz, Jezus Chrystus? I wraz z tym pytaniem jakaś wielka światłość rozlała się dokoła, ujrzałem swoją powinność jasną jak słońce, jak ujrzał ją Szaweł na drodze do Damaszku.

Zatrzymałem kareta, wysiadłem i po krótkiej rozmowie skłoniłem dwie kobiety lekkich obyczajów, by pojechały razem ze mną. Jeśli Jezus miał rację, to owe dwie nieszczęśnice były moimi siostrami, a moja braterska, serdeczna troska była jedyną nadzieją ich oczyszczenia.

Mieszkam w jednej z najpiękniejszych dzielnic San Francisco. Dom, który zajmuję, kosztował sto tysięcy dolarów, a drugie tyle kosztowały meble, książki i dzieła sztuki. Jest to wspaniały dom. Nie, to nie dom, to pałac z całym mnóstwem służby. Nigdy nie wiedziałem, po co są pałace. Myślałem, że po to, aby w nich mieszkać. Ale teraz wiem. Zabrałem dwie kobiety uliczne do mego pałacu i pozostaną tam ze mną. Mam nadzieję, że już niedługo w całej rezydencji mieszkać będą nasi bracia i siostry.

Wśród słuchaczy rósł niepokój i zamieszanie, a twarze zasiadających w prezydium zdradzały coraz większe osłupienie i zgrozę. Wreszcie biskup Dickinson zerwał się i z wyrazem oburzenia i wstrętu uciekł z podium i z sali. Lecz biskup Morehouse nie widział tego wszystkiego. Oczy wypełniała mu jego wizja i ciągnął dalej:

— W tym uczynku, o bracia i siostry, znalazłem rozwiązanie wszelkich moich trudności. Nie

wiedziałem dotychczas, po co istnieją karety. Teraz wiem. Istnieją po to, by wozić słabych, chorych i starców. Są po to, by oddać cześć tym, którzy utracili poczucie wstydu.

Nie wiedziałem, po co są budowane pałace, ale teraz znalazłem dla nich użytek. Pałace duchowieństwa należy zmienić w szpitale i schroniska dla tych, którzy upadli przy drodze i giną.

Zrobił długą przerwę, wyraźnie opanowany przez nurtującą go myśl i niepokój, czy zdoła ją należycie wyrazić.

— Nie jestem powołany, drodzy bracia, aby pouczać was w sprawach moralności. Zbyt długo żyłem wśród haniebniej obłudy, aby móc innym pomagać. Lecz to, co uczyniłem wobec tych kobiet, siostr moich, świadczy, jak łatwo znaleźć drogę właściwą. Dla tych, którzy wierzą w Jezusa i Jego ewangelię, nie może być innych stosunków pomiędzy ludźmi prócz miłości. Jedna tylko miłość silniejsza jest niżli grzech, silniejsza niż śmierć. I dlatego powiadam bogatym spośród was, że obowiązkiem ich jest czynić to, co ja uczyniłem i czynię. Niech każdy z was, kto żyje w dostatkach, weźmie do swego domu jakiegoś złoczyńcę i traktuje jak brata, niech weźmie jakąś nieszczęśnicę i traktuje jak siostrę. A wówczas San Francisco nie będzie potrzebowało ani policji, ani sądów. Więzienia będą zmienione w szpitale, a zbrodniarz zniknie razem ze swą zbrodnią.

Musimy dawać siebie, nie tylko nasze pieniądze. Musimy tak postępować, jak postępował Chrystus — oto nauka kościoła na dziś. Odeszliśmy daleko od nauk Pana naszego. Ciało nasze zmieniły się w naczynia, w których się sami spalamy. Złotego cielca postawiliśmy na miejscu Chrystusa. Mam tu ze sobą wiersz, który wyraża to wszystko. Chciałbym go wam przeczytać. Wiersz ten wyszedł spod pióra pewnej duszy zbłąkanej, która jednak jasno widziała. Nie trzeba w nim upatrywać napaści na kościół katolicki. Jest to atak na wszystkie kościoły, na przepych i wspaniałości wszystkich kościołów, które odeszły z drogi wskazanej przez Pana i odgrodziły się od jego owieczek. Oto ten wiersz:

*Srebrnych trąb zagrzmiął w nawie łoskot niepojęty,
Lud na zimne marmury uklęknął w pokorze —
A niesion na ramionach przez głów ludzkich morze
Jak Bóg płynął ku progom Rzymu Ojciec święty.*

*Jak kapłan przybran w szatę bielszą ponad piany
I spowity w purpurę niby monarchowie,
Trzy złociste korony piętrzą się na głowie —
A on w blasku i chwale płynie — pan nad pany.*

*Patrząc — sercem wróciłem przez wieki minione
Ku temu, co po morzach trudną wybrał drogę,
Próżno miejsca szukając na ziemi i gwiazdach.*

*Lisy mają swe jamy, ptacy mają gniazda,
Tylko ja, syn człowieczy, snu zaznać nie mogę
I tylko stopy ranię, i łzy pijam, słone.*

Słuchacze byli wzburzeni, lecz wiersz na nich nie podziałał. Ale biskup Morehouse nic nie widział. Trzymał się wytrwale swej drogi.

— Powiadam więc tym z was, którzy jesteście bogaci, powiadam wszystkim bogaczom:

zaprawdę, dotkliwie uciskacie owieczki Pańskie. Zatwardziały są wasze serca. Zamknęliście uszy wasze na głos tych, którzy płaczą dokoła, na głosy żalości i bólu, których nie chcecie słyszeć, ale które pewnego dnia będą wysłuchane. I dlatego powiadam...

Tu jednak H. H. Jones i Filip Ward, którzy już wcześniej powstali z miejsc, sprowadzili nagle biskupa z podium, podczas gdy zgorszona widownia znieruchomiała nie mogąc złapać tchu.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Ernest wybuchnął dzikim i brutalnym śmiechem. Ten śmiech był dla mnie bolesnym zgrzytem. Serce pękało mi niemal od powstrzymywanych łez.

— Ogłosił więc swoją naukę — zawołał Ernest. — Okazał niezwykle męstwo, odsłonił samą istotę swej wrażliwej natury. A jego chrześcijańscy słuchacze, tak kochający swego biskupa, orzekli, że po prostu zwariował! Czy spostrzegłaś troskliwość, z jaką sprowadzali go z podium? Całe piekło musiało pękać ze śmiechu na ten widok.

— A jednak to, co dzisiaj powiedział i zrobił, na pewno wywrze wielkie wrażenie — rzekłam.

— Tak myślisz? — spytał Ernest z ironią.

— To będzie wielka sensacja — potwierdziłam. — Widziałeś chyba, że reporterzy jak szaleni notowali wszystko, co mówił.

— A z czego ani słowo nie ukaże się w jutrzejszych gazetach.

— Nie mogę w to uwierzyć — zawołałam.

— Sama się przekonasz — odparł. — Ani słówka z tego, co powiedział, ani jednej myśli nie zobaczysz w druku. Prasa codzienna? Skąd — codzienne przemilczanie!

— Ale ci reporterzy — nie poddawałam się. — Przecież ich widziałam.

— Powtarzam: ani jedno słowo z tego nie pójdzie do druku. Zapominasz o redaktorach, którzy są płatni za przestrzeganie określonej polityki. A ta polityka nie pozwala na druk niczego, co zagraża ustanowionemu porządkowi rzeczy. Mowa biskupa była gwałtownym atakiem na obowiązującą moralność. Była więc herezją. Ściągnięto go z mównicy, aby nie mógł wygłaszać dalszych herezji. Dzienniki będą milczeć i odkażą jego herezję zapomnieniem. Prasa amerykańska? To pasożytnicza narośl, która żyje z klasy kapitalistycznej. Jej zadaniem jest służba ustanowionemu łaadowi przez kształtowanie opinii publicznej. I tę funkcję spełnia należycie.

Pozwól mi zabawić się w proroka. Jutrzejsze gazety zamieszczą tylko wzmiankę o złym stanie zdrowia biskupa i jego przepracowaniu, skutkiem czego załamał się wczoraj wieczorem. Po kilku dniach pojawi się wzmianka następna, głosząca, że biskup cierpi na rozstrój nerwowy, toteż jego wdzięczna owieczarnia skłoniła go do wzięcia urlopu. A jeszcze później stanie się jedno z dwojga: albo biskup zrozumie, że zblądził, i powróci z urlopu uzdrowiony i wolny od wszelkich wizji, albo też wytrwa w swoim szaleństwie i wtedy przeczytasz w dziennikach wiadomość o jego obłędzie, ujętą w słowa pełne najserdeczniejszego współczucia. Po czym będzie już mógł do woli zwierzać się ze swych wizji ścianom obitym materacami.

— Daj spokój, tu już posuwasz się za daleko! — zawołałam.

— W oczach społeczeństwa będzie to obłęd prawdziwy — rzekł Ernest. — Jakież człowiek porządny, a zdrowy na umyśle przyjmie do swego domu złoczyńców i upadłe kobiety, aby mieszkać z nimi w braterskiej czy siostrzanej miłości? Co prawda Chrystus umarł między dwoma łotrami, ale to już inna historia. Obłęd? Procesy umysłowe kogoś, z kim się nie zgadzamy, wydają się nam zawsze nieprawidłowe. Z czego wniosek, że ten ktoś jest pomyłony. Gdzie biegnie linia pomiędzy zdrowym a chorym umysłem? Jest nie do pomyślenia, by ktoś zdrów na umyśle zupełnie się nie zgadzał z naszymi najbardziej zdrowymi, jak sądzimy, wnioskami.

Masz tego dobry przykład w dzisiejszych gazetach. Mary McKenna mieszka gdzieś na południe od Market Street, jest biedna, ale uczciwa. Jest także wielką patriotką. Ale ma błędne pojęcia o

fladze amerykańskiej i ochronie, którą ta flaga ma symbolizować. I oto co jej się w rezultacie zdarzyło. Mąż jej miał wypadek i przez trzy miesiące musiał leżeć w szpitalu. Chociaż zarabiała praniem, mimo to zalegała z czynszem. Na wczoraj wyznaczono eksmisję. Mary McKenna wywiesiła więc flagę amerykańską i oświadczyła, że jest pod jej osłoną, że zatem nie można jej, chronionej przez flagę, wyrzucić na bruk.

A czy wiesz, jaki był wynik? Aresztowano ją i zatrzymano jako podejrzaną o obłąd. Dziś poddano ją badaniu psychiatrów, którzy orzekli, że jest umysłowo chora. Skierowano ją do domu obłąkanych w Napa.

— To niezbyt dobry przykład — zaprotestowałam. — Przypuśćmy, że mam inne niż wszyscy zdanie o stylu jakiejś książki. Nikt za to nie zamknie mnie w domu wariatów.

— Oczywiście — odparł. — Ale taka różnica zdań nie stanowi żadnej groźby dla społeczeństwa. W tym rzecz. Odrębność zdania Mary McKenna i biskupa zagraża społeczeństwu., Bo gdyby tak wszyscy biedni odmówili płacenia czynszu i schronili się pod osłonę flagi amerykańskiej? Kamienicznicy musieliby zbankrutować. A poglądy biskupa nie są wcale mniej niebezpieczne. Czyli — dać go do domu wariatów.

Ale ja jeszcze nie mogłam uwierzyć.

— Czekaj, to zobaczysz — rzekł Ernest, więc zaczęłam. Nazajutrz rano posłałam po wszystkie gazety. Ernest miał rację. Nie znalazłam w nich ani słówka z przemówienia biskupa. W paru tylko dziennikach zamieszczono' wzmiankę, że dał się ponieść uczuciom. A jednak przytoczono dokładnie różne oklepane frazesy wygłoszone przez innych mówców.

Po jakimś czasie ukazała się krótka notatka, że biskup wyjechał na urlop, aby otrząsnąć się z następstw przepracowania. Jak dotąd przepowiednia sprawdzała się, ale tylko częściowo: nie było żadnych napomknień o chorobie psychicznej czy choćby załamaniu nerwowym. Toteż i teraz nie przewidywałam straszliwej drogi, jaka biskupowi była przeznaczona: Ogrójca i ukrzyżowania, które zapowiedział Ernest.

ROZDZIAŁ ÓSMY

BURZYCIELE MASZYN

Ernest zaczął ubiegać się o mandat do Kongresu jako kandydat socjalistyczny. W tym właśnie czasie, a raczej bezpośrednio przedtem ojciec wydał obiad, który żartobliwie nazwał obiadem swoich „zysków i strat”. Ernest zaś nazwał go obiadem burzycieli maszyn. A był to po prostu obiad dla przedsiębiorców — drobnych oczywiście. Wątpię, czy którykolwiek z nich miał udział w przedsiębiorstwie o kapitale większym niż paręset tysięcy dolarów. Byli to więc typowi przedstawiciele klasy średniej.

Był wśród nich Owen, z firmy Silverberg, Owen i Co — dużego sklepu kolonialnego o wielu filiach. Kupowaliśmy u nich wszystkie nasze towary kolonialne. Byli obaj wspólnicy firmy farmaceutycznej Kowalt i Washburn, a także właściciel dużych kamieniołomów w okręgu Contra Costa, Asmunsen. Było też wielu innych tego samego rodzaju właścicieli lub współwłaścicieli fabryczek i małych przedsiębiorstw, handlowych i przemysłowych — słowem, drobnych kapitalistów.

Mieli ciekawe i roztropne twarze, mówili w sposób prosty i jasny. A wszyscy zgodnie żalili się na wielkie spółki akcyjne i trusty. Ich wyznanie wiary brzmiało: „Obalić trusty!” Trusty były źródłem wszelkiego zła i jeden przez drugiego powtarzali tę samą litanię skarg. Domagali się upaństwowienia takich trustów jak kolejowe czy telegraficzne i jak najwyższych podatków dochodowych, stopniowanych gwałtownie, aby zniszczyć wielkie kapitały. A jako środka na różne miejscowe bolączki żądali przejęcia przez samorząd lokalny takich zakładów użyteczności publicznej, jak wodociągi, gazownie, tramwaje i telefony.

Szczególnie interesujące było opowiadanie Asmunsena o jego przejściach jako właściciela kamieniołomu. Mówił, że nigdy nie miał zysków ze swego przedsiębiorstwa mimo olbrzymich obrotów spowodowanych zniszczeniem San Francisco przez wielkie trzęsienie ziemi, Odbudowa miasta trwała już sześć lat, wydajność kamieniołomów wzrosła cztero i ośmiokrotnie, a jednak nic mu z tego nie przyszło.

— Zarząd kolei — powiedział — ma lepszy wgląd w moje interesy niż ja sam. Kolej zna co do centa wszystkie moje wydatki i warunki moich dostaw. Skąd je zna, mogę się tylko domyślać. Musi mieć szpiegów u mnie w biurze i wiedzieć, jakie zawieram umowy. Bo kiedy tylko dostanę większe zamówienie, które powinno dać mi ładny zysk, taryfa za przewóz od kamieniołomu do miasta od razu skacze w górę. I to bez żadnych wyjaśnień. Kolej zabiera cały mój zysk. I nigdy nie udało mi się skłonić kolei do zmniejszenia taryfy. A z drugiej strony, jeśli wskutek wypadków, zwiększonych kosztów czy gorszych warunków dostawy mój dochód spadał, wtedy dostawałem zniżkę od kolei. Jaki tego wynik? Ten, że kolej zawsze odbiera mi wszystkie zyski, duże czy małe.

— A to, co panu zostaje — przerwał mu Ernest — wynosi z grubsza tyle, co płaciłaby panu boleja, gdyby była właścicielką kamieniołomów, a pan ich dyrektorem.

— Otóż to — odparł Asmunsen. — Niedawno przejrzałem księgi za dziesięć ostatnich lat i przekonałem się, że przez cały ten czas zarabiałem tyle, ile wynosi pensja kierownika. Kolej mogłaby z równym powodzeniem przejąć kamieniołomy na własność i zrobić mnie kierownikiem.

— Z tą jednak różnicą — rzekł Ernest ze śmiechem — że kolej musiałaby wtedy wziąć na siebie całe ryzyko, które obecnie pan za nią tak uprzejmiem ponosi.

— To prawda — odparł ze smutkiem Asmunsen.

Gdy już wypowiedzieli wszystkie swoje żale, Ernest począł na prawo i lewo zadawać pytania. Na pierwszy ogień poszedł Owen.

— Otworzył pan filię tutaj, w Berkeley, ze sześć miesięcy temu?

— Tak.

— I w ciągu tego czasu, jak zauważyłem, zbankrutowały trzy kolonialne sklepiki w sąsiedztwie. Czy to pański sklep był tego przyczyną?

Pan Owen potwierdził z uśmiechem zadowolenia:

— Nie miały żadnych szans przeciw nam.

— A dlaczego?

— Mieliśmy większy kapitał. W dużym przedsiębiorstwie zawsze jest mniej marnotrawstwa i lepsza organizacja.

— A więc pańska filia przejęła zyski tamtych trzech sklepików. Rozumiem. Ale niech mi pan powie, co się stało ze sklepikarzami?

— Jeden z nich rozwozi u nas towary. A co się stało z dwoma innymi — nie mam pojęcia.

Ernest zwrócił się nagle do Kowalta.

— Pańska firma dużo sprzedaje po cenach dumpingowych. Czy wie pan, co stało się z właścicielami małych składów aptecznych, które przyparliście w ten sposób do muru?

. — Jeden z nich, Haasfurther, jest u nas kierownikiem wydziału recept — brzmiała odpowiedź.

— I wasza firma przejęła zyski tamtych?

— Oczywiście. Po to przecież prowadzi się przedsiębiorstwo.

— A pan? — nagle Ernest zwrócił się znowu do Asmunsena. — Pan jest oburzony, bo kolej przejęła pańskie zyski.

Asmunsen skinął głową.

— Pan chciałby mieć zyski dla siebie?

Asmunsen i teraz przytaknął.

— Kosztem innych?

Tym razem nie było odpowiedzi.

— Kosztem innych? — nalegał Ernest.

— Zysk zawsze osiąga się w ten sposób — rzekł krótko Asmunsen.

— Czyli że w interesach cała gra polega na tym, by ciągnąć zyski kosztem innych i nie dopuścić, by inni zarabiali naszym kosztem. Tak, prawda?

Ernest musiał powtórzyć pytanie, zanim otrzymał odpowiedź. Wreszcie Asmunsen rzekł:

— Tak jest. Ale my nie mamy zastrzeżeń przeciw temu, że inni osiągają zyski, byle nie były nadmierne.

— Przez nadmierne rozumie pan duże zyski. A jednak nie miałby pan zastrzeżeń, gdyby pan sam mógł osiągać duże zyski?... Chyba nie?

Do tej słabości Asmunsen musiał się przyznać i uczynił to z miłym uśmiechem. W tym samym momencie Ernest zapędził w bozi tóg jeszcze jednego z obecnych, Calvina, niegdyś właściciela dużych zakładów mleczarskich.

— Jakiś czas temu zwalczał pan trust mleczarski — zagadnął go Ernest — a teraz prowadzi pan politykę wśród farmerów. Jak to się stało?

— O, ja wcale nie zaniechałem walki — odparł Calvin wojowniczo. — Zwalczam trust mleczarski na jedynym polu, gdzie walka jest możliwa — na terenie polityki. Zaraz to panu wyjaśnię. Jeszcze kilka lat temu my, mleczarze, mogliśmy dyktować ceny.

— Ale konkurowaliście między sobą? — przerwał Ernest.

— Tak i to właśnie obniżało zyski. Próbowaliśmy się zrzeszyć, ale niezależni mleczarze zawsze się wyłamywali. A wtedy zjawił się trust mleczarski.

— Finansowany przez nadwyżki kapitałowe Standard Oil — rzekł Ernest.

— Tak — przyznał Calvin. — Ale wtedy jeszcześmy o tym nie wiedzieli. Agenci trustu mleczarskiego przystawili nam rewolwer do głowy. „Chodźcie do nas — mówili — to będziecie obrastać tłuszczem; a inaczej zdechniecie z głodu”. Większość z nas zgodziła się. A ci, co się nie zgodzili, rzeczywiście ginęli z głodu. I trzeba przyznać, że się nam opłacało... z początku. Cena mleka skoczyła o centa na kwarcie. Ćwierć tego centa szła do naszej kieszeni. Trzy ćwierci zabierał trust. A potem cena mleka podskoczyła o drugiego centa, ale myśmy z niego już nic nie dostali. Nasze skargi nic nie pomogły, trust panował na rynku. A my, jak się okazało, byliśmy tylko pionkami. Wreszcie odebrano nam i tamte ćwierć centa. Wtedy trust zaczął wypierać nas z rynku. Nie mogliśmy nic na to poradzić. Wyparto nas i nie było już żadnych mleczarzy, tylko trust mleczarski.

— Ale przy cenie mleka o dwa centy wyższej mogliście chyba próbować konkurencji? — zapytał podstępnie Ernest.

— Tak się i nam zdawało. Spróbowaliśmy — Calvin urwał na chwilę — i to nas zgubiło. Trust mógł rzucić mleko na rynek po cenie niższej niż nasza. Mógł sprzedawać z niewielkim zyskiem, kiedy my sprzedawaliśmy już ze stratą. Ja sam wpakowałem w to pięćdziesiąt tysięcy dolarów. W końcu zbankrutowaliśmy prawie wszyscy. Nasze gospodarstwa mleczne przestały istnieć.

— Słowem, trust odebrał wam zyski — rzekł Ernest — a wtedy zajęliście się polityką, chcąc zniszczyć trust na drodze ustaw i przywrócić sobie zyski?

Twarz Calvina rozjaśniła się.

— To właśnie ciągle powtarzam farmerom. Tak wygląda w skrócie cały nasz plan.

— Ale na razie trust produkuje mleko taniej, niż mogliby to robić indywidualni farmerzy? — spytał Ernest.

— A dlaczego nie miałby tego robić, skoro dysponuje "wielkimi pieniędzmi, które umożliwiają i świetną organizację, i zakup najnowszych maszyn?

— Oczywiście — rzekł Ernest — trust może to robić, a więc robi.

W tym momencie Calvin wygłosił dłuższą mowę, w której wyłożył swoje poglądy polityczne. W jego ślady poszli inni, a wszyscy nawoływali do zniszczenia trustów.

— Biedacy — szepnął mi Ernest — to, co widzą, widzą nawet dokładnie, ale nikt z nich nie umie patrzeć dalej swojego nosa.

Po chwili Ernest znów zabrał głos i odtąd, jak zwykle, już go nie oddawał.

— Słuchałem bardzo uważnie tego, coście mówili — rozpoczął — i widzę zupełnie jasno, że całą grę prowadzicie w bardzo staroświecki sposób. Dla was wszystko sprowadza się tylko do sprawy zysków. Każdy jest święcie przekonany, że został stworzony wyłącznie w tym celu, aby gromadzić zyski. Ale z tym właśnie są kłopoty. Kiedy sobie w najlepsze zarabiacie, zjawia się nagle trust i odbiera wam zyski. Wydaje się to wam czymś przeciwnym naturze, a jako jedyną radę widzicie zniszczenie tego, co was obdziera.

Słuchałem z uwagą i chciałbym powiedzieć, co o was myślę. Wiecie, kim wy jesteście? Jesteście burzyciele maszyn. Czy znacie to określenie? Jeśli nie, pozwólcie, że wam wyjaśnię. W Anglii XVIII wieku tkacze pracowali u siebie po domach na ręcznych warsztatach. Ten system chałupniczy był bardzo powolnym, niewygodnym i kosztownym sposobem wyrobu tkaniny. Trwał jednak aż do czasu wynalezienia maszyny parowej i różnych mechanizmów usprawniających pracę. Tysiąc krosien, ustawionych w wielkich zakładach i poruszanych przez jedną maszynę, wytwarzało tkaniny znacznie

taniej, niż mogli to robić tkacze chałupnicy na swoich ręcznych warsztatach. Tak powstały fabryki oparte na połączeniu wysiłków, a wysiłek indywidualny nie mógł wytrzymać takiej konkurencji. Tkacze, pracujący dotąd dla siebie przy warsztatach ręcznych, przeszli teraz do fabryk i pracowali przy krosnach mechanicznych nie dla siebie, ale dla kapitalistów. Co więcej, przy krosnach mechanicznych postawiono dzieci dając im niższe płace, a jednocześnie rugując dorosłych mężczyzn. Dla tkaczy przyszły w tych warunkach ciężkie czasy. Najpierw obniżył się poziom ich życia, a potem umierali wprost z głodu. Całą winę zwalali na maszyny, zaczęli więc je rozbijać. Nic im % tego nie przyszło, bo ich rozumowanie było bardzo niemądre.

A jednak ich gorzki przykład niczego was nie nauczył. Minęło lat sto pięćdziesiąt, a wy wciąż próbujeście łamać i niszczyć maszyny. Według waszego własnego zdania machina trustów pracuje wydajniej i taniej niż ktokolwiek z was. I dlatego nikt z was nie może z nią konkurować. A jednak tę właśnie maszynę chcielibyście rozbić. Jesteście głupszy nawet od tamtych robotników w Anglii. I podczas gdy rozprawiacie o przywróceniu wolnej konkurencji, trusty dalej was niszczą.

Jeden po drugim powtarzacie to samo: że przeminęła epoka konkurencji i nastąpiła epoka koncentracji. Pan, panie Owen, zniszczył konkurencję tutaj w Berkeley, kiedy jeden z oddziałów pańskiej firmy zrujnował trzech sklepikarzy. Pańskie połączenie sklepów działało wydajniej i sprawniej. Odczuwa pan nacisk innych połączeń, połączeń trustowych, i woła pan na alarm. Ale to dlatego, że nie jest pan trustem. Gdyby pan był trustem kolonialnym na całe Stany Zjednoczone, zaśpiewałby pan całkiem inną piosenkę. Byłaby to piosenka „Niech żyją trusty!” Tymczasem nie tylko nie jest pan trustem, ale zdaje pan sobie sprawę, jak wątłym tworem jest pańskie kilka sklepów. Zaczyna pan już przeczuwać swój kres. Zaczyna pan rozumieć, że razem ze swymi filiami jesteście pan jedynie pionkiem w grze. Widzi pan, jak potężne grupy interesów rosną coraz bardziej i z dnia na dzień stają się jeszcze potężniejsze. Czuje pan, jak ich żelazne dłonie wyciągają się po pańskie zyski i wrywają je panu kawałami — tu trust kolejowy, tam trust naftowy, ówdzie — stalowy czy węglowy. I wie pan, że w końcu one pana zniszczą i zabiorą wszystkie pańskie zyski,

Jesteście pan kiepskim graczem. Kiedy tu w Berkeley, korzystając ze swej przewagi, wyrzucił pan na bruk trzech małych sklepikarzy, z dumą wypinał pan pierś mówiąc o wydajności i przedsiębiorczości. A za zyski zdobyte dzięki pożarciu trzech sklepikarzy wysłał pan żonę do Europy. Duży pies pożera małego i pan zjadł trzech tamtych. Ale z drugiej strony pana z kolei pożerają jeszcze większe psy i teraz pan sam piszczy. A to dotyczy i reszty tu zebranych. Wszyscy piszczycie. Wasza gra jest z góry przegrana i dlatego piszczycie.

Ale ten cały wasz pisk nie wyjaśnia sprawy tak, jak ja to zrobiłem. Nie chcecie się przyznać, że lubicie odbierać zyski innym, a podnosicie wrzask, gdyż znaleźli się tacy, którzy wam odbierają zyski. Nie, na to jesteście za mądrzy. I opowiadacie coś zupełnie innego. Wygłaszacie mowy polityczne w imieniu drobnych kapitalistów, tak jak pan Calvin. Go właściwie powiedział pan Calvin? Wynotowałem sobie kilka jego formułek: „Nasze podstawowe zasady są słuszne”, „Czego naszej ojczyźnie potrzeba, to powrotu do zasady, na której stała Ameryka: swobodnej inicjatywy dla wszystkich”, „Duch wolności, z którego zrodził się nasz naród”, „Powróćmy więc do zasad naszych przodków”.

Kiedy pan Calvin mówi o „swobodnej inicjatywie dla wszystkich”, ma na myśli swobodną inicjatywę wyciskania zysków, a taką inicjatywę odbierają mu teraz wielkie trusty. Podobne zdania powtarzaliście tak często, aż wreszcie sami w nie uwierzyliście. I to jest największy absurd. Wmówiliście sobie, że chcecie wolności, podczas gdy naprawdę chcecie tylko mieć możliwość ograbiania bliźnich w waszym małym zakresie. Powodujecie się brudną chciwością, ale magia frazesów każe wam widzieć w sobie wielkich patriotów. Wasze czyste egoistyczne pragnienie

zysków przywdziewa w ten sposób maskę bezinteresownego współczucia dla cierpiącej ludzkości. Bądźcież choć raz uczciwi, przynajmniej tu między sobą. Spójrzcie prawdzie w oczy i nazwijcie wreszcie rzeczy po imieniu.

Gniew płonął na wszystkich twarzach dokoła stołu, ale połączony z pewną dozą podziwu. Jakimś lękiem napawał ich ten młodzieniec o gładkiej twarzy, którego każde słowo było jak uderzenie pięści i który miał straszny zwyczaj nazywania łopaty łopatą. Calvin bez zwłoki pośpieszył z odpowiedzią.

— A dlaczego mielibyśmy wyrzekać się naszych dążeń? — zapytał — Dlaczego nie mamy powrócić do zasad naszych ojców z czasów, gdy zakładali republikę? Powiedział pan wiele prawdy, panie Everhard, a smak jej był nieraz gorzki. Ale tu między sobą możemy mówić szczerze. Odrzućmy więc wszelkie pozory i przyjmijmy prawdę tak, jak ją pan Everhard bez ogródek wyłożył. Prawdą jest, że my, drobni kapitaliści, dążymy do zysków i że trusty nam je zabierają. Prawdą jest, że chcemy trusty zniszczyć po to, aby nasze zyski zachować. Ale dlaczego nie mielibyśmy tego osiągnąć? Dlaczego? Jeszcze raz pytam: dlaczego?

— A więc doszliśmy wreszcie do sedna sprawy — rzekł Ernest z wyrazem zadowolenia. — Postaram się wytłumaczyć wam, dlaczego nie możecie tego osiągnąć, choć takie wyjaśnienie nie będzie rzeczą prostą. Chodzi o to, panowie, że na swój sposób znacie się trochę na interesach, ale nie macie wcale pojęcia o ewolucji społecznej. Jesteście w samym środku przejściowego okresu w rozwoju gospodarczym, ale nie rozumiecie tego i stąd całe zamieszanie w waszych umysłach. Dlaczego nie możecie zawrócić wstecz? Dlatego, że to jest niepodobieństwem. Podobnie jak nie możecie sprawić, by rzeka popłynęła z powrotem do źródła, tak nie możecie odwrócić nurtu rozwoju gospodarczego. Jozue kazał słońcu stanąć nad Gabaonem, ale wy chcielibyście go zakasować. Chcecie, żeby słońce cofnęło się na niebie. Chcecie, żeby czas zawrócił i popłynął od południa do świtu.

W dobie maszyn oszczędzających pracę, zorganizowanej produkcji i usprawnień, jakie daje łączenie się interesów, chcielibyście cofnąć słońce gospodarcze o całe pokolenie, aż do czasów, kiedy nie było wielkich kapitalistów, nie było kolei ani współczesnej mechanizacji — do czasów, kiedy całe mnóstwo drobnych kapitalistów zwalczało się nawzajem wśród gospodarczej anarchii, a produkcja była pierwotna, niezorganizowana i kosztowna w swym marnotrawstwie. Wierzcie mi, Jozue miał łatwiejsze zadanie, a ponadto miał do pomocy Jehowę. Dziś jednak Bóg odwrócił się od was, drobnych kapitalistów. Wasze słońce zachodzi i nigdy już nie wzejdzie. Nie potraficie zatrzymać go choćby na chwilę. Giniecie i jesteście skazani na całkowite zniknięcie z oblicza ziemi.

Taki jest nakaz ewolucji. Tak chce opatrność. Łączenie się interesów jest silniejsze od konkurencji. Człowiek pierwotny był żalostną istotą kryjącą się w załamach skał. Lecz zjednoczył się z innymi ludźmi i wydał wojnę swym mięsożernym wrogom. Były to rywalizujące ze sobą zwierzęta. Człowiek pierwotny był zwierzęciem łączącym się w grupy i dlatego zdobył przewagę nad całym światem zwierząt. Odtąd zaś łączy się w grupy coraz większe i większe. Jest to walka ciągnąca się od tysiąca stuleci, walka zjednoczenia przeciw swobodnej grze konkurencji. I z walki tej konkurencja wychodziła zawsze pobita. Kto staje po jej stronie, musi zginąć.

— Ależ same trusty wyrosły z konkurencji — przerwał Calvin. .

— To prawda — odparł Ernest. — I same trusty zniszczyły konkurencję. Dlatego zgodnie z tym, co pan mówi, zbankrutowała pańska farma mleczna.

Zebrani wybuchnęli śmiechem, pierwszy raz tego wieczoru. Nawet Calvin śmiał się z siebie samego.

— A teraz, gdy już jesteśmy przy trustach — ciągnął Ernest — pora wyjaśnić parę rzeczy. Wysunę pewne twierdzenie, a wy mówcie, jeśli się z czym nie zgodzicie. Milczenie oznaczać będzie

zgode. Czy to nie prawda, że na warsztacie mechanicznym utkać można więcej i taniej niż na warsztacie ręcznym? — Urwał, lecz nikt się nie odezwał. — A czy wobec tego nie byłoby szaleństwem niszczenie wrzecion mechanicznych i powracanie do niewygodnej i znacznie droższej metody tkania na warsztacie ręcznym? — Zewsząd rozległy się głosy aprobaty. — Czy nie jest dalej prawdą, że grupa złączonych przedsiębiorstw, znana jako trust, produkuje wydajniej i taniej niż tysiąc konkurujących ze sobą małych przedsiębiorstw? — Znowu nikt nie zaprzeczył. — A czy w takim razie próba zniszczenia tych wydajnie i tanio produkujących połączeń nie byłaby szaleństwem?

Przez długi czas nikt się nie odzywał. Wreszcie zabrał głos Kowalt.

— Cóż więc mamy robić? — zapytał. — Zniszczenie trustów to jedyny, jak się nam zdaje, dla nas ratunek.

Ernest w jednej chwili ożywił się i rozplomienił.

— Wskażę wam inny sposób — zawołał. — Zamiast niszczyć wspaniałą maszynę, która produkuje i wydajnie, i tanio, nauczymy się nad nią panować. Wykorzystajmy i wydajność, i taniłość, a! maszyną sami pokierujmy. Usuńmy obecnych właścicieli i sami w ich miejsce stańmy się właścicielami tych wspaniałych urządzeń. Oto, panowie, czym jest socjalizm. Połączenie interesów większe niż trusty, zjednoczenie interesów społecznych i gospodarczych większe, niż kiedykolwiek istniało na tej planecie. Jest to zgodne z kierunkiem rozwoju. Zjednoczonej grupie interesów przeciwstawimy zjednoczenie jeszcze o wiele większe. W tym leży pewność zwycięstwa. Chodźcie do nas, stańcie po stronie socjalizmu, a znajdziecie się po stronie zwycięzców.

Tu jednak rozległy się głosy sprzeciwu. Potrząsano głowami z wyraźnym niezadowoleniem.

— Dobrze więc — rzekł Ernest ze śmiechem — jak widzę, wolicie tkwić w staroświecczyźnie. Wolicie grać rolę przedpotopowych stworów. W takim razie, jak one, skazani jesteście na zagładę. Czy zadaliście sobie przypadkiem pytanie, co będzie, gdy powstaną połączenia większe nawet niż obecne trusty? Czy pomyśleliście, jaki los was spotka, kiedy wielkie trusty same z kolei połączą się w połączenie połączeń — w jeden wielki trust społeczny, gospodarczy i polityczny?

Nagle zwrócił się do Calvina.

— Powiedz pan sam, czy nie mam racji. Musieliście utworzyć nową partię polityczną, bo dawne partie są w ręku trustów. Trusty stanowią główną zaporą dla waszej propagandy wśród farmerów. Poza każdą przeszkodą, na jaką trafiacie, poza każdym ciosem, jaki w was uderza, poza każdą spotkaną klęską kryje się ręka trustów. Prawda? Sam pan powiedz. Calvin milczał z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

— No i co? — zachęcił go Ernest.

— To prawda — przyznał Calvin. — Zdobyliśmy większość w ciele ustawodawczym stanu Oregon i przeprowadziliśmy szereg znakomitych ustaw ochronnych. Jednakże gubernator, który jest człowiekiem trustów, założył przeciw nim weto. Wybraliśmy gubernatora stanu Colorado, ale ciało ustawodawcze nie pozwoliło mu objąć urzędowania. Dwa razy przeprowadziliśmy powszechną ustawę o podatku dochodowym, ale za każdym razem Sąd Najwyższy obalił ją jako sprzeczną z konstytucją. Sądy są w ręku trustów, bo my, ogół, za mało płacimy naszym sędziom. Lecz przyjdzie czas...

— Kiedy połączenie trustów — przerwał Ernest — będzie rządzić we wszystkich ciałach ustawodawczych, kiedy połączenie trustów samo będzie rządem naszego kraju.

— Nigdy! Nigdy! — rozległy się okrzyki. Zapanowało powszechne wzburzenie.

— A co zrobicie, panowie — spytał Ernest — jeśli jednak takie czasy nastaną?

— Powstaniemy i przeciwstawimy się siłą! — wykrzyknął Asmunsen i natychmiast poparło go szereg głosów.

— Ale to będzie wojna domowa — zwrócił uwagę Ernest.

— To trudno, niech będzie wojna domowa — odparł Asmunsen wśród gromkich okrzyków wszystkich zebranych. — Nie zapomnieliśmy o czynach naszych ojców. Za wolność gotowi jesteśmy walczyć i umrzeć.

Ernest uśmiechnął się.

— Pamiętajcie — rzekł — o tym, cośmy zgodnie stwierdzili: wolność w waszym, panowie, wypadku oznacza wolność wyciskania zysku z innych. .

Goście byli teraz w gniewnym i bojowym nastroju. Lecz Ernest zdołał opanować wrzawę i znowu dojsć do głosu.

— Jeszcze jedno pytanie. Kiedy powstaniecie, by przeciwstawić się siłą, musicie pamiętać, że powodem powstania będzie przejście rządu 'do rąk trustów. A wtedy przeciw waszej sile rząd z pewnością rzuci armię, flotę, milicję, policję — słowem, całą zorganizowaną machinę wojenną Stanów Zjednoczonych. A co wtedy stanie się z waszą siłą?

Przerażenie wypłynęło na twarze zebranych, a zanim zdołali się otrząsnąć, Ernest uderzył znowu.

— Czy pamiętacie, jak niedawno nasza armia liczyła zaledwie pięćdziesiąt tysięcy ludzi? Co roku jednak zwiększano ją i dziś liczy trzysta tysięcy.

Uderzenie padało za uderzeniem.

— Ale i to nie wszystko. Całą uwagę skupiliście na ściganiu widma zwanego zyskami i wygłaszaniu różnych morałów na temat waszego ulubionego bóstwa zwanego konkurencją, a przez ten czas połączenia potężnych interesów dokonały większych i groźniejszych rzeczy: utworzyły milicję.

— Milicja to nasza siła! — wykrzyknął Kowalt. — Z jej pomocą odeprzemy atak armii regularnej.

— Cóż kiedy nie milicja będzie wam służyć, ale wy w milicji — odparł Ernest. — Wyślą was do Maine czy na Florydę albo na Filipiny czy jeszcze gdzie indziej i tam przelewać będziecie krew waszych towarzyszy toczących wojnę domową w obronie swojej wolności. A jednocześnie wasi towarzysze z Kansas czy Wisconsin, czy jeszcze innego stanu, służąc w milicji, przyjdą tutaj, do Kalifornii, by przelać waszą, własną krew.

Tym razem byli tak wstrząśnięci, że zastygli w milczeniu. Wreszcie półgłosem odezwał się Owen.

— Nie będziemy wstępować do milicji. To rozwiąże kwestię. Żaden z nas tego głupstwa nie zrobi.

Ernest wybuchnął głośnym śmiechem.

— Nie rozumiecie wcale sytuacji. Nikt z was nic nie poradzi. Do milicji będziecie po prostu wcieleni.

— Ale są jeszcze prawa obywatelskie — obstawał Owen.

— Które rząd może zawiesić. W dniu, kiedy spróbujecie powstać i przeciwstawić się siłą, wasza siła rzucona będzie przeciwko wam samym. Chcąc czy nie chcąc, pójdziecie do milicji. Słyszałem, jak ktoś tu wspominał o nietykalności. Ale zamiast nietykalności otrzymacie akty zgonu. Jeśli kto z was odmówi wstąpienia do milicji czy wykonania rozkazu, kiedy w niej już będzie, sąd wojenny rozstrzela go jak psa. Takie jest prawo.

— Nie! — oświadczył stanowczo Calvin. — Nie ma takiego prawa Młodzieńcze, pan sobie to wszystko wymyślił! Przecież pan opowiadał nawet o wysłaniu milicji na Filipiny. A to jest sprzeczne z konstytucją. Konstytucja wyraźnie zabrania wysyłać milicję poza granice kraju.

— A cóż konstytucja ma z tym wspólnego? — odparł Ernest. — Przecież konstytucję interpretują

sądy, a sądy, jak to powiedział pan Asmunsen, są narzędziem trustów. A ponadto takie jednak jest prawo. Takie prawo obowiązuje już u nas, panowie, od dziewięciu lat.

— Że można wcielić nas do milicji siłą? — zapytał Calvin z niedowierzaniem. — Że każdy sąd wojenny może nas rozstrzelać, jeżeli odmówimy?

— Tak jest — rzekł Ernest — takie właśnie jest prawo.

— A jak to się stało, żeśmy nigdy dotąd o nim nie słyszeli? — spytał mój ojciec, który najwidoczniej dowiedział się o tym dopiero teraz.

— Z dwóch powodów — rzekł Ernest. — Po pierwsze, nie zaszła potrzeba jego stosowania, w przeciwnym razie usłyszelibyście o nim już dawno. Po wtóre zaś, ustawę przeprowadzono w Kongresie i Senacie pośpiesznie i potajemnie, bez żadnej dyskusji. A gazety nie dały o niej, oczywiście, nawet wzmianki. Ale my, socjaliści, wiemy o tym prawie. Pisaliśmy o nim w naszych gazetach. Tylko że wy w naszych gazet nigdy nie czytacie.

— Ja natomiast dalej twierdzę, że pan to wszystko zmyślił — upierał się Calvin. — Kraj nigdy by nie pozwolił na coś podobnego.

— A jednak pozwolił — odparł Ernest. — Jeśli zaś zmyślam — tu wydobyl z kieszeni małą broszurę — powiedzcie, czy to ma wygląd zmyślony? Otworzył książeczkę i zaczął czytać:

— Artykuł pierwszy: Niniejszym stanowi się itd. itd., że milicja składać się będzie ze wszystkich zdolnych do służby obywateli płci męskiej z odnośnych stanów i terytoriów oraz okręgu Kolumbia w wieku od lat osiemnastu do czterdziestu pięciu.

— Artykuł siódmy: Oficer lub szeregowy — zapamiętajcie sobie artykuł pierwszy, panowie, (bo na jego mocy wszyscy jesteście szeregowymi — oficer lub szeregowiec milicji, który odmówiłby lub zaniedbał stawiennictwa w trybie przepisany przed wyznaczoną do tego władzą, będzie postawiony przed sądem wojskowym i ukarany zgodnie z orzeczeniem sądu.

Artykuł ósmy: Sądy wojskowe rozpatrujące sprawy oficerów i szeregowych milicji składać się będą wyłącznie z oficerów milicji.

Artykuł dziewiąty: Milicja powołana do czynnej służby podlegać będzie tym samym przepisom i regulaminom wojskowym co armia regularna Stanów Zjednoczonych.

Tak to wygląda, panowie obywatele Ameryki oraz milicjanci. Od dziewięciu lat my, socjaliści, byliśmy przekonani, że ta ustawa wymierzona jest przeciw robotnikom. Ale jak się zdaje, jest wymierzona także i przeciw wam. W czasie krótkiej dyskusji, na jaką pozwolono, kongresman Wiley powiedział, że ta ustawa „tworzy rezerwową siłę, aby wziąć tłum za łeb” — wy jesteście tym tłumem, panowie — „i chronić za wszelką cenę życie, wolność i własność”. Więc jeśli nadejdzie czas, gdy powstaniecie, by przeciwstawić się siłą, pamiętajcie, że powstaniecie przeciw własności trustów i przeciw wolności wyciskania z was zysków, zagwarantowanej trustom przez prawo. Tak więc wyrwano wam kły i przycięto pazury, panowie. I w dniu kiedy powstaniecie do walki, pozbawieni pazurów i kłów, będziecie tak nieszkodliwi jak armia mięczaków.

— Nie wierzę temu! — zawołał Kowalt. — Nie ma takiego prawa. To kaczka puszczone przez was, socjalistów.

— Ustawę wniesiono w Izbie Reprezentantów 30 lipca 1902 roku — odrzekł Ernest. — Wniósł ją kongresman Dick z Ohio. Przyjęta została bez zwłoki i uchwalona jednogłośnie przez Senat 14 stycznia 1903 roku. Po tygodniu zaś uzyskała podpis prezydenta Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

MATEMATYKA SNÓW

śród powszechnego zdumienia, wywołanego tymi rewelacjami, Ernest zaczął znów mówić. — Kilku z panów wyraziło się dzisiaj, że socjalizm jest niemożliwością. Dowodziście owej niemożliwości, a więc teraz pozwólcie mi wykazać nieuchronny bieg rzeczy. A nieuchronne jest nie tylko to, że przeminiecie wy, drobni kapitaliści, lecz że przeminą. także kapitaliści wielcy, podobnie jak trusty. Pamiętajcie, że nurt ewolucji nigdy nie płynie wstecz. Płynie naprzód, płynie od konkurencja do połączonych grup, od małych połączeń, do wielkich, od wielkich do olbrzymich, aż wreszcie wpływa w socjalizm, który jest zjednoczeniem najbardziej gigantycznym ze wszystkich.

Powiecie, że śnię na jawie. Pięknie. Ja zaś wyłożę wam matematykę moich snów. I z góry wzywam każdego z was, by wykazał, czy w tej matematyce są błędy. Dowiodę nieuchronności załamania się ustroju kapitalistycznego i wykażę matematycznie, dlaczego się musi załamać. Bądźcie tylko cierpliwi, jeśli początkowo to, *co* powiem, wyda się wam dziwaczne.

Zacznijmy od zbadania jakiegoś określonego procesu przemysłowego. I proszę was, przerwijcie mi, jeżeli powiem coś, z czym się nie zgadzacie. Weźmy na przykład fabrykę obuwia. Fabryka ta przerabia skórę na obuwie. Przypuśćmy, że mamy skórę wartości stu dolarów. Przerabia się ją w fabryce na buty, które są warte, założmy, dwieście dolarów. Co się tu stało? Do wartości skóry przybyło sto dolarów. Skąd ten przybytek? Zobaczmy.

Ta dodatkowa wartość stu dolarów powstała dzięki kapitałowi i pracy. Kapitał dał fabrykę, maszyny i pokrył wszystkie wydatki. Pracy dostarczył robotnik. Wspólnym wysiłkiem kapitału i robotnika powstała dodatkowa wartość stu dolarów. Czy zgadzacie się z tym?

Zebrani wokół stołu zgodnie przytaknęli.

— Po wytworzeniu owych stu dolarów robotnicy i kapitał przystępują do ich podziału. Statystyki tego podziału są niedokładne, więc dla uproszczenia weźmiemy liczby przybliżone. Powiedzmy, że kapitał zabiera jako swój udział pięćdziesiąt dolarów, a udział robotników wynosi w formie płac drugie pięćdziesiąt dolarów. Nie będziemy wnikali w spory dotyczące podziału. Bez względu na ostrość sporów podział w tym czy innym stosunku dochodzi do skutku. A proszę zwrócić uwagę, że wszystko, co mówimy ó tym jednym przemyśle, odnosi się równie dobrze do pozostałych. Czy zgadzacie się ze mną?

Goście skinęli głowami.

— Przypuśćmy jednak, że robotnicy po otrzymaniu swoich pięćdziesięciu dolarów chcieliby buty odkupić. Mogliby odkupić, rzecz jasna, tylko ich część, wartą pięćdziesiąt dolarów. To chyba także jest jasne, prawda?

A teraz przejdziemy od jednego przemysłu do łącznej produkcji przemysłowej w Stanach Zjednoczonych. Obejmie to i surowce, i transport, sprzedaż, słowem, wszystko. Powiedzmy dla zaokrąglenia, że łączna produkcja dóbr w Stanach Zjednoczonych przedstawia roczną wartość czterech miliardów dolarów. A w takim razie robotnicy otrzymali w tym samym okresie dwa miliardy dolarów płacy. Wytworzono dobra wartości czterech miliardów. A ile z tego świat pracy może odkupić? Za dwa miliardy. To chyba jest bezsporne. Bo moje obliczenia procentów są właściwie aż nadto umiarkowane. Kapitał ma przecież tysiące sposobów, by robotnicy nie mogli odkupić nawet połowy ogólnej ilości produktów.

Ale do rzeczy. Przyjmujemy więc, że świat pracy może nabyć wyrobów za dwa miliardy. A tym samym może ich, oczywiście, spożyć też tylko za dwa miliardy. Czyli że pozostają jeszcze dwa miliardy, których robotnicy nie mogą ani odzyskać, ani spożytkować.

— Świat pracy nie może spożyć nawet swoich własnych dwóch miliardów — wtrącił Kowalt — bo inaczej nie miałby żadnych depozytów w kasach oszczędnościowych.

— To, co świat pracy złożył w kasach oszczędnościowych, stanowi tylko rodzaj rezerwy zużywanej równie szybko, jak się gromadzi. Są to oszczędności odkładane na starość, na wypadek choroby i niezdolności do pracy, a wreszcie na pogrzeb. Oszczędności w kasach to po prostu odłożony na półkę kawałek chleba, który będzie zjedzony jutro. Tak że świat pracy . zużywa właściwie cały swój udział w wartości wspólnej produkcji.

A co robi kapitał ze swoim udziałem? Czy spożywa to, co zostaje po potrąceniu kosztów? Czy spożywa całe swoje dwa miliardy dolarów?

Ernest urwał, po czym zwrócił się z tym pytaniem bezpośrednio do niektórych spośród zebranych. Lecz tamci potrząsnęli głowami.

— Nie wiem — odparł jeden z nich szczerze.

— Jak to nie? — nalegał Ernest. — Niech pan tylko pomyśli. Gdyby kapitaliści zużywali cały swój udział, łączna suma kapitału nie mogłaby wzrastać.. Byłaby wtedy niezmienna. Ale jeśli pan zbada historię gospodarczą Stanów Zjednoczonych, przekona się pan, że ogólna suma kapitału bezustannie rosła. Wynika stąd, że kapitaliści nie zużywają swojego udziału. Czy pamiętacie czasy, kiedy Anglia była właścicielką lwiej części akcji naszych kolei? Z biegiem lat odkupiliśmy te akcje.

Co to znaczy? To znaczy, że kapitaliści odkupili te akcje za nie użytą część swego udziału. Co wynika z faktu, że kapitaliści Stanów Zjednoczonych są dziś właścicielami setek milionów dolarów w akcjach meksykańskich, rosyjskich, włoskich czy greckich? Z faktu tego wynika, że wspomniane setki milionów stanowiły tę część udziału kapitalistów, której nie skonsumowali. Co więcej, od samego początku istnienia ustroju kapitalistycznego kapitaliści nigdy nie zużywali całego swojego udziału.

I teraz dochodzimy do sedna rzeczy. Co roku w Stanach Zjednoczonych wytwarza się dóbr za cztery miliardy dolarów. Świat pracy nabywa z tego i spożywa za dwa miliardy. Ale kapitaliści nie spożywają pozostałych dwóch miliardów. Pozostaje ogromna, nie użyta nadwyżka. Co się z nią dzieje? Co można z nią w ogóle zrobić? Świat pracy nie może jej spożyć, bo wydał już wszystkie swoje zarobki. Kapitaliści także jej nie użyją, bo skonsumowali już, co mogli zgodnie ze swoją naturą. A nadwyżka nadal pozostaje. Co można z nią zrobić? I co się z nią dzieje?

— Sprzedawana jest za granicę — zaryzykował Kowalt.

— Tak jest — przyznał Ernest. — I właśnie z powodu owej nadwyżki zaczynamy potrzebować rynku zewnętrznego. Nadwyżkę sprzedajemy za granicę. Musimy ją tam sprzedać. Nie ma innego sposobu, aby się jej wyzbyć. I ta nie użytkowana nadwyżka, sprzedawana za granicą, tworzy to, co nazywamy naszym dodatnim bilansem handlowym. Czy zgadzacie się z tym, panowie?

— Właściwie marnujemy czas na rozważanie tego abecadła handlu — odezwał się kąśliwie Calvin — To są wszystko rzeczy wiadome.

— A właśnie to abecadło, nad którym się tak rozwodziłem, pognębi was za chwilę — odparł Ernest. — Na tym polega jego piękno. Już was nim pognębiam. Uwaga!

Stany Zjednoczone są krajem kapitalistycznym o rozwiniętym przemyśle. Zgodnie z kapitalistyczną organizacją przemysłu Stany Zjednoczone mają nie użytą nadwyżkę, której muszą się pozbyć, i to pozbyć za granicą . A to samo dotyczy wszystkich innych krajów kapitalistycznych o rozwiniętym przemyśle. Każdy z nich ma nie użytą nadwyżkę. I proszę pamiętać, że już od dawna

handlują one między sobą, a mimo to nadwyżki pozostają. Świat pracy tych krajów wydaje swoje zarobki, a nie może zakupić nic z owych nadwyżek. Kapitałiści konsumują, ile tylko mogą zgodnie ze swą naturą, a jednak nadwyżki zostają. Nie mogą tych nadwyżek odstąpić sobie nawzajem. Jak wobec tego mają się ich wyzbyć?

— Mogą je sprzedać krajom o nie rozwiniętym przemyśle — odezwał się Kowalt.

— Tak jest. Jak wadzicie, moje rozumowanie jest tak jasne i proste, że sami rozwijacie je za mnie dalej. A teraz następny krok. Przypuśćmy, że Stany Zjednoczone odstąpią swoją nadwyżkę jakiemuś krajowi o nie rozwiniętym przemyśle, na przykład Brazylii. Tylko pamiętajmy, że owa nadwyżka powstaje poza rynkiem, który nie może już wchłonąć więcej towarów. Co, wobec tego, mogłyby Stany Zjednoczone otrzymać w zamian od Brazylii?

— Złoto — rzekł Kowalt.

— Chyba nie — zaproponował Ernest — bo ilość złota w świecie jest bardzo ograniczona.

— Złoto w postaci akcji i innych papierów wartościowych — poprawił Kowalt.

— Teraz trafił pan w sedno — rzekł Ernest. — W zamian za swą nadwyżkę Stany Zjednoczone otrzymują z Brazylii akcje i inne papiery wartościowe. A co to znaczy? To znaczy, że Stany Zjednoczone będą właścicielami kolei brazylijskich, fabryk, kopalń i ziemi. A to co oznacza?

Kowalt namyślał się długo, wreszcie potrząsnął głową.

— Powiem panom — ciągnął dalej Ernest. — Oznacza to, że gospodarka Brazylii będzie się rozwijać. I wobec tego przejdziemy do następnego punktu. Kiedy Brazylia pod działaniem ustroju kapitalistycznego rozwinie swą gospodarkę, sama będzie miała nie zużytą nadwyżkę. Czy będzie mogła ją sprzedać Stanom Zjednoczonym? Nie, bo Stany Zjednoczone same mają nadwyżkę. Czy Stany Zjednoczone będą mogły robić to, co robiły dotąd: sprzedawać swoją nadwyżkę Brazylii? Nie, bo Brazylia też będzie już miała nadwyżkę.

Cóż więc się stanie? I Stany Zjednoczone, i Brazylia będą musiały szukać jakichś innych krajów o gospodarce nie rozwiniętej, aby móc tam wyzbywać się swoich nadwyżek. Ale wskutek tego gospodarka tych krajów prędzej czy później także się rozwinie. Niebawem i one będą miały nadwyżki i będą szukać dla tych nadwyżek odbiorców. A teraz, panowie, zwróćcie uwagę, że nasza planeta jest stosunkowo niewielka. I stosunkowo niewiele jest krajów na świecie. Co będzie, kiedy już wszystkie kraje świata, aż do ostatniego i najmniejszego, będą miały nadwyżki i nie będą już miały komu tych nadwyżek podrzucić?

Przerwał i spojrzął na słuchaczy. Ich zakłopotanie było urocze. Kryło się pod nim przerażenie. Z pojęć oderwanych Ernest wykuł wizję i sprawił, że ją ujrzeli. Ujrzeli i ogarnęła ich trwoga.

— Zaczęliśmy od abecadła, panie Calvin — rzekł Ernest przebiegle — a teraz przeczytałem wam resztę elementarza. Jak widzicie, jest bardzo prosty i to w nim jest wspaniałe. Na pewno już wam samym nasuwa się odpowiedź. Co nastąpi, kiedy każdy kraj świata będzie miał nie zużytą nadwyżkę? Co stanie się z waszym kapitalistycznym ustrojem?

Lecz Calvin potrząsał tylko głową. Najwyraźniej cofał się myślą wstecz, by znaleźć jakiś błąd w rozumowaniu Ernesta.

— Pozwólcie, panowie, że powtórzę w krótkości to, co mówiłem — rzekł Ernest. — Zaczęliśmy od określonej gałęzi przemysłu, od fabryki obuwia. Stwierdziliśmy, że podział wytworzonych dóbr podobny jest tam do podziału wszystkich dóbr w całym przemyśle. Stwierdziliśmy, że świat pracy może za swe zarobki kupić tylko ograniczoną ilość produktów, a kapitał nie zużywa ich reszty. Stwierdziliśmy dalej, że gdy świat pracy wyda swe wszystkie zarobki i spożyje wszystko, co za nie kupił, a kapitał ze swej strony spożyje tyle, ile sobie życzy, pozostanie jeszcze nie zużyta nadwyżka. Zgodziliśmy się, że tej nadwyżki wyzbyć się można tylko sprzedając ją zagranicą. Zgodziliśmy się

również, że wynikiem takiego przekazywania nadwyżki innemu krajowi jest stopniowy rozwój gospodarki takiego kraju, który sam wskutek tego będzie miał wkrótce nie zużytą nadwyżkę. Objęliśmy tym procesem wszystkie kraje na świecie i doszliśmy do tego, że w końcu każdy kraj wytwarzać będzie co roku i co dnia nadwyżkę, której jednak nie będzie już mógł sprzedać nikomu. A teraz powtórzę raz jeszcze moje pytanie: co zrobić z tymi wszystkimi nadwyżkami?

Nikt nie odpowiedział.

— A co sądzi pan Calvin?

— Sam nie wiem.

— Nigdy coś podobnego nie przychodziło mi nawet do głowy — rzekł Asmumsen. — A jednak to wydaje się jasne jak słońce.

Po raz pierwszy słuchałam wtedy objaśnienia nauki Karola Marksa o wartości dodatkowej. A Ernest uczynił to w sposób tak prosty, że i ja siedziałam nieruchomo, przybita i oszołomiona.

— Wskażę wam sposób wyzbycia się nadwyżki — rzekł Ernest. — Można ją wrzucić do morza. Można co roku zatopić w morzu pszenicę, buty, ubranie i inne towary wartości setek milionów. Czy to nie załatwi sprawy?

— Z pewnością załatwi — odparł Calvin. — Ale to nie ma sensu, więc po co pan to mówi?

Ernest runął na niego jak piorun,

— A czy jest więcej sensu w pańskim żądaniu, panie burzycielu maszyn, żeby wrócić do przedpotopowych metod pańskich przodków? Jakiż proponuje pan sposób wyzbycia się nadwyżki? Pań chciałby ominąć tę sprawę i w ogóle nie wytwarzać żadnej nadwyżki. A jak pan chce uniknąć wytwarzania nadwyżki? Przez powrót do pierwotnych sposobów produkcji, tak zawiłych, beładnych i nieracjonalnych, połączonych z takimi kosztami i marnotrawstwem, że nie da się uzyskać żadnej nadwyżki.

Calvin otworzył usta, lecz milczał. Cios dobrze był wymierzony. Odchrząknął i otworzył usta ponownie.

— Ma pan rację — powiedział. — Przekonał mnie pan. To, co mówiłem, nie miało sensu. Ale musimy przecież coś zrobić. To sprawa życia lub śmierci dla nas, klasy średniej. Nie chcemy ginąć. Z dwojga złego wolimy rzecz bez sensu, wolimy powrót do prymitywnych i marnotrawnych metod naszych ojców. Wolimy cofnąć przemysł do tego stanu, kiedy nie było trustów, wolimy zniszczyć maszyny. A co pan by zrobił?

— Rzecz w tym, że maszyn nie możecie zniszczyć — odparł Ernest. — Nie możecie cofnąć wstecz biegu ewolucji. Dwie wielkie siły stoją naprzeciw was, a każda z nich potężniejsza jest od waszej klasy średniej. Wielcy kapitaliści, czyli krótko mówiąc trusty, nie pozwolą wam cofnąć nurtu. Nie życzą sobie zniszczenia maszyn. A jeszcze potężniejsza od trustów, jeszcze większa jest siła ludzi pracy. Nie pozwoli wam na niszczenie maszyn. Walka o panowanie nad światem i maszynami rozgrywa się między trustami i ludźmi pracy. Oto gdzie przebiega front bitwy. Ale żadna ze stron nie chce zniszczenia maszyn, każda chce je posiadać. W tej walce nie ma miejsca na klasę średnią. Klasa średnia to mały karzełek między dwoma wielkoludami. Czyż nie widzicie wy, przedstawiciele biednej, ginącej klasy średniej, że znajdujecie się między górnym i dolnym kamieniem młyńskim, a przemiał już się rozpoczął?

Matematycznie dowiodłem wam nieuchronności upadku ustroju kapitalistycznego. Gdy każdy kraj będzie miał w rękę nie dającą się ani spożyć, ani sprzedać nadwyżkę, ustrój kapitalistyczny załamie się pod naporem straszliwego systemu zysków, jaki sam wytworzył. Ale tego dnia nie będzie żadnego burzenia maszyn. Walka będzie się toczyć o ich posiadanie. Jeśli zwycięży świat pracy — wasz los będzie łatwy. Stany Zjednoczone, a wraz z nimi i cała kula ziemską wkroczą w nową, wspaniałą erę.

Maszyny nie będą już miażdżyć życia, uczynią je lepszym, szczęśliwszym, szlachetniejszym. Wasza klasa średnia, zniszczona przez kapitalizm, pójdzie razem ze światem pracy — nie będzie podówczas nikogo poza ludźmi pracy. Tak więc i wy, i oni będziecie uczestniczyć w sprawiedliwym podziale dóbr wytworzonych przez cudowne maszyny. I wszyscy razem będziemy budować nowe maszyny, jeszcze cudowniejsze. I nie będzie już żadnej nie zużytej nadwyżki, gdyż nie będzie żadnych zysków.

— A jeśli w tej bitwie o panowanie nad maszynami i światem zwyciężą jednak trusty? — zapytał Kowalt.

— Wtedy — odrzekł Ernest — i wy, i robotnicy, i w ogóle wszyscy będziemy zmiażdżeni przez żelazną stopę despotyzmu tak bezwzględnej i okrutnej, jakiego nie znały dotąd najczarniejsze nawet karty dziejów człowieka. I te słowa wydają się nawet odpowiednią nazwą dla tego despotyzmu: Żelazna Stopa .

Zapadło długie milczenie. Wszyscy pogrzeżyli się w smutnych rozmyślaniach.

— Ale ten pański socjalizm jest tylko marzeniem — rzekł Calvin. Po czym raz jeszcze powtórzył: — Marzeniem.

— Pokażę panu coś, co wcale nie jest marzeniem — odparł Ernest. — I będę nazywać to oligarchią. Pan używa słowa „plutokracja”, ale obydwaj mamy to samo na myśli: wielkich kapitalistów i trusty. Zastanówmy się, w czyim ręku jest dziś władza. A w tym celu rozważmy przedtem podział społeczeństwa na klasy.

Są trzy wielkie klasy społeczne. Najpierw plutokracja, złożona z bogatych bankierów, magnatów kolejowych, właścicieli koncernów i dyrektorów trustów. Po wtóre klasa średnia, wasza klasa, panowie, złożona z farmerów, kupców, drobnych przemysłowców i ludzi wolnych zawodów. A wreszcie moja klasa, proletariat, złożony z robotników .

Nikt z was nie zaprzeczy chyba, że źródłem władzy jest dzisiaj w Stanach Zjednoczonych bogactwo. Jakże więc to bogactwo podzielone jest między trzy klasy społeczne? Oto co mówią liczby. Do plutokracji należy sześćdziesiąt siedem miliardów majątku narodowego. Z ogólnej liczby osób zatrudnionych przy produkcji dóbr w Stanach Zjednoczonych ledwie dziewięć dziesiątych procentu przypada na plutokrację, która jednak jest właścicielką siedemdziesięciu procent ogólnej wartości dóbr. Do klasy średniej należy majątek wartości dwudziestu czterech miliardów. Dwadzieścia dziewięć procent zatrudnionych w produkcji przypada na tę klasę, która jest właścicielką majątku narodowego w dwudziestu pięciu procentach. Zostaje proletariat. Należy do niego majątek wartości czterech miliardów. Ze wszystkich zatrudnionych siedemdziesiąt procent przypada na proletariat. A tenże proletariat jest właścicielem zaledwie czterech procent ogólnej wartości dóbr. W czyim więc ręku leży potęga i władza, panowie?

— Z pańskich liczb wynika, że my, klasa średnia, stanowimy większą potęgę niż robotnicy — zauważył Asmunsen.

— Wskazywanie na naszą słabość nie czyni was silniejszymi w obliczu plutokracji — odparł Ernest. — A poza tym, jeszcze nie skończyłem. Istnieje źródło siły większe niż bogactwo, a większe dlatego, że nie można go odebrać. Nasza siła, siła proletariatu, zawiera się w naszych mięśniach, w naszych rękach wrzucających kartki wyborcze, w naszych palcach naciskających cyngiel. Tej siły nie można nas pozbawić.

Jest to siła pierwotna, związana z samym życiem, silniejsza od bogactw, i żadne bogactwa nie mogą jej odebrać.

Wasza zaś siła jest siłą ruchomą. Może być wam odejta. I nawet teraz odejmuje ją wam plutokracja. W końcu odbierze wam całą waszą siłę, a wtedy przestaniecie być klasą średnią. Zejdziecie wtedy do nas, staniecie się proletariuszami. Piękną stroną tego procesu jest fakt, że dzięki

wam powiększy się nasza siła. Powitamy was jako braci i walczyć będziemy ramię przy ramieniu we wspólnej sprawie ludzkości.

Jak widzicie, robotnik nie posiada nic, co można by mu złupić. Jego udział w bogactwie kraju sprowadza się do odzienia i sprzętów domowych, a z rzadka tylko znajdzie się w jego ręku jakiś nie zadłużony domek. Wy natomiast macie określony majątek wartości dwudziestu czterech miliardów i plutokracja wam to wszystko zabierze. Rzecz jasna, istnieje także znaczne prawdopodobieństwo, że proletariats zabierze to wcześniej. Czy rozumiecie teraz swoje położenie, panowie? Klasa średnia to nieporadne jagnię między lwem i tygrysem. Musicie stać się pastwą jednego albo drugiego. Może zniszczy was najpierw plutokracja. Ale i wówczas będzie już jedynie kwestią czasu, kiedy proletariats zniszczy plutokrację.

Lecz nawet wasze obecne bogactwo nie jest prawdziwą miarą waszej siły. Potęga waszego bogactwa jest w tej chwili pustą skorupą. Dlatego właśnie wznosicie swój słabiutki okrzyk bojowy: „Wróćmy do metod naszych ojców”. Świadomi jesteście własnej bezsily, świadomi zupełnej pustki waszej pozornej potęgi. Tę pustkę wam zaraz wykażę. Jaka jest siła farmerów? Ponad połowa z nich jest niewolnikami obdłużonych albo też dzierżawionych spłachetków ziemi. A wszyscy są niewolnikami wobec faktu, że trusty pośrednio lub bezpośrednio (co na jedno wychodzi) mają w ręku drogi i środka zbytu produktów rolnych: chłodnie, elewatory, linie kolejowe i okrętowe. A ponadto w ręku trustów są rynki zbytu. Farmerzy są tu zupełnie bezsilni. Co zaś do ich wpływów na rząd i politykę, omówię to nieco później łącznie ze sprawą wpływu całej klasy średniej na rząd i politykę.

Dzień po dniu trusty wypierają farmerów z ziemi, jak wyparły pana Calvina i innych właścicieli gospodarstw mlecznych. Dzień po dniu w podobny sposób trusty wpędzają kupców w bankructwo. Czy pamiętacie, jak w ciągu sześciu miesięcy trust tytoniowy spowodował bankructwo ponad czterystu sklepów tytoniowych w samym Nowym Jorku? Jaki los spotkał dawnych właścicieli kopalń węgla? I beze mnie wiecie doskonale, że trust kolejowy jest właścicielem czy pośrednio ma w ręku wszystkie antracytowe i bitumiczne złoża węgla. A czy trust naftowy, Standard Oil, nie jest właścicielem szeregu oceanicznych linii okrętowych? Czy nie ma w swym ręku także wszystkich niemal kopalni miedzi, nie mówiąc już o truście odlewniczym jako o drobnym ubocznym przedsięwzięciu. Dziesięć tysięcy miast w Stanach Zjednoczonych oświetlają dzisiaj gazownie i elektrownie, które są w posiadaniu lub pod kontrolą Standard Oil. I w tyluż miastach wszystkie tramwaje i kolejki elektryczne — miejskie, podmiejskie i międzymiastowe — są tak samo w ręku Standard Oil. Znikli całkowicie pomniejsi kapitaliści, którzy byli właścicielami tych niezliczonych przedsiębiorstw. Wiecie o tym dobrze. Tą samą drogą bowiem i wy idziecie.

Drobny przemysłowiec podzielił los farmera; to znaczy, że podobnie jak farmer stał się po prostu małym wasalem trustów. A wreszcie artyści i ludzie tak zwanych wolnych zawodów są, pominawszy tytuł, pacholkami, a politycy zbirami plutokracji. Dlaczego pan, panie Calvin, trudzi się po całych dniach i nocach nad zorganizowaniem farmerów i reszty klasy średniej w nową partię polityczną? Dlatego, że politycy dawnych partii nie chcą mieć nic wspólnego z pańskimi atawistycznymi pomysłami. A nie chcą z tym mieć nic wspólnego, bo jak powiedziałem, są zbirami, najemnikami plutokracji.

Mówiłem, że artyści i przedstawiciele wolnych zawodów są pacholkami. Bo jak inaczej ich nazwać? Profesorowie, duchowni, redaktorzy pism, wszyscy razem i każdy z osobna, siedzą na swoich posadach, bo wysługują się plutokracji. Ich zajęcie polega na szerzeniu tylko takich idei, które albo są nieszkodliwe, albo też pożyteczne dla plutokracji. Ilekroć próbują głosić ideę, która plutokracji zagraża, natychmiast tracą posadę. A wówczas, jeśli nie zabezpieczyli się na czarną godzinę, schodzą w szeregi proletariatu i albo giną, albo stają się agitatorami klasy robotniczej. A

nie zapominajcie, że to właśnie prasa, ambona i katedra uniwersytecka kształtuje opinię publiczną, wyznacza bieg myśli narodu. Go zaś do artystów, ci służą jedynie zaspokajaniu ohydnych na ogół gustów plutokracji.

Mimo to bogactwo samo w sobie nie jest jeszcze właściwą potęgą. Jest środkiem zdobycia potęgi, którą daje dopiero władza. Któż zaś jest dzisiaj u władzy? Czy proletariats ze swymi dwudziestu milionami zatrudnionych? Nawet i wam ta myśl wydaje się śmieszna. Czy może klasa średnia, z ośmiu milionami zatrudnionych jej członków? Nie bardziej niż proletariats. Kto zatem ma w rękę władzę? Plutokracja ze swą ćwierćmilionową garstką zatrudnionych. Ale nawet i te ćwierć miliona nie ma w swym rękę rządu, choć stanowi jego podporę. Władzę nad rządem sprawuje sam rdzeń plutokracji, jej mózg, który się składa z siedmiu małych, ale potężnych grup ludzi. A należy pamiętać, że grupy te współdziałają dzisiaj ze sobą nieomal jednomyślnie.

Pozwolę sobie tu wskazać na rozmiary potęgi jednej tylko z tych grup, grupy kolejowej. Zatrudnia ona czterdzieści tysięcy prawników, którzy czuwają nad tym, by nikt nie wygrał przeciw niej sprawy w sądzie. Sędziom, bankierom, redaktorom, duchownym, profesorom i członkom ciał ustawodawczych krajowych i stanowych grupa ta wydaje niezliczone bilety na wolne przejazdy. W stolicy państwa i w stolicy każdego stanu utrzymuje specjalne a przebogie biura interwentów. A we wszystkich miastach, wielkich i małych, zatrudnia całą chmurę kauzyperdów i drobnych polityków, których zadaniem jest pilnować wyborów, obsadzać swoimi ludźmi zjazdy przedwyborcze, wpływać na ławy przysięgłych, przekupywać sędziów i w ogóle na wszelki sposób strzec jej interesów.

Tak wygląda, panowie, w ogólnych tylko zarysach potęga jednej z tych siedmiu grup, które stanowią mózg plutokracji. I wasze dwadzieścia cztery miliardy nie dają wam w tych warunkach nawet za grosz udziału we władzy. Macie w rękę pustą skorupę, a i ta wkrótce będzie wam odebrana. Plutokracja ma dzisiaj pełnię władzy. Stanowi prawa, bo do niej należą i Senat, i Kongres, i sądy, i ciała prawodawcze poszczególnych stanów. Ale to nie wszystko. Za prawem musi stać siła, by je wprowadzać w życie. Plutokracja stanowi prawa, a dla wprowadzania ich w życie ma na zawołanie policję, armię i flotę. A wreszcie ma także milicję, to znaczy was i mnie, i każdego.

Po tych słowach nie było już prawie żadnej wymiany zdań i obiad wkrótce się zakończył. Wszyscy byli skupieni, przybici i pożegnania odbywały się niemal szeptem. Wszyscy zdawali się jakby porażeni wizją nadchodzących czasów.

— Sytuacja jest rzeczywiście poważna — odezwał się do Ernesta Calvin. — Na ogół podzielam prawie zupełnie pańskie na nią poglądy. Nie zgadzam się tylko z twierdzeniem, że klasa średnia skazana jest na zagładę. Ocalejemy, a nawet obalimy trusty.

— A wtedy wrócą czasy praorców — dokończył za niego Ernest.

— Tak jest — odparł z powagą Calvin. — Wiem, że to pachnie niszczeniem maszyn i przez to nie ma sensu. Ale życie samo wydaje się dziś bez sensu, zwłaszcza gdy się pomyśli o podstępach plutokracji. A poza tym nasze niszczenie maszyn jest, w przeciwieństwie do pańskich marzeń, przynajmniej możliwe i wykonalne. Pana marzenie socjalistyczne jest przecież jedynie... marzeniem. Dlatego nie możemy pójść z panem.

— Żałuję tylko, panowie, że nie znacie się trochę lepiej na ewolucji i socjologii — rzekł ze smutkiem Ernest ściskając mu dłoń. — Wielu kłopotów można by wówczas uniknąć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ORKAN

Jak uderzenia piorunu jedno po drugim zaczęły po opisanym wieczorze walić w nas wydarzenia na miarę olbrzymów. I ja, która pędziłam tak spokojne dni w tym cichym uniwersyteckim mieście, zostałam naraz wciągnięta, razem z moją nikłą osobą i mymi osobistymi sprawami, w samo jądro wszechświatowego orkanu. Trudno mi powiedzieć, czy miłość dla Ernesta zrobiła mnie rewolucjonistką, czy też sprawiło to dokładne, dzięki jego naukom, przyjrzenie się społeczności, wśród której żyłam. Dość, że byłam odtąd rewolucjonistką i znalazłam się nagle w wirze wypadków, których jeszcze przed paru miesiącami nie umiałabym sobie nawet wyobrazić.

Przełom w mych osobistych losach nastąpił jednocześnie z wielkim przełomem w całym społeczeństwie. Zaczęło się od tego, że ojca usunięto z uniwersytetu. Formalnie biorąc nikt go nie usuwał. Ale zażądano po prostu jego ustąpienia. Sama dymisja była wypadkiem błahym i tylko ojca rozradowała. Był szczególnie zadowolony z tego, że dymisję spowodowało wydanie jego książki „Ekonomika i wychowanie”. Ojciec uważał, że to wzmacniało jeszcze jego argumentację. Czyż można było lepiej udowodnić twierdzenie, że wychowaniem rządziła klasa kapitalistyczna?

Rzecz w tym, że dowód nie dotarł do nikogo. Nikt nie wiedział, że ojca zmuszono do dymisji. Był tak wybitnym uczonym, że tego rodzaju wiadomość, połączona z ogłoszeniem przyczyn wymuszonej na nim dymisji, musiałaby wywołać w całym świecie ogromne wzburzenie. Zamiast tego gazety obsypały go wyrazami uznania, chwając, że zrezygnował z harówki wykładów, aby poświęcić się całkowicie badaniom naukowym.

Z początku ojciec śmiał się z tego. Następnie popadł w gniew — swój pobudzający gniew. A wtedy przyszła konfiskata książki. Książka znikła z rynku, a stało się to w zupełnej tajemnicy, tak zupełnej, że w pierwszej chwili wcale się w tym nie połapaliśmy. Od razu po wydaniu książka spowodowała w kraju pewne poruszenie. Prasa kapitalistyczna zaatakowała ojca, co prawda w bardzo uprzejmej formie. Ataki miały z reguły formę ubolewania, że tak wybitny uczony porzucił swoją dziedzinę i wkroczył w sferę zagadnień socjologii, o których nie miał pojęcia i wśród których bardzo szybko się zgubił. Napaści w tym stylu trwały przez jakiś tydzień. Ojciec pokpiwał z nich i mówił, że książka trafiła kapitalizm w bolesne miejsce. Wówczas jednak, zupełnie nagle, gazety i pisma fachowe przestały w ogóle o książce wspominać. Jednocześnie zaś, i w równie nagły sposób, książka znikła z księgarni. Nigdzie nie podobna było dostać choćby jednego egzemplarza. Ojciec zwrócił się do wydawców, którzy powiadomili go, że matryce zostały przypadkiem uszkodzone. Wywiązała się z tego przewlekła i bezowocna korespondencja. Wreszcie przyparci do muru wydawcy oświadczyli, że nie widzą możliwości ponownego drukowania książki, ale że chętnie wyrzekną się praw do niej.

— A pan — powiedział Ernest — nie znajdzie w kraju ani jednego wydawcy, który zechce jej dotknąć. I na pana miejscu dałbym spokój dalszemu wywoływaniu wilka z lasu. Miał pan zaledwie przedsmak Żelaznej Stopy.

Lecz ojciec był prawdziwym uczonym. Nie uznawał przedwczesnych wniosków. Doświadczenie nie było dla niego doświadczeniem naukowym, jeśli nie zostało przeprowadzone do końca w najdrobniejszych szczegółach. Toteż cierpliwie odbył wędrowkę po wszystkich znanych sobie wydawcach. Każdy z nich tłumaczył się na swój sposób, ale w rezultacie nikt nie chciał podjąć się

wydania książki.

Kiedy ojciec nabrał zupełnej pewności, że książka znalazła się na indeksie, spróbował rozgłosić ten fakt w prasie. Ta jednak zignorowała wszystkie jego oświadczenia i listy. W tym czasie odbyć się miało polityczne zebranie socjalistów w obecności licznych reporterów. Ojciec postanowił z tego skorzystać. Zabrał głos i opowiedział historię utracenia jego książki. Nazajutrz roześmiany zabrał się do czytania dzienników. Ale śmiech przemienił się wkrótce w atak gniewu, i to gniewu wcale nie pobudzającego. W gazetach nie było ani słowa o książce, natomiast przemówienie ojca sfalszowano w sposób zdumiewający. Poszczególne słowa i zdania przestawiono i zniekształcono tak, że jego umiarkowane i spokojne uwagi przybrały kształt dzikiego anarchistycznego wystąpienia. Zabieg był prawdziwie mistrzowski. Zapamiętałam jeden zwłaszcza fragment. Ojciec użył zwrotu „przewrót społeczny”. Reporter zaś wypuścił tylko wyraz „społeczny”. Spreparowany tekst rozesłano po całym kraju w depeszach agencyjnych; Wywołał powszechny krzyk oburzenia. Ojca piętnowano jako nihilistę i anarchistę, a w jednej z najczęściej reprodukowanych karykatur przedstawiono go z czerwoną chorągwią w ręku na czele tłumu długowłosych bestii ludzkich dźwigających pochodnie, noże i bomby.

W licznych artykułach wstępnych atakowano go wprost bezprzykładnie, zarzucając anarchizm i dając do zrozumienia, że mu się pomieszało w głowie. Ernest powiedział nam, że takie zachowanie się prasy kapitalistycznej nie jest niczym nowym. — Ma ona w zwyczaju — mówił — posyłać reporterów na wszelkie zebrania socjalistów z wyraźnym zadaniem fałszowania przebiegu obrad i zniekształcania treści przemówień, aby zastraszyć klasę średnią i zapobiec wszelkiej możliwości łączenia się jej z proletariatem. — Przy tej okazji Ernest raz jeszcze ostrzegł ojca, by lepiej zaprzestał walki i poszukał bezpiecznego schronienia.

Walkę jednak podjęła prasa socjalistyczna kraju. Tą drogą czytający odłam klasy robotniczej dowiedział się o losach książki ojca. Lecz oczywiście wiadomość ta nie przeniknęła do innych klas społeczeństwa. Wkrótce potem socjalistyczny instytut wydawniczy pod nazwą „Apel do Rozumu” zaproponował ojcu wydanie książki. Ojciec był zachwycony, natomiast Ernest bardzo się tym zaniepokoił.

— Powtarzam — mówił z naciskiem — że znaleźliśmy się na skraju niewiadomego. Wielkie rzeczy dzieją się wokół nas w zupełnej tajemnicy. Możemy je tylko wyczuć. Nie znamy ich istoty, ale już się dzieją. Drży od nich cała budowa społeczna. Proszę nie wymagać, abym je określił, bo i dla mnie są tajemnicą. Ale z tego rozżarzonego społecznego tygla coś niebawem musi się wytopić. Ten proces już się odbywa. Wycofanie książki jeszcze go przyspieszyło. A zresztą, czy tylko ta jedna książka została wycofana? Może ich było więcej — nie mamy o tym pojęcia. Dokoła nas panują zupełne ciemności i nie umiemy ich przeniknąć. Spodziewać się trzeba, że w najbliższym czasie prasa socjalistyczna zostanie zawieszona i nasze wydawnictwa zamknięte. Bardzo się tego obawiam. Zdławia nas.

Ernest miał świetne wyczucie tego, co się dzieje, lepsze nawet niż reszta socjalistów. Już po dwóch dniach padły pierwsze ciosy. Pod nazwą „Apel do Rozumu” wychodził tygodnik w nakładzie siedmuset pięćdziesięciu tysięcy, rozkupywany przez proletariat. Tygodnik miał częste wydania specjalne w nakładach od dwu do pięciu milionów. Koszty druku tych olbrzymich nakładów ponosiła niewielka armia ochotników zgromadzonych wokół „Apelu”. Oni też zajmowali się ich wysyłką. Pierwszy cios wymierzono właśnie wydaniom specjalnym, a był to cios miażdżący. Samowolną decyzją urzędu pocztowego uznano, że nie są to numery tego samego pisma, i na tej podstawie odmówiono im prawa wysyłki pocztowej.

Po tygodniu Ministerstwo Poczty orzekło, że pismo jest wywrotowe, i wyłączyło je w ogóle z

obrotu pocztowego. Dla propagandy socjalistycznej był to cios straszny. W „Apelu” zapanowała rozpacz. Wypracowano plan dostarczania pisma prenumeratorom za pośrednictwem biur przewozowych, te jednak odmówiły rozprowadzania przesyłek. Oznaczało to koniec „Apelu”, chociaż niezupełny. Zamierzano prowadzić dalej dział wydawnictw książkowych. Dwadzieścia tysięcy egzemplarzy książki ojca było już w intrologatorni, a prasy drukowały resztę nakładu. Wtedy to pewnego wieczoru zgromadził się niespodzianie tłum, który niosąc flagi amerykańskie i śpiewając patriotyczne pieśni otoczył wielki gmach wydawnictwa, podpalił go i zniszczył całkowicie.

A przecież Girard w stanie Kansas było cichym i spokojnym miasteczkiem. Nie notowano tam nigdy żadnych wystąpień robotniczych. „Apel” płacił stawki związkowe i był najważniejszym zakładem miasteczka, gdyż zatrudniał setki pracowników. Ale tłum, który napadł na zakłady „Apelu”, nie składał się z obywateli Girard. Wyrósł jakby spod ziemi i po dokonaniu dzieła zniszczenia z powrotem zapadł się pod ziemię. Ernest w całej tej sprawie upatrywał zapowiedź najbardziej złowieszczych wydarzeń.

— W Stanach Zjednoczonych powstaje Czarna Sotnia — powiedział. — Widzieliśmy początek. Będzie więcej takich objawów. Żelazna Stopa staje się coraz bardziej zuchwałą.

W taki sposób zginęła książka ojca. Z każdym dniem Czarna Sotnia dawała się coraz bardziej we znaki. Co tygodnia któreś socjalistycznej gazecie odmawiano debitu pocztowego i prawie za każdym razem Czarna Sotnia niszczyła lokal i drukarnię pisma. Nie trzeba dodawać, że prasa ogólna wysługiwała się reakcyjnej polityce klasy rządzącej oczerniając zniszczone gazety socjalistyczne, a z Czarnej Sotni robiąc wielkich patriotów i zbawców społeczeństwa. Fałsze te były szerzone w sposób tak przekonywający, że nawet uczciwi duchowni wychwalali Czarną Sotnię z ambony i ubolewali tylko nad koniecznością stosowania gwałtu.

Koła historii obracały się coraz prędzej. Zbliżał się termin wyborów jesiennych. Ernest kandydował do Kongresu z ramienia partii socjalistycznej. Miał wszelkie widoki, że zostanie wybrany. W San Francisco złamano strajk tramwajarzy, a wkrótce potem ten sam los spotkał furmanów. Dwie te klęski były katastrofą dla związków zawodowych. Furmanów popierała cała Federacja Robotników Portowych i sprzymierzone z nią związki budowlanych. Wszystkie te organizacje zostały haniebnie rozbite. Przebieg strajku był krwawy. Policja używała specjalnych pałek, rozbijając czaszki każdemu, kto się nawinął. Liczbę zabitych poważnie zwiększyły salwy z karabinów maszynowych ustawionych na dachu składów Kompanii Przewozowej Marsdena.

W wyniku tego wszystkiego ludzie stali się ponurzy i mściwi. Chcieli odwetu i krwi. Pobici na terenie strajkowym, gotowi byli mścić się za pomocą środków politycznych. Zdołali ocalić swoją organizację związkową, co dawało im siły w walce politycznej. Tak więc szanse wyborcze Ernesta rosły z każdym dniem. Coraz to nowe związki uchwały poparcie dla socjalistów. Doszło do tego, że któregoś dnia Ernest doniósł ze śmiechem o przystąpieniu zrzeszenia karawaniarzy i związku drobiarzy. Zjadłość robotników rosła. Tłoczyli się z niebywałym zapałem na wiece socjalistyczne, natomiast nie działały na nich żadne umizgi polityków z dawnych partii. Przedwyborcze zebrania tych polityków świeciły pustkami. Czasem jednak zdarzało się im przemawiać do pełnej sali. Ale wtedy słuchacze reagowali z taką gwałtownością, że raz po raz musiano wzywać rezerwy policyjne.

Koła historii obracały się coraz prędzej. Powietrze rozedrgane było tym, co się dzieje, i tym, co nadciąga. Kraj był w przededniu kryzysu, spowodowanego przez szereg lat pomyślnych, w ciągu których bezustannie wzrastały trudności sprzedaży za granicą nadwyżek nie spożytkowanych wewnątrz. Dzień pracy w przemyśle był coraz krótszy, wiele fabryk unieruchomiono do momentu pozbycia się nadwyżek, a płace obcinano na prawo i lewo.

W tym to okresie doszło do złamania wielkiego strajku mechaników. Dwieście tysięcy

mechaników oraz pół miliona sprzymierzonych z nimi związkowców w przemyśle metalurgicznym poniosło klęskę w najbardziej krwawym strajku, jaki kiedykolwiek przeorał Stany Zjednoczone. Rozgrywały się zaciekle bitwy z całymi oddziałami zbrojnych łamistrajków, zmobilizowanych przez stowarzyszenie fabrykantów. Bandy Czarnej Sotni szalały po całym kraju niszcząc wszystko, co wpadło im w ręce. Wykorzystano to, by rzucić do walki sto tysięcy żołnierzy armii regularnej i spowodować potworną likwidację strajku. Wielu przywódców robotniczych stracono na miejscu, wielu innych skazano na więzienie, podczas gdy tysiące strajkujących robotników spędzono do zagród dla bydła, gdzie zostali zmasakrowani przez wojsko.

Nadszedł czas zapłaty za lata dobrobytu. Rynki całego świata były przeładowane i załamywały się jeden po drugim. A wśród tej lawiny spadających cen cena pracy spadała najprędzej. Krajem wstrząsały zaburzenia przemysłowe. Robotnicy strajkowali na wszystkie strony, a tam gdzie nie było strajku, wyrzucali ich kapitaliści. Opowieści o gwałtach i rozlewie krwi przepełniały szpalty każdej gazety. A w tym wszystkim grały swoją ponurą rolę bandy Czarnej Sotni. Miały one rabować, podpalać i wywoływać zamieszki. Trzeba też przyznać, że zadanie to wypełniały dokładnie. Wobec wyczynów Czarnej Sotni powołano do akcji całą armię regularną. Miasta wyglądały jak warowne obozy, a do robotników strzelano jak do psów. Łamistrajków rekrutowano spośród olbrzymiej armii bezrobotnych. Gdy zaś robotnikom zrzeszonym w związkach udało się ich pokonać, zjawiało się wojsko i rozpędzało związkowców. Poza tym była przecież i milicja. Jak dotąd, nie zaszła jeszcze potrzeba wykorzystania tajnej ustawy o milicji. Czynna była jedynie milicja regularna i czynna była dosłownie wszędzie. Lecz w tych czasach zamieszek rząd zwiększył armię regularną powołując pod broń dalsze sto tysięcy żołnierzy.

Nigdy jeszcze świat pracy nie był przedmiotem tak wszechstronnego ataku. Oligarchowie, możnowładcy przemysłu po raz pierwszy rzucili wszystkie swoje siły w wyłom dokonany przez te zrzeszenia pracodawców, które pierwsze ruszyły do walki. Owe zrzeszenia, złożone prawie bez reszty z przedstawicieli klasy średniej, pod naciskiem rosnących trudności i załamujących się rynków wydały rozstrzygającą bitwę robotniczym związkom zawodowym, uzyskując w tej bitwie poparcie wielkich rekinów przemysłu. Wraz z nimi tworzyli wszechpotężny sojusz. Był to jednak sojusz lwa i jagnięcia, ó czym klasa średnia miała się wkrótce przekonać.

Świat pracy spłynął krwią i mimo rozpaczliwego oporu został zmiażdżony. Lecz jego klęska nie zakończyła kryzysu. Banki, które tworzyły jeden z głównych bastionów oligarchii, odmawiały nadal kredytu. Grupa Wall Street przekształciła giełdę w odmęt, w którym zapadały się w nicość wszystkie bogactwa kraju. A z tych gruzów i zgłiszcz wyrastać zaczął nowy kształt oligarchii, niewzruszonej, obojętnej, nieubłaganej. Niezmacona jej pewność siebie była czymś straszliwym. Dla przeprowadzenia swych planów korzystała nie tylko z własnej ogromnej potęgi, ale posługiwała się także całą finansową potęgą państwa.

Możnowładcy przemysłu uderzyli z kolei na klasę średnią. Szarpali i niszczyli te same zrzeszenia pracodawców, które pomogły im przedtem rozszarpać i zniszczyć świat pracy. Padała klasa średnia, drobni przedsiębiorcy i przemysłowcy, lecz trusty trwały niewzruszenie. Co więcej, były niezmiernie czynne. Siały wiatr, siały coraz większą wichurę, gdyż one jedne wiedziały, jak zebrać burzę, by przyniosła im zyski. I to jakie zyski! Gigantyczne! Trusty były dość silne, by wytrzymać podmuchy orkanu, który w znacznej mierze był ich własnym dziełem. I bezlitośnie grabiły rozbite szczątki pływające wszędzie dokoła nich. Wartość wszelkich dóbr, udziałów i obligacji niesłychanie zmalała i trusty pomnażały bez przerwy swój stan posiadania rozszerzając działalność na nowe dziedziny. A wszystko to odbywało się kosztem klasy średniej.

Tak latem 1912 klasa średnia znalazła się ostatecznie na łożu śmierci. Nawet Ernest zdumiony był

szybkością, z jaką to wszystko się stało. Potrząsał znacząco głową i o wyborach jesiennych mówił bez żadnej nadziei.

— Wszystko stracone — powtarzał. — Jesteśmy pobici. Żelazna Stopa nie pozwoli nam wygrać wyborów. Liczyłem na to, ale byłem w błędzie. Rację miał Wickson. Ograbią nas z reszty pozostawionych nam swobód. Żelazna Stopa deptać będzie po naszych karkach. Nie pozostaje nic prócz krwawej rewolucji klasy robotniczej. Zwyciężymy, rzecz jasna. Ale' drzę na samą myśl o tym.

Od tej pory Ernest wszystkie nadzieje związał z rewolucją. Pod tym względem wyprzedził swoją partię. Inni socjaliści nie chcieli się z nim zgodzić. Wciąż jeszcze byli przekonani o możliwości zwycięstwa w wyborach. Nie żeby potracili głowy.

Zbyt byli na to rozumni i odważni. Po prostu nie wierzyli przewidywaniom Ernesta, który nie mógł przepoić ich dostatecznym lękiem przed nadciągającymi rządami oligarchii. Zaniepokoił ich trochę, byli jednak zbyt dufni, zbyt pewni swej siły. Ponieważ ich teoria rozwoju społecznego nie przewidywała okresu oligarchii, zatem okres taki nie mógł nastąpić.

— Wyślemy cię do Kongresu i wszystko się dobrze ułoży — oświadczyli mu na jednym z poufnych posiedzeń.

— A jeśli tamci wyrzucą mnie z Kongresu — zapytał zimno Ernest — postawią pod ścianę i najzwyczajniej rozstrzelają? Co wtedy?

— Wtedy powstaniemy w całej naszej potędze — rozległy się zewsząd wołania.

— A tamci zatopią was w waszej własnej krwi — odparł. — Słyszałem już tę piosenkę: śpiewała ją klasa średnia. A co stało się z jej potęgą?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

WIELKA PRZYGODA

Wickson nie zwracał się do mojego ojca. Spotkali się przypadkiem na promie idącym do San Francisco. Tak więc przestroga, jakiej udzielił ojcu, nie była czymś zamierzonym. Gdyby nie przypadkowe spotkanie, nie byłoby żadnego ostrzeżenia. Co nie znaczy, by wynik mógł być odmienny. Ojciec był z rodu twardych i zuchwałych pielgrzymów z „Mayflower” i poddawał się zawsze nakazom swej gorącej krwi.

— Ernest ma rację — powiedział mi zaraz po powrocie. — Ernest jest w ogóle niezwykłym młodzieńcem i stanowczo wolę, żebyś wyszła za niego niż nawet za Rockefellera czy księcia Walii.

— Co się stało? — spytałam zaniepokojona.

— Oligarchia lada dzień ukręci nam karki — odparł — tobie i mnie. Wickson uprzedził mnie o tym zupełnie wyraźnie. Był zresztą bardzo uprzejmy... jak na oligarchę. Ofiarował się przywrócić mi profesurę. Jak ci się to podoba? Jakiś Wickson, brudny geszefciarz, ma władzę decydowania, czy będę, czy też nie będę wykładał na uniwersytecie. Nie dość na tym, zaofiarował mi jeszcze więcej: proponował, że zrobi mnie rektorem wielkiego instytutu nauk fizycznych, jaki teraz planują. Potrzebne im to, bo oligarchia musi znaleźć sposoby pozbycia się zgromadzonej nadwyżki.

„Pamięta pan — mówił Wickson — co powiedziałem temu socjalistycznemu wielbicielowi pańskiej córki? Powiedziałem mu, że postawimy stopę na karkach klasy robotniczej. I tak też będzie. Co zaś do pana — mam głęboki szacunek dla pańskiej wiedzy. Ale jeśli pan złączy swój los z losem klasy robotniczej — pomyśl pan wtedy o swoim karku; to wszystko”. Po czym odwrócił się i poszedł.

— To znaczy, że musimy pobrać się wcześniej, niż zamierzałaś — stwierdził Ernest, kiedy powtórzyliśmy mu tę rozmowę.

Nie mogłam wtedy odgadnąć, co miał na myśli. Wkrótce jednak się dowiedziałam. W tym właśnie czasie wypłacano kwartalną dywidendę z Zakładów Sierra. Ściśle mówiąc — miano wypłacić, bo ojciec jej nie otrzymał. Czekał na próżno kilka dni, wreszcie napisał do sekretarza Zakładów. Odwrotną pocztą nadeszła odpowiedź, że w księgach nie ma żadnej wzmianki, by ojciec był udziałowcem, więc sekretariat prosi o bliższe wskazówki.

— Będzie je miał, i to z bardzo bliska — powiedział ojciec i poszedł do banku wyjąć akcje Zakładów Sierra ze schowka.

— Ernest jest naprawdę niezwykłym człowiekiem — odezwał się po powrocie, gdy pomagałam mu zdjąć płaszcz. — Powtarzam ci, moje dziecko, że ten twój młodzieniec jest doprawdy niezwykły.

Patrzyłam na niego w oczekiwaniu jakiejś nowej kłębki: ilekroć tak chwalił Ernesta, zwiastowało to katastrofę.

— Już nam stanęli na karku — wyjaśnił. — Nie mamy żadnych akcji. Schowek jest pusty. Będziecie musieli pobrać się jak najprędzej.

Ojciec jak zwykle zastosował swe naukowe, doświadczalne metody. Wytoczył Zakładom Sierra proces sądowy. Ale nie mógł ich zmusić do przedłożenia sądowi ksiąg. Nie on miał władzę nad sądem, ale Zakłady Sierra. To rozstrzygało o wszystkim. Przegrał sprawę i jawny rabunek został zalegalizowany.

Śmiech mnie po prostu ogarnia, gdy myślę teraz o tym, jak ojciec przegrał sprawę. W San Francisco spotkał przypadkiem na ulicy Wicksona i powiedział mu, że jest skończonym łajdakiem. W

rezultacie ojca aresztowano za napaść, skazano na grzywnę i ostrzeżono, by „nie zakłócał spokoju”. Było to tak zupełnie pozbawione sensu, że ojciec sam musiał śmiać się, kiedy wrócił do domu. Ale co za burza rozpętała się w całej prasie miejscowej i Pisano z wielką powagą, że zarazek gwałtu udziela się każdemu, kto przystępuje do socjalistów. A ojciec wymieniony był jako jaskrawy przykład działania tej infekcji u człowieka, który miał przecież za sobą długie i spokojne życie. Ponadto kilka gazet wyraziło pogląd, że umysł ojca osłabł wskutek zbytniego wysiłku w pracy naukowej. Proponowano więc umieszczenie go w zakładzie dla obłąkanych. A nie były to czcze pogrozki, lecz rzeczywista groźba. Ojciec jednak szybko zorientował się w sytuacji. Miał w pamięci przejścia biskupa i lekcji tej nie zapomniał. Zachowywał więc absolutny spokój bez względu na krzywdy, jakie go spotykały. Tak dalece, że zdziwił, jak sądzę, nawet swych wrogów.

Z miejsca wynikła sprawa naszego domu, domu, w którym tak długo mieszkaliśmy. Kazano ojcu niezwłocznie spłacić dług hipoteczny, a że nie miał pieniędzy, musieliśmy oddać posiadłość. Oczywiście ani teraz, ani poprzednio nie było żadnych długów na hipotece. Ojciec kupił parcelę za gotówkę, a budowniczemu płacił w miarę roboty. Potem zaś nie zaciągał już żadnych długów ani na ziemię, ani na budynek. Mimo to okazało się w hipotece, że dług taki istnieje, wpisany i podpisany według wszelkich przepisów. Były nawet odnotowane wpłaty procentów przez wiele lat. Ojciec nie kwestionował niczego. Jak przedtem ograbiono go z pieniędzy, tak obecnie zrabowano mu dom. I nie mógł odwołać się do nikogo. Cały mechanizm społeczny znajdował się w ręku tych, którzy postanowili go złamać. Ojciec w głębi serca był filozofem, więc nawet się już nie gniewał.

— Skoro koniecznie mam być złamany — rzekł do mnie — muszę się postarać, żeby to złamanie było jak najmniejsze. Kości mam już stare, a więc dosyć kruche, ale wiem, co mam robić. Bóg mi świadkiem, że wcale nie pragnę spędzić reszty mych dni w domu obłąkanych.

Przywodzi mi to na myśl biskupa Morehouse, o którym od dłuższego czasu wcale nie wspominałam. Najpierw jednak chciałabym napisać o moim małżeństwie. Wiem, że w obliczu tych wydarzeń zatracą one wszelkie znaczenie. Toteż poświęcę mu tylko krótką wzmiankę.

— Odtąd będziemy prawdziwymi proletariuszami — rzekł ojciec, kiedy wyrzucali nas z domu. — Zawsze zazdrościłem twojemu narzeczonemu jego rzeczywistej wiedzy o proletariacie. Teraz sam tę wiedzę nabędę.

Ojciec musiał już we krwi mieć skłonność do przygód i naszą katastrofę traktował po prostu jako przygodę. Nie żywił w sobie gniewu ani rozgoryczenia. Usposobienie miał zbyt filozoficzne i łagodne, by myśleć o zemście. A zanadto przebywał w świecie ducha, by odczuwać brak wygód, jakich trzeba było się wyrzec. Tak więc kiedy przenieśliśmy się do San Francisco i zajęliśmy cztery ohydne pokoje w nędznej dzielnicy na południe od Market Street — ojciec przyjął to wszystko z radością i zapałem dziecka. Ale łączył z tym jasność widzenia i przenikliwość naprawdę niezwykłego umysłu. Umysł jego nigdy właściwie nie skostniał, widział wszystko w rzeczywistym świetle. Zwyczajowe i umowne oceny rzeczy nie miały dla niego znaczenia. Cenił prawdziwie tylko fakty naukowe i matematyczne. Ojciec był istotnie wielkim człowiekiem. Miał umysł i duszę, jakie miewają tylko ludzie nieprzeciętni. Pod pewnymi względami przewyższał nawet Ernesta, choć nie znam nikogo większego niż Ernest.

Zmiana trybu życia także i mnie przyniosła pewną ulgę. Duże znaczenie miało już to, że nie dotykał mnie teraz zorganizowany ostracyzm, który w mieście uniwersyteckim ciążył coraz bardziej nad nami od czasu, gdy naraziliśmy się rosnącej oligarchii. A zmiana była i dla mnie przygodą, i to najdonioślejszą ze wszystkich: przygodą miłosną. Zwrot w naszym losie przyśpieszył mój ślub i w naszych czterech pokojach na Pell Street, wśród nędzy San Francisco, zamieszkałam już jako żona.

I to także mogę powiedzieć, że uczyniłam Ernesta szczęśliwym. Eto jego burzliwego życia

weszłam nie jako jeszcze jedna niepokojąca siła, lecz jako czynnik spokoju i wytchnienia. Przy mnie mógł odpocząć. I to stanowiło najwyższą nagrodę za moją miłość. Było też nieomylną oznaką, że nie popełniłam błędu. Dać chwilę zapomnienia czy wywołać błysk zadowolenia w tych jego biednych, zmęczonych oczach — czyż mogłam kiedykolwiek spodziewać się większej radości?

O drogie moje, znużone oczy! Ernest trudził się tak jak mało kto na świecie, a przy tym zawsze trudził się dla innych. To było jego miarą jako człowieka. Jego życie przepojone było miłością. Miłością dla człowieka, ale także i dla mnie. Był jakby wcieleniem nieugiętego ducha walki, ciało miał gladiatora, a serce orła. Ale jednocześnie był dla mnie łagodny i czuły jak poeta. Był to zresztą poeta. Poeta czynu. Przez całe życie śpiewał wspaniałą pieśń na cześć człowieka. A robił to z czystego ukochania ludzkości, za ludzkość oddał życie i został ukrzyżowany.

A wszystko to czynił bez żadnej nadziei na przyszłą nagrodę. W jego ujęciu świata nie było przyszłego życia. Ten człowiek, który był płomieniem nieśmiertelności, sam sobie nieśmiertelności odmawiał. Ten człowiek o duszy tak gorącej hołdował zimnej i odpychającej filozofii materialistycznego monizmu. Nieraz spierałam się z nim mówiąc, że dla mnie miarą jego nieśmiertelności są skrzydła jego ducha i że musiałabym żyć nieskończone eony czasu, by osiągnąć tak pełną miarę. Ernest wybuchał śmiechem, brał mnie w ramiona i nazywał swoim najdroższym metafizykiem. Z oczu jego ustępowało znużenie. Wypełniało je światło szczęśliwej miłości, które już samo w sobie było nową i dostateczną oznaką jego śmiertelności.

Nazywał mnie także swoją dualistką i tłumaczył, jak Kant z pomocą czystego rozumu obalił rozum, aby móc wielbić Boga. Przeprowadzał porównanie i zarzucał mi dopuszczenie się podobnego czynu. Przyznając się do winy, dowodziłam jednak, że czyn ten jest całkowicie słuszny i logiczny. A wtedy Ernest przyciskał mnie do serca i śmiał się, jak śmiać się mogą tylko wybrańcy Boga. Geniuszu i całkowitej oryginalności Ernesta nie dało się wytłumaczyć ani dziedzicznością, ani wpływami otoczenia. Tak samo zimna, badawcza dłoń nauki nie może uchwycić, zanalizować i określić lotnej i wiecznie wymykającej się istoty samego życia.

Utrzymywałam, że przestrzeń jest przejawem Boga, a dusza ludzka odbiciem cech boskich. I kiedy Ernest nazywał mnie najdroższym metafizykiem, ja ze swej strony mówiłam o nim jako o moim nieśmiertelnym materialście. Tak trwała nasza miłość i szczęście. Wybaczalam mu materializm za bezinteresowność jego olbrzymiego dzieła i za niezwykłą skromność, skutek której był zupełnie nieświadomy swej wielkości i wielkości swej duszy.

Ernest był przeciwieństwem dumy, a jednak miał w sobie dumę. Był przecież orłem, a orły z natury są dumne! Ernest twierdził, że większą jest chluba, gdy śmiertelnik czuje się bogiem, niż, gdy tak czują bogowie. Dlatego właśnie szczyił się swoją śmiertelnością. Lubił zawsze przytaczać urywek pewnego wiersza. Nie znał całości i na próżno usiłował dowiedzieć się, kto był autorem. Przytaczam tu ten urywek nie tylko dlatego, że Ernest go tak lubił, ale i z tej przyczyny, że wiersz oddaje jego sprzeczności wewnętrzne i paradoksalny pogląd na siebie samego. Jak bowiem można z przejściem, ogniem i uniesieniem wymawiać takie strofy, a jednocześnie być tylko zwykłym śmiertelnym, znikomym, przelotnym kształtem, przemijającą cząstką materii? Oto ten wiersz:

Z radości w radość, z zysku w zysk —

To los fortuny wybrańca.

Niech sława brzmi mych wiecznych dni

Od krańca ziemi do krańca.

Choć wszystkie śmierci udziałem mym

Po kres z najdalszych daleki —

Wypiłem już z rozkoszy kruż

*Wszystkie klimaty i wieki.
I pianę dumy, mocy smak
I kobiecości mdłą słodycz
Piłem bez tchu z pucharów stu,
Spragniony wiecznej urody.
Na życia cześć chcę toast wznieść
I śmierci, co mnie powali —
Gdy w oczach mgła — już inny „ja”
Mój puchar poda znów dalej.*

*Ten mąż, któregoś z rajskich pól
Wyrwał — to ja — mój Boże!
I będę tam, aż z ziemskich bram
Niebieskich wrót nie otworzę.
Bo to mój świat, wspaniały świat,
Świat snów szalonych jak gwiazdy.
Od cichych skarg dziecięcych warg
Po krzyk rodzącej niewiasty.*

*Bijąca tętnem nowych ras,
Od żądz płonąca nieczystych
Fala, co grzmi, mej dzikiej krwi
Zagasi ogień wieczysty.
Jestem mężczyzną — od mięśni drgnień
Po pył mojej ziemskiej mety —
Po duszy blask, po śmierci czas
Od mroku w łonie kobiety.
Kość z mojej kości, krew z mej krwi —
Świat się mej woli nagina,
Mych pragnień zryw do rajskich niw
Grzmi po obfitych dolinach.
Gdym wypił, Boże, z życia kruz
Tęcz wszystkich lśniące miraże —
Wieczysta noc, co weźmie w moc,
Nie zmieści w sobie mych marzeń.
Ten mąż, któregoś z rajskich pól
Wyrwał — to ja — mój Boże!
I będę tam, aż z ziemskich bram
Niebieskich wrót nie otworzę.
Bo to mój świat, wspaniały świat,
Świat moich marzeń radosnych —
Od jasnych drzeń arktycznych lśnień
Po mrok mej nocy miłosnej.*

Ernest zawsze pracował nad miarę. Trzymał się dzięki swej niepożytej naturze. Ale nawet ta

niepożytość nie mogła zmazać wyrazu znużenia z jego oczu. Jakże kochałam te zmęczone oczy! Nie sypiał nigdy więcej niż cztery i pół godziny na dobę. A jednak zawsze brakło mu czasu na wykonanie wszystkiego, co sobie zamierzył. Me przerywał ani na chwilę swej działalności propagandowej i na długo naprzód miał wyznaczone terminy odczytów w różnych organizacjach robotniczych. A ponadto miał jeszcze kampanię wyborczą, która obciążała go całodzienną pracą przeciętnego człowieka. Po zamknięciu wydawnictwa socjalistycznego ustały jego dochody autorskie, musiał więc zarabiać na życie, bo i to także obarczało go prócz tylu innych zajęć. Tłumaczył dużo dzieł naukowych i filozoficznych; późnym wieczorem, gdy wracał wyczerpany nateżoną agitacją wyborczą, zabierał się do przekładów i trudił się nad nimi do samego świtu. Przy tym wszystkim zaś nie zaprzestawał studiów. Aż do dnia śmierci studiował i robił niezwykle postępy.

A mimo to umiał znaleźć czas, by mnie kochać i uczynić szczęśliwą. To jednak dało się osiągnąć tylko przez ściśle zespolenie życia mego z jego życiem. Nauczyłam się pisanie na maszynie i stenografii i zostałam jego sekretarką. Ernest twierdził, że skracałam mu pracę o połowę. Stopniowo zaczęłam gruntownie rozumieć jego pracę. Mieliśmy odtąd wspólne zainteresowania, wspólną pracę i wspólne chwile wytchnienia.

W trakcie najbardziej wyteżonej pracy umieliśmy wykradać krótkie błyski dla siebie: jakieś słowo, dotknięcie czy choćby tylko spojrzenie. Owe błyski były tym słodsze, że z trudem wykradane. Życie nasze bowiem toczyło się na wyżynach, gdzie powietrze było orzeźwiające i czyste, cały wysiłek pracy skierowany był dla ludzkości, a egoizm i inne niskie pobudki nigdy nie docierały. Ukochaliśmy miłość i naszej miłości nie splamiło nigdy żadne niższe uczucie. Ta jedna pewność na zawsze mi pozostaje: nie popełniłam błędu. Dawałam chwile wytchnienia temu, który tak bardzo trudił się dla innych — memu ukochanemu niedowiarkowi o zmęczonych oczach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

BISKUP

Dopiero po moim ślubie spotkałam przypadkiem biskupa Morehouse'a. Ale muszę opisać bieg wypadków we właściwej kolejności. Po przemówieniu na zebraniu I. P. H. biskup, jako człowiek łagodny i ugodowy, poddał się przyjacielskim namowom i wyjechał na urlop. Powrócił jednak bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany głosić naukę kościoła, tak jak on ją pojmował. Toteż ku zdumieniu diecezjan pierwsze jego kazanie całkowicie przypominało mowę, jaką wygłosił na zebraniu. Powtórzył raz jeszcze, obszernie i szczegółowo, że kościół odstąpił od nauk Jezusowych i że zamiast Chrystusa czci Mamona.

W rezultacie bezceremonialnie wywieziono biskupa do prywatnego zakładu dla umysłowo chorych. W gazetach zaś pojawiły się wstrząsające opisy jego choroby umysłowej i świętobliwości jego charakteru. W sanatorium biskupa traktowano jak więźnia. Byłam tam wiele razy, ale nie pozwolono mi go zobaczyć. Tragedia tego zdrowego na umyśle i normalnego, a prawdziwie świętego człowieka wstrząsnęła mną głęboko. Zmiażdżyła go brutalna wola społeczeństwa. Bo biskup był całkowicie normalny, był czysty i szlachetny. Zawinił tylko w tym, że — jak powiedział Ernest — miał błędne pojęcia o biologii i socjologii i wskutek tych błędnych pojęć obrał niewłaściwą drogę realizacji swych celów. Przeraziła mnie bezradność biskupa. Był skazany na celę szaleńca tak długo, jak długo trzymał się swojego widzenia prawdy. I nic nie mógł na to poradzić. Ani jego kultura, ani stanowisko, ani nawet majątek nie mogły go ocalić. Jego poglądy uznano za niebezpieczne dla społeczeństwa i społeczeństwo nie chciało zrozumieć, że tak niebezpieczne poglądy mogą być tworem zdrowego umysłu. Taka przynajmniej, jak sądzę, była zewnętrzna postawa społeczeństwa.

Ale biskupowi, mimo jego dobroci i czystości ducha, nie brakło sprytu. Dokładnie widział niebezpieczeństwo. Znalazł się w sieci i usiłował się z niej wydostać. Pozbawiony pomocy przyjaciół, takich jak ojciec, Ernest i ja, musiał walkę stoczyć samotnie. I ta narzucona mu samotność w sanatorium nie poszła na marne. Biskup wyzdrowiał, odzyskał pełnię władz umysłowych. Jego oczom już nie ukazywały się wizje, a mózg wyzwolił się z urojenia, że społeczeństwo ma obowiązek żywić owczarnię Nauczyciela.

Powtarzam — biskup całkowicie wyzdrowiał. I prasa, i wierni z radością witali jego powrót. Poszłam kiedyś do jego kościoła. Kazanie biskupa było zupełnie podobne do tych, jakie wygłaszał, zanim jeszcze oczy jego ujrzały wizję. Byłam rozczarowana, zgorszona. Czyżby ukorzył się przed wolą społeczeństwa? Czy był tchórzem? Czyżby, zastraszone, wyparł się swoich poglądów? A może napięcie było dla niego zbyt wielkie i dlatego z pokorą ukląkł przed ołtarzem Rzeczy Ustanowionych.

Odwiedziłam biskupa w jego pięknym domu. Był straszliwie zmieniony. Wychudł, a twarz pobruździły mu zmarszczki, których przedtem nigdy nie widziałam. Przyjście moje wyraźnie go zakłopotало. W czasie rozmowy szarpał nerwowo rękaw, a oczy biegały mu niespokojnie na wszystkie strony, nie chcąc się spotkać z moimi. Umysł jego zdawał się wciąż zajęty jedną myślą, toteż mówił z przerwami, zmieniał nagle temat i brakło mu ciągłości w rozumowaniu. Było to wprost zdumiewające. Czyż to ten sam silny i opanowany człowiek, którego znałam — żarliwy chrześcijanin o czystych jak kryształ oczach i spojrzeniu głębokim i niewzruszonym jak jego dusza? Obeszli się z nim okrutnie; zastraszyli go i teraz oto się poddał. Dusza jego była zbyt wrażliwa. Nie miała dość siły, by stawić czoła zbiorowej napaści wilczego stada społeczeństwa.

Ogarnął mnie smutek, smutek nie do zniesienia. Słowa biskupa brzmiały dwulicowo, a tak wyraźnie bał się tego, co mu powiem, że nie miałam serca udzielać mu nauk. O swojej chorobie mówił jak o czymś bardzo dalekim i wymienialiśmy luźne, obojętne uwagi o kościele, o naprawie organów i dobroczynności. Kiedy zaś zaczęłam się żegnać, na twarzy biskupa odmalowała się taka ulga, że wzbudziłoby to we mnie śmiech, gdyby moje serce nie było wypełnione łzami.

Mój biedny, niepokazny bohaterze! Gdybym to wtedy wiedziała! Walczyłeś jak olbrzym ducha, a ja nawet nie domyślałam się tego. Sam, sam jeden pośród milionów biskup toczył w milczeniu swą walkę. Rozdarty między straszliwym lękiem przed domem obłąkanych a wiernością dla prawdy i sprawiedliwości, trwał niewzruszenie przy sprawiedliwości i prawdzie. Ale czuł się tak bardzo samotny, że nie miał odwagi zaufać nawet mnie. Dobrze zrozumiał lekcję — aż nazbyt dobrze.

Wkrótce jednak miałam wszystkiego się dowiedzieć. Pewnego dnia biskup znikł. Nikomu nie zapowiedział swego wyjazdu. W miarę więc jak dni mijały, a biskup nie wracał, zaczęły coraz bardziej szerzyć się pogłoski o jego samobójstwie pod wpływem chwilowego zamroczenia umysłu. Ale pogłoskom tym zadała kłam wiadomość, że biskup sprzedał wszystko, co posiadał: pałac w mieście, willę w Menlo Park, galerię obrazów, zbiory, a nawet ukochaną bibliotekę. Było rzeczą jasną, że przed zniknięciem zlikwidował dokładnie, a w ścisłej tajemnicy, cały swój majątek.

Wydarzyło się to w tym samym okresie, kiedy spadły na nas dotkliwie klęski majątkowe. I dopiero w jakiś czas po urządzeniu się w nowym mieszkaniu mogliśmy zastanowić się nad czynami biskupa i zacząć snuć domysły. A wtedy wszystko nagle się wyjaśniło. Stało się to pod wieczór pewnego dnia, kiedy o wczesnym zmierzchu pobiegłam do rzeźnika naprzeciw, by kupić coś na kolację dla Ernesta. W nowym środowisku nazywaliśmy bowiem posiłek wieczorny „kolacją”.

Wychodziłam właśnie ze sklepu, gdy w drzwiach sąsiedniego składu kolonialnego ukazał się jakiś człowiek. Wydał mi się dziwnie znajomy, więc spojrzałam raz jeszcze. Ale człowiek ten raptownie zawrócił i zaczął się szybko oddalać. W zarysie jego pochylonych ramion, w srebrzystym pasmie włosów widocznych między kołnierzem płaszcza a niedbale włożonym kapeluszem było coś, co budziło we mnie niejasne wspomnienia. Zamiast więc przejść na drugą stronę ulicy — pobiegłam za nim. Przyśpieszyłam kroku, starając się tłumić domysły rodzące się mimo woli w mej głowie. To przecież niemożliwe! To nie mógł być on — w tym wypłowiałym roboczym ubraniu, za dużym i wystrzępionym u dołu!

Przystanąłam śmiejąc się sama z siebie i gotowa już zaniechać pościgu. Ale ten zarys ramion, tak dobrze mi znany, te srebrne pasma włosów nie dawały mi spokoju. Znów przyśpieszyłam kroku. Mijając go spojrzałam mu prosto w twarz, po czym zawróciłam i nagle stanęłam: przede mną był biskup.

Zatrzymał się równie nagle i w pierwszej chwili nie mógł złapać tchu. Duża papierowa torba niesiona w prawym ręku upadła mu na chodnik. Torba pękła i do naszych stóp, podskakując jak piłki, toczyć się zaczęły kartofle. Biskup spojrzał na mnie ze zdumieniem i lękiem i zrobił ruch, jakby chciał uciec. Ramiona opadły mu jednak z rezygnacją, a z ust wydarło się głębokie westchnienie.

Wyciągnęłam do niego rękę. Ujął ją, ale jego dłoń była wiotka i miękka. Odchrząknął z zakłopotaniem, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Widać było, że jest okropnie przerażony.

— Kartofle — wyszeptał niepewnym głosem. — Drogie są teraz.

Pozbieraliśmy rozsypane kartofle z powrotem do przedartej torby. Biskup trzymał je teraz troskliwie w zgięciu ramienia. Usiłowałam powiedzieć mu, jak bardzo się cieszę z tego spotkania i że musi koniecznie zaraz do nas przyjść.

— Ojciec będzie po prostu zachwycony, jak pana zobaczy — rzekłam. — A mieszkamy dosłownie o parę kroków stąd.

— Nie mogę — odparł. — Muszę już iść. Do widzenia. Rozejrzał się z niepokojem dokoła, jak gdyby w obawie, że go kto pozna, i spróbował odejść.

— Niech pani mi poda wasz adres, to przyjdę później — powiedział, widząc, że idę z nim dalej i że nie mam zamiaru rozstać się z nim teraz, gdy go znalazłam.

— Nie — odparłam stanowczo. — Musi pan zaraz pójść ze mną.

Popatrzył na kartofle wyslizgujące mu się spod ramienia i na inne jakieś paczuszki trzymane w drugim ręku.

— Naprawdę teraz nie mogę — rzekł. — Przepraszam, że tak mówię, ale gdyby pani tylko wiedziała...

Był bliski załamania. Lecz już w następnej chwili odzyskał panowanie nad sobą.

— A poza tym muszę to zanieść — ciągnął. — To bardzo smutny przypadek. Okropny. Staruszka nie ma zupełnie co jeść. Muszę to jej zanieść w tej chwili. Pani mnie rozumie. Już muszę iść. A potem przyjdę. Obiecuję to pani.

— Więc pójdziemy tam razem — zaofiarowałam się. — Czy to daleko?

Westchnął znowu i wreszcie skapitulował.

— Druga ulica na lewo — odparł. — Ale chodźmy prędzej. Dzięki biskupowi zapoznałam się z naszą dzielnicą. Nie miałam pojęcia, że panuje tu taka potworna nędza. Inna sprawa, że nie zajmowałam się nigdy dobroczynnością. Uważałam, że Ernest ma rację drwiąc z dobroczynności i nazywając ją przykładaniem plasterka na wrzód. Trzeba usunąć wrzód — mówił Ernest — to jedyne lekarstwo. Trzeba oddać robotnikowi produkt jego pracy. Trzeba, jak żołnierzom, wyznaczyć emerytury tym, którzy zestarzelili się, w pracy. A wtedy dobroczynność nie będzie potrzebna. Podzielając ten pogląd pracowałam z Ernestem nad rewolucją i nie zużywałam nic z mej energii na łagodzenie zła społecznego wyrastającego bez przerwy z niesprawiedliwości ustroju.

Weszłam z biskupem do małego pokoju w drugiej oficynie. Tam znaleźliśmy staruszczkę Niemkę; jak mi biskup powiedział, miała sześćdziesiąt cztery lata. Zdziwiła się na mój widok, ale uprzejmie skinęła mi głową i powróciła do swej roboty: szycia męskich spodni, które trzymała na kolanach; Obok niej, na podłodze, leżał cały stos takich spodni. Biskup przekonał się, że w pokoiku nie ma ani światła, ani opału, i wyszedł po dalsze zakupy.

Podniosłam z podłogi uszytą już parę i zaczęłam przyglądać się robocie staruszki.

— Sześć centów, proszę pani — powiedziała kiwając lekko głową i nie przerywając pracy. Szyła powoli, ale bez przestanku. Wydawało się, że słowo „szyć” rządzi całym jej życiem.

— Jak to? Za tyle roboty? — spytałam. — Tyle pani płacą? A ile to pani czasu zabiera?

— Tyle właśnie mi płacą — odparła. — Sześć centów za wykończenie jednej pary. A to znaczy dwie godziny szycia.

Ale ten, co daje mi robotę, nie wie, że tak powoli szyję — dodała z pośpiechem, jakby w obawie, że jej słowa mogą rzucić złe światło na pracodawcę. — To moja wina, bo mam reumatyzm w palcach. Młode dziewczyny szyją dużo prędzej. Wystarczy im połowa tego czasu co mnie. Przedsiębiorca jest dla mnie bardzo dobry, bo pozwala mi zabierać pracę do domu. A odkąd jestem stara, nie mogę pracować w fabryce, bo moja głowa nie może wytrzymać hałasu maszyn. Żeby nie jego dobroć, to bym zginęła z głodu.

Te, co pracują w warsztacie, dostają po osiem centów. Ale co na to poradzić? Dla młodych też nie ma dosyć . roboty, a starzy wcale się już nie liczą. Bardzo często dają mi tylko jedną parę. A czasem, tak jak dziś, dostają osiem par do wykończenia jeszcze przed nocą.

Zapytałam ją, w jakich godzinach pracuje, na co staruszka odrzekła, że to zależy od pory roku.

— W lecie, kiedy jest więcej zamówień, pracuję od piątej rano do dziewiątej wieczór. Ale w

zimie jest gorzej, bo za zimno i ręce są sztywne prawie do południa. Dlatego trzeba pracować dłużej, czasem i po północy.

Zeszłe lato było bardzo ciężkie. Kryzys. Bóg musiał się pogniewać. To, co panienka widzi, to pierwsza robota, jaką dostałam w tym tygodniu. A jak nie ma pracy, to i nie ma co jeść. Przywykłam już do tego, Szyłam tak przez całe moje życie. W starym kraju i tutaj, w Sam Francisco. Trzydzieści trzy lata.

Jak czynsz jest zapłacony, to już dobrze. Gospodarz jest bardzo dobry, ale musi dostać czynsz. Niedużo tego. Za ten pokój płacę trzy dolary. To tanio. Ale nie tak łatwo zebrać trzy dolary każdego miesiąca.

Urwała i szła dalej, kiwając głową.

— Musi parni bardzo się namyślać — spytałam — jak wydać to, co pani zarabia?

Pokiwała głową przytakująco.

— Jak zapłacę czynsz, to nie jest już tak źle. Pewnie, że mięsa nie można sobie kupować. Ani mleka do kawy. Ale zawsze mam. coś do zjedzenia przynajmniej raz ma dzień, a czasami dwa razy.

Ostatnie słowa wypowiedziała z dumą. W jej głosie wyczuwało się odcień zadowolenia, że tak się jej powodzi. Ale patrząc na nią, gdy szła dalej w milczeniu, spostrzegłam smutek w jej życzliwych oczach i zmarszczkę bólu wokół ust. Spojrzenie jej stało się roztargnione, pośpiesznie przetarła zamglone oczy: mgła źle wpływała na szycie.

— Serce we mnie płacze — wyjaśniła — ale to nie przez głód. Do głodu można się przyzwyczać. To z powodu córki. Zabiła ją maszyna. I wciąż tego nie mogę zrozumieć. Prawda, że pracowała ciężko. Ale była taka silna i jeszcze młoda. Miała dopiero czterdzieści lat. A pracowała wszystkiego trzydzieści. Wcześniej zaczęła pracować, ale to dlatego, że mój mąż umarł. Zginął, kiedy rozerwało kocioł w fabryce. Nie było innej rady, musiała pójść do pracy. Dziesięć lat miała wszystkiego, ale była mocna i zdrowa. A maszyna zabiła ją. Zabiła ją, choć była najlepszą robotnicą w warsztacie. Dużo o tym myślałam i wciąż jeszcze myślę. I dlatego nie mogę pracować w warsztacie. Nie mogę słuchać, jak idzie maszyna. Wciąż mi się zdaje, że mówi: „to ja zrobiłam, to ja”. I tak przez cały dzień. A wtedy zaczynam myśleć o córce i już nie mogę pracować.

Starcze jej oczy znowu zaszły mgłą. Musiała ją zetrzeć, by na nowo zabrać się do szycia.

Usłyszałam kroki biskupa na schodach i otworzyłam drzwi. Cóż za widok przedstawiał! Na plecach dźwigał pół worka węgla i wiązkę trzasek ułożoną na wierzchu. Pył węglowy umazał mu twarz, a wskutek wysiłku pot spływał po niej strugami. Zwalił worek do kąta przy piecu i otarł twarz grubą bawełnianą chustką. Własnym oczom nie mogłam uwierzyć. Biskup stał przede mną czarny jak węglarz, w taniej, perkalowej robotniczej koszuli (pod szyją brakowało guzika) i w roboczych parcianych spodniach. Widok tych spodni był najbardziej nieprawdopodobny: postrzępione u dołu, spadały mu na pięty i szurały po ziemi; na biodrach przytrzymał je wąski rzemienny pasek, jaki zwykli nosić wyrobnicy.

Biskupowi było wprawdzie gorąco, ale biedne obrzękłe ręce starowiny kostniały już z zimna. Toteż przed wyjściem biskup rozpałił w piecyku, ja zaś obrałam kartofle i naszykowałam do gotowania. Z czasem miałam się dowiedzieć, że w naszej dzielnicy dużo jest nędzarzy takich jak staruszka, a nawet jeszcze biedniejszych, ukrytych w głębi potwornych kamienic i oficyn.

W domu zastaliśmy Ernesta mocno zaniepokojonego moją nieobecnością. Po wstępnych wyrazach zdziwienia i powitania biskup usiadł w fotelu, wyciągnął nogi w parcianych spodniach i odetchnął z wyraźnym zadowoleniem. Jak się okazało, byliśmy pierwszymi z jego dawnych znajomych, których spotkał od czasu swego zniknięcia. Widać też było, że w ciągu tych długich tygodni musiał dotkliwie odczuwać swoje osamotnienie.

Opowiedział nam wiele, chociaż mówił najwięcej o radości, jakiej doznaje stosując się do przykazań Nauczyciela.

— Bo teraz dopiero — powiedział — pasę Jego owieczki. I nauczyłem się bardzo wiele. Zrozumiałem, że duszy nie można kształtować, dopóki żołądek nie będzie nasycony. Owieczki Pana muszą dostać chleb z masłem i mięso z kartoflami. A wtedy, dopiero wtedy ich duch będzie zdolny przyjąć pożywienie bardziej subtelne.

Biskup z apetytem zjadł przygotowaną przeze mnie kolację. Nigdy za dawnych dni nie odznaczał się takim apetytem. Napomknęłam o tym, a biskup odpowiedział, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak zdrów.

— Zawsze teraz chodzę piechotą — rzekł i zarumienił się na wspomnienie dni, kiedy jeździł swoją wspaniałą karetą, jak gdyby to był grzech nie do darowania.

— Na moje zdrowie wpływa to znakomicie — dodał z pośpiechem. — I jestem teraz szczęśliwy, naprawdę bardzo szczęśliwy. Żyję nareszcie tak, jak żyć trzeba.

A jednak w jego twarzy był jakiś trwały rys bólu. Biskup brał w siebie cały ból świata. Widział życie takim, jakim jest w istocie, a było to inne życie niż to, które znał z książek swojej biblioteki.

— Panu to wszystko zawdzięczam, młodzieńcze — zwrócił się do Ernesta.

Ernest był zakłopotany i czuł się nieswojo.

— Ja tylko... ostrzegałem pana — wybąkał.

— Pan źle mnie zrozumiał — odparł biskup. — Nie mówiłem tego z wyrzutem, ale przez wdzięczność. Wdzięczny panu Jestem za pokazanie mi drogi. Od teorii o życiu skierował mnie pan do samego życia. Rozdarł pan zasłonę okrywającą wstydliwie wrzody społeczne. Był pan dla mnie światłem w ciemności. Ale teraz ja też widzę światło. I jestem bardzo szczęśliwy. Tylko... — Zawahał się, a w jego oczach odbiło się cierpienie i strach. — Tylko dlaczego ciągle mnie ścigają? Nie robię przecież krzywdy nikomu. Mogliby mi dać spokój. Zresztą, nie o to nawet mi chodzi. Chodzi o sposób, w jaki mnie prześladowają. Nie czułbym strachu, gdyby mnie chcieli ćwiartować czy spalić na stosie, czy ukrzyżować głową na dół. Ale dom obłąkanych — oto co mnie przeraża. Pomyślcie tylko! Zamykać mnie w domu wariatów! Na samą myśl wszystko się we mnie burzy. Widziałem niektóre przypadki w sanatorium. Przypadki ostrego obłądu. Krew ścina się we mnie na samo wspomnienie. Być uwięzionym na resztę życia tam, gdzie rozgrywają się sceny dzikiego szaleństwa? Nie! Wszystko, tylko nie to!

Budził litość całym swoim wyglądem. Ręce mu drżały, ciałem wstrząsały dreszcze i jakby się cofał przed obrazem, który namalował. Lecz już w następnej chwili odzyskał spokój.

— Przepraszam — rzekł po prostu. — To moje nadszarpnięte nerwy. Lecz jeśli praca w ogrójcu Pańskim musi do tego prowadzić, niechże tak będzie. Czymże ja jestem, żebym się miał skarżyć?

Gdy tak patrzyłam na niego, cisnął mi się na usta okrzyk: „Jesteś wielki, biskupie! Jesteś bohaterem! Prawdziwym bohaterem!”

Tegoż wieczoru opowiedział nam szczegółowo o swoich losach.

— Sprzedałem dom — mówił — a raczej domy i w ogóle wszystko, co posiadałem. Wiedziałem, że muszę zrobić to potajemnie, bo inaczej zabraliby mi cały majątek. A to byłoby straszne. Często zdumiewam się teraz, jakie olbrzymie ilości kartofli czy chleba, czy mięsa, czy opału można kupić za paręset tysięcy dolarów. — Tu zwrócił się do Ernesta. — Pan miał rację, młodzieńcze. Praca jest strasznie źle opłacana. Nigdy w życiu nie robiłem nic poza układaniem wytwornych wezwań do faryzeuszów, bo myślałem, że w ten sposób głoszę naukę Pana. A jednak mój majątek wynosił pół miliona dolarów. Nie miałem pojęcia, ile to jest pół miliona dolarów, póki nie przekonałem się, ile kartofli, chleba, masła i mięsa mogę za nie kupić. Lecz wtedy zrozumiałem jeszcze coś więcej.

Zrozumiałem, że te kartofle i chleb, i masło, i mięso należą do mnie, choć wcale na to nie zapracowałem. Zdałem sobie sprawę, że ktoś inny musiał pracować nad ich wytworzeniem czy wyhodowaniem. I ten ktoś został ograbiony. A kiedy znalazłem się wśród biedaków, znalazłem wtedy tych, których ograbiono; tych, którzy byli głodni i w nędzy dlatego, że ich ograbiono.

Przerwaliśmy te rozważania prosząc, by wrócił do swej opowieści.

— Co zrobiłem z pieniędzmi? Złożyłem je w różnych bankach na różne nazwiska. Nikt tego mi nie odbierze, bo nikt tego nigdy nie znajdzie. A jaki ogromny pożytek jest z tych pieniędzy! Ileż to żywności można za nie kupić! Nie miałem dawniej pojęcia, jaki pożytek może być z pieniędzy.

— Szkoda — rzekł w zamyśleniu Ernest — że nie możemy dostać ich choć trochę na propagandę. Zdziałałaby wiele dobrego.

— Myśli pan? — spytał biskup — Nie bardzo dowierzam polityce. Właściwie boję się, że wcale jej nie rozumiem.

Ernest był bardzo delikatny w tych sprawach. Nie powtórzył więc swojej propozycji, jakkolwiek aż nazbyt dobrze znał trudną sytuację pieniężną Partii Socjalistycznej.

— Nocuję w tanich domach noclegowych — mówił biskup dalej. — Ale boję się zostać dłużej na jednym miejscu. Mam także wynajęte dwa pokoje w domach robotniczych w różnych dzielnicach miasta. Wiem, że to wielka rozrzutność, ale to konieczne. Oszczędzam za to w ten sposób, że sam sobie gotuję. Choć czasami stołuję się w tanich jadłodajniach! Zrobiłem przy tym pewne odkrycie. Tam ale są znakomite, kiedy późnym wieczorem robi się zimno. Niestety drogo kosztują. Ale znalazłem miejsce, gdzie można dostać trzy za dziesięć centów. Nie są może tak dobre, jak gdzie indziej, ale mimo to świetnie rozgrzewają.

Tak więc, dzięki panu, młodzieńcze, wiem teraz nareszcie, co mam na tym świecie robić. Wypełniam przykazanie Nauczyciela. — Tu spojrział na mnie, a oczy mu rozbłyły. — Podpatrzyła mnie pani, kiedy pasłem Jęgo owieczki. Ale oczywiście zachowacie to wszystko w tajemnicy.

Uwagę tę zrobił jakby od niechcienia, ale w jego słowach wyczuwało się prawdziwy lęk. Obiecał odwiedzić nas znowu. Jednakże po tygodniu przeczytaliśmy w jakimś dzienniku wiadomość o smutnym przypadku biskupa Morehouse, którego umieszczono w domu dla obłąkanych w Napa, jakkolwiek nie stracono całkowicie nadziei, że może kiedyś wyzdrowieje. Na próżno próbowaliśmy go zobaczyć, zabiegaliśmy o ponowne zbadanie i rozważenie jego sprawy. Nie można było nawet niczego się o nim dowiedzieć poza ciągle powtarzaną a zdawkową informacją, że stan jego nie jest całkowicie beznadziejny.

— Chrystus kazał bogatemu młodzieńcowi sprzedać wszystkie swe majątki — rzekł Ernest z goryczą. — Biskup wypełnił ten nakaz Chrystusa i za to zamknięto go w domu wariatów. Wiele się zmieniło od czasów Chrystusowych. Dzisiaj bogacz, który rozdaje swój majątek ubogim, jest wariatem. Co do tego nie ma dwóch zdań. Tak bowiem orzekło społeczeństwo.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

STRAJK POWSZECHNY

Jesienią roku 1912 olbrzymia ilość głosów padła na listą socjalistyczną i Ernest został, rzecz jasna, wybrany do Kongresu. Czynnikiem, który walnie pomógł socjalistom, był upadek Hearsta. Obalenie go przyszło plutokracji z łatwością. Hearst wydawał rocznie osiemnaście milionów dolarów na prowadzenie paru pism, a sumę tę odzyskiwał z nadwyżką od klasy średniej w postaci opłat za ogłoszenia. Źródłem więc jego potęgi finansowej była wyłącznie klasa średnia. Trusty nie zamieszczały ogłoszeń. Aby zniszczyć Hearsta, wystarczyło odebrać mu ogłoszenia. Klasa średnia nie była jeszcze doszczętnie zniszczona. Pozostały najmocniejsze jej zręby, ale te były bezsilne. Drobnu przemysłowcy i kupcy, którzy jeszcze istnieli, zdani byli na całkowitą łaskę i niełaskę plutokracji. Nie mieli własnego oblicza ani własnej linii postępowania w sprawach gospodarczych i politycznych. Gdy pogroziła im pięść plutokratów, zaraz wycofali wszystkie swe ogłoszenia z prasy Hearsta.

Hearst dzielnie walczył. Wydawał swe pisma, choć tracił co miesiąc półtora miliona dolarów. Ogłoszenia zamieszczał dalej, choć nie otrzymywał już za nie żadnej opłaty. Ale wtedy z nakazu plutokracji drobnu kupcy i przemysłowcy zasypali go lawiną pism zakazujących dawania ogłoszeń. Hearst obstawał przy swoim. Zalano go wówczas potopem wezwań i zakazów sądowych. Hearst upierał się dalej. Skazano go wreszcie na sześć miesięcy więzienia za niewykonanie nakazów sądu, a niezliczone procesy odszkodowawcze doprowadziły go do bankructwa. Nie mógł już dalej walczyć. Plutokracja wydała na niego wyrok. A w ręku plutokracji znajdowały się sądy, które ten wyrok wykonały. Z upadkiem Hearsta nastąpił równoczesny upadek zdobytej niedawno przez niego Partii Demokratycznej.

Skoro upadł Hearst, a z nim razem Partia Demokratyczna, jej zwolennicy mieli dwie tylko drogi przed sobą. Jedna wiodła do Partii Socjalistycznej, druga — do Republikańskiej. Wówczas to my, socjaliści, zebraliśmy owoce pseudosocjalistycznej agitacji Hearsta. Większość bowiem jego czytelników przeszła do naszych szeregów.

Wywłaszczenie farmerów, które nastąpiło w tym samym czasie, jeszcze bardziej zwiększyłoby liczbę naszych głosów, gdyby nie przelotny a płonny rozkwit Partii Rolnej. Ernest oraz inni przywódcy socjalistyczni prowadzili zaciętą walkę o zdobycie głosów farmerskich. Ale zniszczenie socjalistycznych wydawnictw i prasy stanowiło zbyt wielką przeszkodę, a propaganda ustna nie była wtedy wydoskonalona. W rezultacie tacy politycy jak Calvin, należący do dawno już wywłaszczonych farmerów, pozyskali względy farmerów i wyczerpali ich siłę polityczną w całkowicie próżnej i jałowej walce.

— Biedni ci farmerzy — rzekł kiedyś Ernest z szubienicznym humorem — walczą z trustami chodząc na ich smyczy.

Tak też istotnie było. Siedem współpracujących ze sobą wielkich trustów połączyło swoje olbrzymie nadwyżki i utworzyło trust rolny. Koleje, decydujące o kosztach przewozu, bankierzy i gracze giełdowi, decydujący o cenach, dawno już wpędzili farmerów w zupełną niewypłacalność. Ponadto i bankierzy, i wielkie trusty od dawna już przeznaczali zawrotne sumy na pożyczki dla farmerów. W ten sposób farmerzy znaleźli się w sieci. Pozostawało już tylko sieć tę wyciągnąć. Do tego zabiegu przystąpił właśnie trust rolny.

Już kryzys roku 1912 spowodował straszliwy spadek cen produktów rolnych. Obecnie z całym rozmysłem obniżono te ceny poniżej wszelkiej opłacalności; a tymczasem linie kolejowe podwyższyły taryfy, łamiąc w ten sposób grzbiet farmerskiego wielbłąda. Farmerzy musieli pożyczać coraz więcej, nie mogąc przy tym wcale spłacać dawnych długów. Wówczas nastąpiło masowe wypowiadanie pożyczek hipotecznych i przymusowe ściąganie wszelkich należności. I farmerzy musieli po prostu oddać ziemię trustowi rolnemu. Nie mieli żadnego wyboru. A kiedy oddali ziemię, poszli na służbę trustu, zostając rządcami, ekonomami, nadzorcami i zwykłymi robotnikami. Pracowali teraz za płacę. Stali się sługami, chłopami pańszczyźnianymi, przywiązani do ziemi płacą, która ledwie wystarczała na życie. Nie mogli opuścić swych panów, ponieważ ci należeli do plutokracji. Nie mogli się przenieść do miast, ponieważ miasta też były całkowicie we władzy plutokracji. Pozostawało im jedno tylko wyjście, jeśli chcieli opuścić ziemię: stać się włóczęgami, to jest — głodować. Leoz nawet i ta droga była dla nich zamknięta na skutek uchwalenia surowych praw przeciw włóczęgostwu. A praw tych przestrzegano bezwzględnie.

Zdarzało się, oczywiście, że gdzieniegdzie poszczególni farmerzy, a czasem i całe osiedla; ze względu na wyjątkowe okoliczności zdołali wywłaszczenia uniknąć. Były to jednak niezwykle rzadkie wypadki, które nie miały żadnego znaczenia. A zresztą następnego roku zlikwidowano także i te wyjątki.

Tak więc jesienią 1912 roku przywódcy socjalistyczni, poza jednym jedynym Ernestem, orzekli, że nadszedł koniec kapitalizmu. Istotnie też, jeśli zważyć straszliwe skutki kryzysu — powstanie olbrzymiej armii bezrobotnych — i ruinę farmerów i klasy średniej — klęski poniesione na całej linii przez związki zawodowe — jeśli to wszystko wziąć pod uwagę, to trzeba przyznać, że socjaliści mieli prawo wierzyć, iż nadszedł kres kapitalizmu, i rzucić rękawicę plutokracji.

Niestety, jakże nie docenialiśmy siły wroga! Socjaliści zapowiadali wszędzie swoje zbliżające się zwycięstwo wyborcze, a jednocześnie w słowach niedwuznacznych oceniali sytuację. Plutokracja przyjęła wyzwanie i plutokracja zadała nam klęskę. Wbijając kliny w nasze szeregi i grając na różnych uczuciach, rozbiła nasze siły. Przez swoich tajnych agentów zarzucała nam bluźnierstwa i bezbożność. Podburzyła kościoły, a zwłaszcza kościół katolicki, pozbawiając nas sporej części głosów robotniczych. A wreszcie, i znów dzięki tajnym agentom, wspomogła Partię Rolną, szerząc jej hasła nawet po miastach w szeregach ginącego drobnomieszczactwa.

Mimo to olbrzymia liczba głosów padła na listę socjalistyczną. Zamiast jednak całkowitego zwycięstwa, co dałoby nam w ręce główne urzędy państwowe i większość w ciałach ustawodawczych, znaleźliśmy się w mniejszości. Choć bowiem przeprowadziliśmy do Kongresu pięćdziesięciu przedstawicieli, gdy zajęli oni swe miejsca wiosną 1913 roku, okazało się, że pozbawieni są wszelkiego znaczenia i wpływu. Tyle tylko, że byli w lepszym położeniu niż Partia Rolna, która zdobyła dwanaście stanowisk gubernatorskich, ale z wiosną, gdy przyszło do przekazania władzy, nie mogła objąć urzędów. Dotychczasowi gubernatorzy nie chcieli ustąpić, a sądy były w ręku oligarchii. Ale tu wybiegam nieco zanadto naprzód. Muszę opowiedzieć przedtem o burzliwych zdarzeniach zimy roku 1912.

Epoka kryzysu spowodowała w kraju olbrzymi spadek spożycia. Robotnicy, pozbawieni pracy, nie mieli środków, by kupować produkty. W rezultacie w ręku plutokracji znalazły się nadwyżki większe niż kiedykolwiek. Plutokracja musiała je sprzedać za granicą, a z uwagi na swe dalekosiężne plany bardzo potrzebowała pieniędzy. W wyniku zaciekłych starań o sprzedaż nadwyżek na rynku światowym, nasza plutokracja starła się z Niemcami. Starcia gospodarcze zazwyczaj pociągały za sobą wojny i tym razem stało się tak samo. Władca Niemiec zaczął przygotowywać wojnę, a to samo czyniły Stany Zjednoczone.

Tak chmura wojny, ciemna i złowroga, zawisła nad światem. Wzbierała katastrofa powszechna, gdyż wszędzie, we wszystkich krajach kuli ziemskiej szalał kryzys, burzyli się robotnicy, ginęła klasa średnia, rosły coraz bardziej armie bezrobotnych, wybuchały coraz ostrzejsze starcia interesów na rynkach światowych i rozlegały się pierwsze grzmoty nadciągającej rewolucji socjalistycznej.

Oligarchia chciała wojny z Niemcami. A chciała tej wojny z wielu przyczyn. Oligarchia mogła wiele wygrać w zamęcie, jaki wojna musiałaby spowodować, w międzynarodowych rozgrywkach, w układaniu nowych traktatów, zawieraniu nowych sojuszków. Co więcej, wojna pochłonęłaby znaczną część nadwyżek w różnych krajach, zmniejszyłaby armie bezrobotnych zagrażające istnieniu wszystkich państw i dałaby oligarchii okres wytchnienia, w ciągu którego mogłaby wykonać i przeprowadzić swoje plany. Taka wojna pozwoliłaby oligarchii zawładnąć całkowicie rynkiem światowym. Wreszcie zaś nieuchronnym wynikiem takiej wojny byłoby utworzenie ogromnej armii stałej, nigdy nie demobilizowanej, podczas gdy narodowi zamiast hasła „Socjalizm przeciw oligarchii” podsunięto by hasło „Ameryka przeciw Niemcom”.

I wojna z całą pewnością sprawiłaby to wszystko, gdyby nie socjaliści. W naszym ciasnym mieszkanku przy Pell Street odbyło się tajne zebranie przywódców zachodnich. Wtedy to po raz pierwszy rozważano, jakie stanowisko zająć mają socjaliści. Nie po raz pierwszy określaliśmy nasz stosunek do wojny, ale po raz pierwszy uczyniliśmy to w Stanach Zjednoczonych. Po owym tajnym zebraniu porozumieliśmy się z organizacją ogólnokrajową i niebawem zaczęliśmy wymieniać poprzez Atlantyk szyfrowane depesze z Biurem Międzynarodowym.

Socjaliści niemieccy gotowi byli z nami współdziałać. Organizacja ich liczyła ponad pięć milionów, wielu z nich było w armii czynnej, a ponadto mieli dobre stosunki ze związkami zawodowymi. W obydwu krajach socjaliści wydali deklaracje, śmiało występując przeciwko wojnie i grożąc strajkiem powszechnym. A jednocześnie rozpoczęli przygotowania do strajku. Ponadto partie rewolucyjne wszystkich krajów ogłosiły publicznie swą wolę przestrzegania socjalistycznej zasady międzynarodowego pokoju, który musi być utrzymany za wszelką cenę, choćby nawet wymagało to wzniesienia buntu czy rozpoczęcia rewolucji.

Strajk powszechny był jedynym wielkim zwycięstwem, jakie odnieśli socjaliści amerykańscy. 4 grudnia poseł amerykański został odwołany ze stolicy Niemiec. Tej samej nocy flota niemiecka dokonała napadu na Honolulu, zatapiając trzy krążowniki amerykańskie i kuter celny oraz bombardując miasto.

Nazajutrz zarówno Niemcy, jak i Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę, po czym w ciągu godziny socjaliści ogłosili strajk powszechny w obydwu krajach.

Po raz pierwszy cesarz niemiecki stanął oko w oko z ludźmi, dzięki którym jego państwo powstało i dzięki którym istniało. Bez nich całe jego imperium nie mogło trwać. Nowością sytuacji było to, że bunt miał charakter bierny. Ludzie ci nie walczyli. Nie robili nic. Ale nic nie robiąc wiązali ręce swego wojowniczego władcy. Nie pragnął on niczego więcej, jak sposobności do wypuszczenia swej psiarni na zbuntowanych proletariuszy. Tego jednak nie mógł uczynić. Nie mógł wypuścić swej psiarni. Nie mógł zmobilizować armii dla podjęcia dalszych kroków wojennych ani też nie mógł karać swoich opornych poddanych. W machinie jego imperium nie poruszało się ani jedno kółko. Ani jeden pociąg nie ruszył z miejsca, żadna depesza nie przebiegła drutów, bo telegrafisci i kolejarze zaprzestali pracy razem z resztą ludności.

A, tak samo jak w Niemczech działo się i w Stanach Zjednoczonych. Zorganizowany świat pracy dał wreszcie dowód, że pojął dotkliwą lekcję. Pobity całkowicie na wybranym przez siebie polu, porzucił je i przeszedł na wskazywane przez socjalistów pole walk politycznych, gdyż strajk powszechny był strajkiem politycznym. Zresztą zorganizowany świat pracy poniósł już tak bolesne

kłeski, że teraz o nic nie dbał. Do strajku powszechnego przystąpił po prostu z rozpaczą. Miliony robotników ciskały narzędzia i porzucały pracę. Szczególnie znamienny był przykład mechaników. Krwawili jeszcze po ostatniej kłesce, ich organizacja tak jakby nie istniała, a jednak wszyscy przystąpili do strajku razem z najbardziej sobie bliską grupą robotników — metalowcami.

Nawet zwyczajni wyrobnicy i wszyscy niezorganizowani porzucili pracę. Strajk unieruchomił wszystko, tak że nikt nie mógł pracować. Ponadto strajk znalazł niezmiernie gorliwe poparcie u kobiet. Wystąpiły one stanowczo przeciw wojnie. Nie chciały wydać na śmierć czy kalectwo swych mężów, synów i braci. A w ogóle samo założenie strajku powszechnego przemówiło do nastrojów ludności i jej poczucia humoru. Toteż szerzył się niczym zaraza. Dzieci zastrajkowały we wszystkich szkołach i ci z nauczycieli, którzy przyszli do pracy, musieli wracać na widok pustych klas. Strajk powszechny przybrał postać jakiejś wielkiej, ogólnokrajowej uroczystości. Uwydatniła się wtedy wyraźnie idea solidarności świata pracy i zapaliła wyobraźnię ogółu. Wreszcie zaś cała ta olbrzymia manifestacja nie groziła żadnymi następstwami. Gdy wszyscy byli winni, jak można było kogokolwiek karać? .

Stany Zjednoczone były sparaliżowane. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje. Nie było gazet, listów ani depeesz. Każda miejscowość była tak idealnie odizolowana, jak gdyby między nią a resztą świata rozciągało się tysiące mil nieprzebytej puszczy. W tym znaczeniu świat jakby przestał istnieć. Taki stan rzeczy utrzymał się przez tydzień.

Nie wiedzieliśmy w San Francisco, co dzieje się po drugiej stronie zatoki w Oakland czy Berkeley. Wywierało to na nas jakiś niesamowity i przynębiający wpływ. Człowiek miał uczucie, że przebywa przy zwłokach jakiegoś niebywałego, kosmicznego olbrzyma. Tętno kraju przestało bić. I w pewnym sensie naród rzeczywiście zmarł. Nie rozlegał się na ulicach, zwykły turkot wozów, nie było słyhać gwizdków fabrycznych ani wołania małych gazeciarzy, nie widać było tramwajów — tylko z rzadka przemykały postacie przechodniów idących niczym zjawy, przynębionych i jakby nierzeczywistych wśród powszechnego milczenia.

Ale ten tydzień milczenia był dobitną lekcją dla oligarchii. I dobrze się jej wyuczyła. Strajk powszechny potraktowała jako ostrzeżenie, jako coś, co nie powinno nigdy się powtórzyć. Oligarchia postanowiła tego dopilnować.

Po upływie tygodnia telegrafisci w Niemczech i Stanach Zjednoczonych powrócili, jak było postanowione na swoje posterunki. Za ich pośrednictwem przywódcy socjalistyczni obydwu krajów przedłożyli władcom swoje ultimatum. Wojna musi być odwołana, inaczej zaś strajk (powszechny będzie trwał dalej). Bardzo szybko doszło do porozumienia. Wojnę odwołano i ludność obydwu krajów wróciła do pracy.

I oto przywrócenie pokoju doprowadziło do skutku sojusz między Niemcami i Stanami Zjednoczonymi. Właściwie był to sojusz między cesarzem niemieckim i oligarchią amerykańską, wymierzony przeciw wspólnemu wrogowi — rewolucyjnemu proletariatowi obydwu krajów. Był to ten właśnie sojusz, który oligarchia tak zdradziecko później zerwała, gdy socjaliści niemieccy powstali i obalili tron swego wojowniczego cesarza. Do tego jednak zmierzała także i oligarchia — do zniszczenia wielkiego konkurenta na rynkach światowych. Po usunięciu cesarza Niemcy nie miałyby już nadwyżek do sprzedania za granicą. Dzięki samej naturze państwa socjalistycznego ludność Niemiec zużywałaby wszystko, co wytworzy. Oczywiście wymieniałyby niektóre towary w zamian za takie, jakich by nie produkowała. Ale to byłoby czymś zupełnie odmiennym od nie dającej się zużyć nadwyżki.

— Założę się, że oligarchia znajdzie sobie pełne usprawiedliwienie — rzekł Ernest, gdy dowiedzieliśmy się o zdradzie wobec cesarza niemieckiego. — Jak zwykle będzie przekonana, że

postąpiła słusznie.

Istotnie tak było. Oligarchia ogłosiła wszem wobec, że postąpiła dla dobra narodu amerykańskiego, którego interesy stawia ponad wszystko. W rzeczywistości zaś wyzbyła się znieawidzonego rywala na rynkach światowych i mogła dzięki temu sprzedawać na tych rynkach nadwyżki amerykańskie.

— Potworność tego szaleństwa leży w naszej bezsile — rzekł Ernest. — Nie możemy przeszkodzić, by tacy idioci naprawdę rozstrzygali o naszych sprawach. Sprzedajemy teraz więcej za granicą, co znaczy, że będziemy musieli jeszcze bardziej zacisnąć pasa u siebie; jeszcze mniej spożywać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

POCZĄTEK KOŃCA

Już w styczniu 1913 roku Ernest trafnie przewidział rozwój wypadków. Nie mógł jednak otworzyć oczu innym przywódców socjalistycznych na oglądaną przez siebie wizję Żelaznej Stopy. Tamci wszyscy byli zbyt pewni swej siły. A wypadki zmierzały gwałtownie do przesilenia. W stosunkach światowych nastąpił ostry kryzys. Oligarchia amerykańska władała niepodzielnie rynkiem światowym i wyparła z niego całe mnóstwo państw z nie zużytą i nie dającą się sprzedać nadwyżką. Dla tych krajów jedyną drogą była zupełna przebudowa. Nie mogły trwać przy dotychczasowej metodzie wytwarzania nadwyżek. Ustrój kapitalistyczny w tych krajach załamał się całkowicie.

Przebudowa odbyła się tam w drodze rewolucji. Nadszedł czas zamętu i gwałtów. Rządy i organizacje państwowe załamywały się i rozpadały. Mimo to z wyjątkiem dwóch czy trzech krajów władcy kapitalistyczni wszędzie walczyli zaciekle o władzę i posiadanie. Walczący proletariat odebrał im jednak rządy. Wypełniały się słowa Karola Marksa: „Bije dzwon pogrzebowy dla kapitalistycznej własności prywatnej. Wywłaszczyciele są wywłaszczeni”. A w miarę jak upadały rządy kapitalistyczne, wszędzie na ich miejsce powstawały państwa spółdzielcze.

„Dlaczego Stany Zjednoczone pozostają w tyle?“, „Do dzieła, rewolucjoniści amerykańscy!“, „Co się stało z Ameryką?“ — takie wezwania otrzymywaliśmy ciągle od naszych zwycięskich towarzyszy z innych krajów. Ale my nie mogliśmy pójść ich śladem. Na przeszkodzie stała oligarchia. Jej kadłub, niczym olbrzymi potwór, tarasował nam drogę. „Zaczekajcie, aż wiosną przejmujemy urzędy — odpowiadaliśmy — a wtedy zobaczycie“.

Słowa te osłaniały naszą tajemnicę. Pozyskaliśmy Partię Rolną, która wiosną miała przejąć władzę w dwunastu stanach na mocy ostatnich wyborów jesiennych. Z tą chwilą miało natychmiast powstać dwanaście stanów spółdzielczych. A potem reszta byłaby już łatwa.

— A co zrobimy, jeśli Partia Rolna nie zdoła objąć władzy? — zapytał Ernest, lecz jego towarzysze nazwali go tylko złowróbnym puszczykiem.

Nieemożność przejęcia władzy nie była jednak głównym niebezpieczeństwem, jakie Ernest miał na myśli. Przewidywał on jeszcze co innego: odpadnięcie wielkich związków zawodowych i powstanie kast.

— Ghent nauczył oligarchów, jak mają to zrobić — mówił Ernest. — Założę się, że zrobili sobie elementarz postępowania z jego „Dobroczynnego feudalizmu“.

Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, kiedy po gorącej dyskusji z kilku przywódcami robotniczymi Ernest zwrócił się do mnie i powiedział spokojnie:

— To rozstrzyga sprawę. Żelazna Stopa wygrała. Koniec jest już bliski.

Było to w czasie małego i nieoficjalnego spotkania w naszym mieszkaniu. Ernest, podobnie jak reszta jego towarzyszy, zabiegał o gwarancje ze strony przywódców związkowych, że w przyszłym strajku powszechnym wycofają swoich ludzi z pracy. Spośród sześciu przybyłych na spotkanie przywódców związkowych w sposób najbardziej stanowczy odmówił takich gwarancji prezes Związku Mechaników, O'Connor.

— Przekonaliście się — nalegał Ernest — że biją was na głowę, kiedy stosujecie starą taktykę zwyczajnych strajków i bojkotu.

O'Connor i wszyscy pozostali skinęli głowami.

— I przekonaliście się — ciągnął Ernest — jakie wyniki daje strajk powszechny. Powstrzymaliśmy wojnę z Niemcami. Nigdy nie było tak wspaniałego pokazu solidarności i potęgi klas pracujących. Klasy pracujące mogą i będą rządzić światem. Jeżeli wytrwacie przy nas, skończymy z panowaniem kapitalizmu. To jedyna dla was możliwość. A resztą sami o tym najlepiej wiecie. Wiecie, że nie ma innej drogi. Cokolwiek zrobicie trzymając się starej taktyki — skazani jesteście na klęskę. Już choćby dlatego, że władcy kraju mają w swych rękach sady.

— Zbyt prędko pan jedzie — odparł O'Connor. — Skąd pan wie, że nie ma innej drogi? A właśnie że jest. Wiemy, co robimy. Mamy już dosyć strajków. Właśnie przez te strajki pobito nas na kwaśne jabłko. Ale myślę, że w przyszłości już nigdy nie będziemy musieli wzywać naszych ludzi do strajku.

— Więc jakie jest wasze wyjście? — zapytał bez dalszych ceregieli Ernest.

O'Connor zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Mogę panu tyle tylko powiedzieć, że nie zasypialiśmy gruszek w popiele, a i teraz nie oddajemy się marzeniom.

— Spodziewam się, że to nie jest coś, do czego balibyście się czy wstydzili przyznać — prowokował go Ernest.

— Chyba sami najlepiej wiemy, co mamy robić — odparł tamten.

— Ciemna to jakaś robota, jeśli trzeba się z nią kryć — rzucił Ernest z rosnącym gniewem.

— Nasze doświadczenie opłaciliśmy potem i krwią — rzekł O'Connor — więc mamy prawo postąpić, jak będzie dla nas najlepiej. Bliższa koszula ciała i każdy dbać musi o siebie.

— Jeśli pan boi się wskazać wyjście, jakie znaleźliście, to ja je panu wskażę. — Ernest kipiał już gniewem. — Złakomiliście się na udział w grabieży. Dogadaliście się z nieprzyjacielem, oto coście zrobili. Zapredaliście sprawę ludzi pracy, wszystkich ludzi pracy. I uciekacie z pola bitwy jak tchórze.

— Nic panu nie powiedziałem i nie powiem — odmruknął niechętnie O'Connor. — Ale powtarzam, że wiemy lepiej od pana, co jest dla nas dobre.

— A nawet za grosz nie dbacie o to, co jest dobre dla całej reszty ludzi pracy. Posyłacie ich do wszystkich diabłów.

— Nic panu nie powiedziałem i nic panu nie powiem — powtórzył O'Connor. — Tyle tylko, że jestem prezesem Związku Mechaników i moim obowiązkiem jest dbać o ich interesy. To wszystko.

Przywódcy związkowi wyszli. A wtedy Ernest, spokojny tym spokojem, jaki daje świadomość nieuchronnej klęski, nakreślił przede mną. bieg przyszłych wydarzeń.

— Socjaliści — rzekł — wyczekiwali z radością dnia, kiedy zorganizowany świat pracy, pokonany na polu gospodarczym, przejdzie na pole działań politycznych. Otóż dzień ten już nadszedł. Żelazna Stopa zadała związkom zawodowym klęskę na polu gospodarczym i wyparła je na teren polityki. Ale fakt ten zamiast być dla nas źródłem radości stanie się źródłem nieszczęść. Żelazna Stopa dobrze zapamiętała lekcję, jaką jej daliśmy. Wykazaliśmy naszą potęgę w strajku powszechnym. Podjęła więc kroki, by zapobiec nowemu strajkowi powszechnemu.

— Jakie kroki? — spytałam.

— Po prostu udzieliła subwencji największym związkom zawodowym. Związki te nie zechcą przystąpić do nowego strajku powszechnego. I dlatego strajk taki nie dojdzie do skutku.

— Ale Żelazna Stopa nie może w nieskończoność ponosić tak wielkich kosztów — rzekłam nie dając za wygraną.

— Ach, przecież nie płaci subsydiów wszystkim związkom. Tego nie potrzebuje robić. Powiem ci zresztą, co teraz nastąpi. Nastąpi podwyżka płac i skrócenie godzin pracy dla związków

kolejowych, dla metalowców, mechaników i maszynistów. Dla nich warunki pracy będą więc nadal korzystne. I członkostwo tych związków stanie się czymś jak dopuszczenie do raję.

— Zgoda, ale wciąż jeszcze nie widzę, co stanie się z innymi związkami. Przecież te, które wymieniałeś, obejmują znacznie mniej robotników niż reszta.

— Reszta związków będzie starta na miazęę. I to bez żadnego wyjątku. Zrozum, że kolejarze, mechanicy, maszyniści i metalowcy wykonują wszystkie najważniejsze prace w naszej zmechanizowanej cywilizacji. Mając zapewnione ich posłuszeństwo, Żelazna Stopa może nic sobie nie robić z reszty robotników. Żelazo, stal, węgiel, maszyny i transport tworzą fundament całej przemysłowej budowy.

— Dobrze, więc jak będzie z węglem? — spytałam. — Jest przecież blisko milion górników.

— Tak, ale prawie wszyscy to robotnicy niekwalifikowani. A tacy się nie liczą. Zarobki ich pójdą w dół, a godziny pracy będą zwiększone. Będą niewolnikami jak cała reszta i będą traktowani najgorzej bodaj z nas wszystkich. Będą musieli pracować, tak jak farmerzy muszą dzisiaj pracować na swoich panów, którzy zagrabili ich ziemię. I taki sam los czeka inne związki poza tymi, które dopuszczono do zmywy z Żelazną Stopą. Zobaczysz sama, jak będą rozpadać się na strzępy, a ich członkowie staną się niewolnikami. Do pracy zaganiać ich będą puste żołądki i przepisy karne.

A może chcesz wiedzieć, co będzie z Farleyem i jego łamistrajkami? Powiem ci. Łamistrajki nie będą miały nic do roboty, bo nie będzie już strajków. Zamiast strajków będą tylko bunty niewolników. Farley i jego kompania awansują na dozorców niewolników. Oczywiście, nazywać się to będzie całkiem inaczej. Nazwą to stosowaniem przepisów o obowiązku pracy. A zdrada wielkich związków tylko przedłuży walkę. Tylko Bóg raczy wiedzieć, kiedy i gdzie zwycięży Rewolucja.

— Ale wobec takiej potęgi, jak zmywa oligarchii i wielkich związków, czy można mieć nadzieję, że Rewolucja kiedykolwiek zwycięży? — spytałam. — Czy ta potęga nie będzie trwać wiecznie?

Ernest potrząsnął głową.

— Jeden z naszych podstawowych wniosków brzmi, że wszelki ustrój oparty na podziale klasowym i kastowym zawiera w sobie załążki własnej zagłady. Żaden ustrój klasowy nie może zapobiec powstawaniu kast. Żelazna Stopa też temu nie zapobiegnie i w końcu kastowość zniszczy Żelazną Stopę.

Oligarchowie już rozwinęli kastowość wśród siebie. A to samo nastąpi z czasem i wśród uprzywilejowanych związków. Żelazna Stopa użyje całej swojej potęgi, aby temu przeszkodzić, lecz to się jej nie uda.

Do uprzywilejowanych związków należy kwiat robotników amerykańskich. Tędy ludzie, zdolni, wydajni. Zostali członkami związków zwyciężając w rywalizacji o pracę. Każdy zdolny robotnik w Stanach Zjednoczonych żywić będzie ambicję zostania członkiem jednego z uprzywilejowanych związków. Oligarchia popierać będzie takie ambicje i wypływające z nich współzawodnictwo. Tak więc najtężsi ludzie, którzy inaczej staliby się rewolucjonistami, będą przeciągani na stronę oligarchii, a ta wykorzystywać będzie ich siłę dla wzmocnienia swej władzy.

Z drugiej strony kasty robotnicze, złożone z członków uprzywilejowanych związków, dążyć będą do przekształcenia swoich organizacji w zamknięte dla innych ciała. I to im się powiedzie. Przynależność do kast robotniczych stanie się dziedziczna. Synowie obejmować będą pracę po ojcach i nie będzie dopływu świeżych sił z tego niewyczerpanego źródła, jakim są szare masy ludzkie. Oznaczać to będzie wyradzanie się kast robotniczych, które stopniowo będą coraz słabsze. Jednocześnie zaś jako instytucja staną się przejściowo wszechwładne. Będą niczym gwardia pretoriańska w starożytnym Rzymie. Rozpoczną się przewroty pałacowe, dzięki którym kasty robotnicze uchwycą władzę w swe ręce. Będą także pałacowe kontrrewolucje oligarchów i władza

w ten sposób przechodzić będzie z rąk do rąk. A przez cały ten czas wzrastać będzie nieuchronnie zwyrodnienie kast. Toteż w końcu szare masy ludzkie dojdą jednak do głosu.

Ernest kreślił ten obraz powolnej ewolucji społecznej pod pierwszym przygnębiającym wrażeniem zdrady wielkich związków zawodowych. Nigdy też nie zgadzałam się z nim i nie zgadzam się teraz, kiedy piszę te słowa. Teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek. Bo właśnie teraz, choć Ernesta już nie ma, stoimy u progu powstania, które zmiecie wszystkie oligarchie. Podałam tu jednak przepowiednię Ernesta dlatego, że była to jego przepowiednia. Zresztą chociaż w nią wierzył, pracował jak tytan, by się nie sprawdziła. I jego przede wszystkim zasługą jest przygotowanie powstania, które w tej właśnie chwili czeka tylko na znak, by wybuchnąć.

— Jeżeli, jak mówisz, oligarchia się utrzyma — spytałam go tegoż wieczoru — co stanie się z wielkimi nadwyżkami, jakie co roku będą jej przypadać w udziale?

— Nadwyżki te trzeba będzie jakoś zużytkować — odparł — i możesz już polegać na oligarchach, że znajdą na to sposób.

Budować będą znakomite, wspaniałe drogi. Nauka, a zwłaszcza sztuka osiągną nadzwyczajne wyniki. Kiedy oligarchowie całkowicie już zapanują nad ludem, znajdą czas na wiele innych rzeczy. Staną się wyznawcami piękna. Będą miłośnikami sztuki. W myśl ich dyrektyw pracować będą znakomicie opłacani artyści. Nastąpi wielki rozwój sztuki. Artyści bowiem przestaną, tak jak do wczoraj, schlebiać mieszczańskim gustom klas średnich. Będzie to, zapewniam cię, wielka sztuka. Powstaną miasta tak świetne, że przy nich miasta dawniejsze wyglądać będą jak nędzne zbiorowiska bud. A w miastach tych mieszkać będą oligarchowie i wielbić piękno.

W ten sposób nadwyżki będą stale zużywane, a cały ciężar związanej z tym pracy przypadnie robotnikom. Przy wielkich robotach publicznych i budowie wspaniałych miast zatrudnione będą miliony zwykłych robotników otrzymujących głodową płacę. Olbrzymie nadwyżki wymagać będą jednak równie olbrzymich wydatków i oligarchowie budować będą co najmniej przez tysiąc lat. Co mówię — przez dziesięć tysięcy lat! Wznosić będą budowle, o jakich nie śniło się nawet Egipcjanom i Babilończykom. A gdy oligarchowie znikną już z powierzchni ziemi, ich znakomite drogi i fantastyczne miasta obejmie braterstwo świata pracy, który żyć będzie w tych miastach i jeździć po tych drogach.

Oligarchowie będą tak postępować po prostu dlatego, że nie potrafią inaczej. Zużytkowanie przez nich nadwyżek przyjmie postać wielkich budowli, zupełnie tak samo jak w starożytnym Egipcie, gdzie klasy rządzące wydawały nadwyżki, zagrabione ludowi, na budowę świątyń i piramid. Tylko zamiast klasy kapłańskiej pod rządem oligarchów kwitnąć będzie klasa artystów. A miejsce kupieckiej warstwy burżuazji zajmą teraz kasty robotnicze. Poniżej zaś rozciągać się będzie przepaść, w której głodować, ropieć i gnić, i wiecznie się odnawiać będzie prosty lud, olbrzymia większość narodu. Aż w końcu, w dniu, którego nie znamy, prosty lud powstanie z głębin przepaści. Rozpadną się wówczas kasty (robotnicze i cała oligarchia. I wreszcie, po nieskończonej długich wiekach cierpienia i znoju, nadejdzie dzień prostego człowieka. Myślałem, że dnia tego dożyję. Teraz jednak wiem, że nigdy nie będę go oglądał. Urwał, popatrzył na mnie i dodał:

— Ewolucja społeczna jest przeraźliwie powolna, prawda, najdroższa?

Wzięłam go w ramiona, a Ernest złożył głowę na mojej piersi.

— Zaśpiewaj mi do snu — wyszeptał jak kapryśne dziecko. — Miałem jakieś widzenia, ale chciałbym o nich zapomnieć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

OSTATNIE DNI

Pod koniec stycznia 1913 oligarchia ujawniła publicznie zmianę swojej postawy wobec związków, które miały być uprzywilejowane. Dzienniki podały wiadomość o niebywałej wyższej płacie i skróceniu godzin pracy dla kolejarzy, hutników, metalowców, maszynistów i mechaników. Ale całej prawdy nie powiedziano. Oligarchowie nie ośmielili się na to pozwolić. W rzeczywistości zaś zwykła płaca była znacznie większa, niż ogłoszono, i odpowiednio większe były też przywileje. Wszystko to miało pozostać tajemnicą. Ale i tajemnice wychodzą na jaw. Członkowie uprzywilejowanych związków zwierzyli się swoim żonom, żony zaczęły o tym przebąkiwać i wkrótce już cały świat pracy wiedział, co się stało.

Było to tylko logiczne rozwinięcie proceduru znanego w XIX wieku pod nazwą udziału w łupach. W czasie walk przemysłowych owego czasu próbowano wprowadzić udział w zyskach. Innymi słowy, kapitaliści chcieli przeciągnąć na swoją stronę robotników przez finansowe zainteresowanie ich w wykonywanej pracy. Lecz udział w zyskach, jako zasada ustroju, był śmieszny i nierealny. W warunkach walk przemysłowych można go było stosować tylko sporadycznie. Gdyby bowiem cały świat pracy i cały świat kapitału brały udział w zyskach, stosunki byłyby takie same jak wtedy, kiedy podziału zysków wcale nie było.

Tak więc z niewykonalnego pomysłu udziału w zyskach zrodził się wykonalny pomysł udziału w grabieży. Część silnych związków zawodowych wysunęła hasło „Dajcie nam wyższe płace, a kosztami obciążcie ogół”. Taka egoistyczna polityka zdobywała tu i ówdzie powodzenie. Przerzucanie kosztów na ogół było przerzucaniem ich na szerokie masy robotników nie zorganizowanych i słabo zorganizowanych. W rezultacie pokrywali oni podwyżkę płac swoich silniejszych braci należących do związków, które miały monopol na pracę. I zmowa oligarchów z uprzywilejowanymi związkami była, jak już wspomniałam, wysnuciem wniosków logicznych, tylko na wielką skalę, z dawniejszego pomysłu.

Zaledwie tajemnica zdrady związków uprzywilejowanych wyszła na jaw, w całym świecie pracy zaczęły się szerzyć głośnie szemrania i narzekania. Zaraz potem związki te wystąpiły z organizacji międzynarodowych i zerwały wszelkie sojusze z innymi związkami. Wówczas nastąpiły zamieszki i gwałty. Członków uprzywilejowanych związków piętnowano wszędzie jako zdrajców, a ich towarzysze, których tak podstępnie opuścili, napadali na nich w szynkach i spelunkach, na ulicy i w miejscu pracy i wszędzie, gdzie tylko mogli.

Rozbijano sobie nawzajem głowy i było bardzo wielu zabitych. Żaden członek związków uprzywilejowanych nie czuł się bezpiecznie. Zbierali się w grupy, aby iść razem do pracy i razem wracać. Chodzili zawsze tylko środkiem ulicy. Na chodniku głowy ich były narażone na rozbicie cegłami i kamieniami rzuconymi z okien i dachów. Pozwolono im nosić broń, a władze udzielały im wszelkiej pomocy. Ich prześladowców skazywano na długoletnie więzienie, gdzie traktowano ich nad wyraz okrutnie. I oczywiście nikt poza uprzywilejowanymi związkami nie miał prawa mieć przy sobie broni. Naruszenie tego przepisu uznano za ciężkie przestępstwo i karano z odpowiednią surowością.

Ale rozruchy trwały i robotnicy mścili się dalej na zdrajcach. Niemal automatycznie wyrosły linie podziału kastowego. Dzieci robotników zdradzonych napadały na dzieci zdrajców, które w

końcu nie mogły bawić się na ulicy ani chodzić do szkół publicznych. Zerwano też stosunki z rodzinami zdrajców, a sklepikarz, który komukolwiek z nich sprzedałby żywność, podlegał bojkotowi.

W wyniku tego wszystkiego zdrajcy wraz z rodzinami, atakowani zewsząd, wyrobili w sobie ducha kastowego. Nie mogąc mieszkać bezpiecznie wśród zdradzonego proletariatu, przenieśli się do nowych osiedli przeznaczonych wyłącznie dla nich. Było to dowodem łaski ze strony oligarchów. Budowano dla uprzywilejowanych robotników piękne mieszkania, nowoczesne i higieniczne, otoczone mnóstwem zieleńców, a przylegające do rozległych parków i boisk. Dzieci ich chodziły do szkół specjalnie w tym celu budowanych, gdzie doskonaliły się w naukach stosowanych i wyższych rodzajach pracy fizycznej. Tak od samego początku powstała segregacja, z której nieuchronnie wyrosły kasty. Członkowie uprzywilejowanych związków stali się arystokracją pracy, oddzieleni zupełnie od całej reszty. Lepiej mieszkali, lepiej się ubierali i odżywiali i lepiej ich traktowano. A w podziale łupów brali udział z uczuciem zaciętej mściwości.

Reszta zaś klasy robotniczej była w tym samym czasie traktowana coraz gorzej. Wciąż pozbawiano ją różnych drobnych uprawnień i stale obniżano płace i poziom życia. Szkoły publiczne dla dzieci robotników były coraz gorsze i stopniowo zniesiono przymus nauczania. W młodszym pokoleniu liczba dzieci nie umiejących czytać i pisać rosła zastraszająco.

Owładnięcie rynkiem światowym przez Stany Zjednoczone przyniosło ruinę wszystkim pozostałym krajom. Instytucje i rządy wszędzie upadały lub ulegały zasadniczym przekształceniom. Niemcy, Włochy, Francja, Australia i Nowa Zelandia organizowały u siebie republiki spółdzielcze. Imperium Brytyjskie padało w gruzy, Anglia zaś nic nie mogła na to poradzić. W Indiach powstanie było w pełni rozwoju. Na całym kontynencie azjatyckim rozlegał się okrzyk: „Azja dla Azjatów!” Za tym hasłem kryła się Japonia, podżegając wszędzie rasę brunatną i żółtą przeciwko białej. Ale Japonia zmierzała, do urzeczywistnienia swych snów o imperium kontynentalnym i podburzając innych, u siebie zdławiła rewolucję proletariacką. Była to po prostu wojna kast, kulisów z samurajami, w której dokonywano egzekucji na dziesiątkach tysięcy kulisów-socjalistów. W walkach ulicznych w Tokio i w nieudanym ataku na pałac mikada zginęło czterdzieści tysięcy ludzi. Kobe leżało w gruzach; rzeź robotników przędzalni, wymordowanych karabinami maszynowymi, stała się klasycznym przykładem egzekucji dokonywanej przy użyciu współczesnej broni. Ale najwięcej okrucieństwa przejawiała oligarchia japońska po dojściu do władzy. Japonia opanowała Wschód i zagarnęła dla siebie całą azjatycką część rynku światowego z wyjątkiem Indii.

Anglii udało się stłumić rewolucję proletariacką w kraju i utrzymać władzę w Indiach. Była jednak na skraju wyczerpania. Toteż musiała pozwolić, by wysunęły się jej z rąk wszystkie inne wielkie kolonie. Dlatego socjaliści zdołali przekształcić Australię i Nową Zelandię w państwa spółdzielcze. Równocześnie Kanada oderwała się od macierzy. Lecz Kanada zdławiła swoją rewolucję socjalistyczną dzięki pomocy Żelaznej Stopy. W tym samym czasie przy poparciu Żelaznej Stopy także Meksyk i Kuba zdławiły u siebie powstania. W rezultacie Żelazna Stopa rozciągnęła na dobre swe panowanie nad obszarami Nowego Świata. Cały kontynent Ameryki Północnej, od Kanału Panamskiego po Morze Arktyczne, scementowała w zwarty blok polityczny.

Za cenę poświęcenia innych wielkich kolonii Anglia zdołała zachować 'dla siebie wyłącznie Indie. Ale i to było chwilowe, gdyż walka o Indie z Japonią i resztą Azji uległa jedynie odroczeniu. Anglia skazana była na utratę Indii w niedalekiej przyszłości. A zdarzenie to oznaczać mogło początek walki między zjednoczoną Azją a resztą świata.

Gdy tak całym światem miotały konflikty, u nas, w Stanach Zjednoczonych, też nie panowała cisza ani pogoda. Zdrada wielkich związków uniemożliwiła nam rewolucję proletariacką, gwałty

jednak nie ustawały. Robotnicy burzyli się, trwał ferment wśród farmerów i niedobitków klasy średniej, a do tego wystąpiły jeszcze dziwaczne formy odrodzenia religijnego. Jedna z sekt adwentystów zdobyła nagle powszechny rozgłos zapowiadając zbliżanie się końca świata.

— Zamęt wśród zamętu! — wykrzyknął Ernest. — Jakże możemy liczyć na solidarność wobec tych różnych, sprzecznych ze sobą kierunków i dążeń?

Ruch odrodzenia religijnego przybrał rzeczywiście niebywale rozmiary. Ludzie zrozpaczeni beznadziejnością nędzy, zawiedzeni w gonitwie za rzeczami ziemskimi, garnęli się do tych, którzy obiecywali im niebo, dokąd tyranom przemysłowym byłoby równie trudno się dostać, jak wielbładowi przejść przez ucho igielne. Po całym kraju krążyli półobłąkani wędrowni kaznodzieje. I mimo zakazu władz cywilnych, mimo ostrych represji za przekraczanie zakazu odbywały się niezliczone zebrania religijne, rozpalając aż do białości ogień fanatyzmu.

Nadeszły ostatnie dni świata — wołali kaznodzieje — nadszedł początek końca. Z czterech stron rozpętały się wichry. Bóg podburzył narody, by walczyły ze sobą. Nastął czas wizji i cudów, zjawiły się całe legie prorokiń i jasnowidzów. Ludzie setkami tysięcy porzucali pracę i uciekali w góry, by tara czekać na bliskie już [przyjście Boga i wniebowstąpienie wybranych stu czterdziestu czterech tysięcy. Bóg jednak nie zstąpił na ziemię, a ludzie ginęli z głodu jak muchy. W ostatecznej rozpacz płądowali farmy poszukując żywności, wzniciło to zamieszki i rozpętało anarchię w okręgach wiejskich, przez co niedola biednych, wywłaszczonych farmerów jeszcze bardziej się wzmogła.

Poza tym zaś farmy i składy były własnością Żelaznej Stopy. Przeciw fanatykom wysłano oddziały wojska, które pod bagnietami zapędziły ich na powrót do pracy w mieście. Tu jednak tłumy wyrwały się spod straży dając początek nie ustającym rozruchom i zaburzeniom. Wtedy ich przywódców oskarżono o bunt i stracono lub zamknięto w domach obłąkanych. Skazańcy szli na śmierć z pogodą i radością dawnych męczenników. Obłąd stał się powszechny. Niepokoje szerzyły się jak pożar. Od Florydy aż po Alaskę resztki ocalałych Indian zbierały się na bagnach, pustyniach i odludziach, tańcząc tam jakieś widmowe tańce i czekając na swojego własnego Mesjasza.

A wśród tego wszystkiego wyrastał z przerażającym, niezmaconym spokojem i pewnością siebie przysły kształt tego potwora wieków — oligarchii. Żelazną dłonią i żelazną stopą dławiła buntujące się miliony, ład wyprowadzała z zamętu i z chaosu tworzyła zręby swojej władzy.

— Poczekajcie tylko, aż obejmiemy władzę — mówili przedstawiciele Partii Rolnej, a właściwie Calvin, w naszym mieszkaniu na Pell Street. — Widzicie, w ilu stanach zdobyliśmy większość głosów. Niech tylko obejmiemy urzędy, a z waszą, socjalistów, pomocą zmusimy ich do śpiewania zupełnie innej piosenki.

— Zbiedniałe i niezadowolone miliony to nasi ludzie — mówili socjaliści. — A przyłączyli się do nas farmerzy, Partia Rolna, klasa średnia i robotnicy rolni. Ustrój kapitalistyczny rozpadnie się na kawałki. Już za miesiąc wyślemy do Kongresu pięćdziesięciu przedstawicieli. A za jakie dwa lata wszystkie urzędy będą w naszym ręku, od prezydenta do zamiatacza ulic.

Lecz Ernest kręcił tylko głową na to wszystko i mówił:

— A ile też macie karabinów? Czy wiecie, gdzie zdobyć zapas amunicji? I pamiętajcie, że kiedy rozstrzyga proch, mieszaniny chemiczne lepsze są od mechanicznych. Możecie mi wierzyć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

KONIEC

Do Waszyngtonu pojechałam razem z Ernestem. Ale ojciec nam nie towarzyszył. Upodobał sobie życie proletariatu. Otaczając nas dzielnicę nędzy uważał za wielkie laboratorium socjologiczne. Opętał go szal badań, którym nie widać było kresu. Przyjaźnił się z robotnikami

i w wielu mieszkaniach był codziennym gościem. Podejmował się także różnych dorywczych zajęć, a praca ta była dla niego zarówno przyjemnością, jak i badaniami naukowymi. Był zachwycony tym wszystkim i zawsze wracał do domu z mnóstwem notatek i pełen nowych wrażeń. Stanowił wzór uczonego.

Praca jego nie była wcale konieczna, bo Ernest zarabiał przekładami tyle, że starczyło na nas troje. Ale ojciec obstawał przy swoim. Twierdził, że nie wyrzeknie się ścigania ulubionej fantazji. A musiała to być wiecznie zmienna fantazja sądząc z różnorodności jego zajęć. Nie zapomnę wieczoru, kiedy przyniósł do domu cały rynsztunek ulicznego sprzedawcy sznurowadeł i szelek. Ani też dnia, kiedy weszłam do narożnego sklepiku po zakupy i znalazłam ojca za ladą. Toteż nie zdziwiło mnie wcale, gdy później przez cały tydzień pompował piwo w barze naprzeciwko. Pracował jako dozorca nocny i jako przekupień uliczny, nalepiał etykiety w fabryce konserw, był sprzątaczem w fabryce opakowań, a wreszcie wozowodą przy budowie linii tramwajowej. Wstąpił nawet do Związku Pomywaczy, zanim związek się rozpadł.

Myślę, że przykład biskupa musiał pociągnąć ojca, zwłaszcza gdy chodziło o sposób ubierania się, bo nosił teraz tanią, bawełnianą koszulę robotniczą i parciane spodnie z wąskim rzemiennym paskiem. Z dawnego życia zachował jedno tylko przyzwyczajenie: zawsze przebierał się do obiadu czy ściślej mówiąc — kolacji.

Co do mnie — byłam szczęśliwa, bo z Ernestem wszędzie byłabym szczęśliwa. A dobre samopoczucie ojca w naszych, tak bardzo zmienionych warunkach dopełniało miary mojej szczęśliwości.

— Jako chłopiec — powiedział kiedyś ojciec — byłem bardzo ciekawy. Chciałem wiedzieć, skąd wszystko się bierze i co się z tym później dzieje. Dlatego zostałem fizykiem. Życie moje teraz jest równie ciekawe jak w dzieciństwie. A przecież to właśnie nadaje życiu wartość.

Czasami ojciec zapędzał się na północ od Market Street, do dzielnicy teatrów i wielkich magazynów. Sprzedawał tam gazety, chodził na posyłki i otwierał drzwiczki samochodów. Właśnie przy takiej okazji spotkał któregoś dnia Wicksona. Zdarzenie to opowiedział nam tegoż wieczoru z wielkim humorem.

— Wickson przyjrzał mi się uważnie, gdy zamykałem drzwiczki jego wozu, i mruknął: „A, do licha!” Nic, tylko „A, do licha!” Czerwony był jak rak i zmieszany tak bardzo, że zapomniał dać mi napiwek. Ale prędko musiał się opamiętać, bo wóz, ledwo odjechał, zawrócił i zatrzymał się przy mnie. Wickson uchylił drzwiczki.

— Profesorze — powiedział — tego już za wiele. Co mogę dla pana zrobić? .

— Zamknąłem drzwiczki — ja na to — więc według zwyczaju powinien pan dać mi dziesięć centów.

— Daj pan spokój! — parsknął. — Myślę o czymś poważnym.

Z pewnością mówił poważnie — może odezwało się w nim zatwardziałe sumienie. Toteż i ja

przez chwilę zastanawiałem się nad tym poważnie.

Kiedy zacząłem mówić, miał wyraz twarzy pełen oczekiwania. Ale trzeba było go widzieć, kiedy skończyłem.

— Mógłby pan — powiedziałem — oddać mi mój dom i moje udziały w Zakładach Sierra.

Ojciec zamilkł.

— A co on na to? — spytałam niecierpliwie.

— Cóż on? Cóż on mógł na to powiedzieć? Nic. Ale ja jeszcze dodałem: „Spodziewam się, że jest pan szczęśliwy”. Popatrzył na mnie bardzo dziwnym wzrokiem. A wtedy spytałem: „Powiedz mi pan, czy jesteś szczęśliwy?”

Wtedy Wickson krzyknął kierowcy „Jazda!” i odjechał klnąc na czym świat stoi. I w końcu nie dał mi tych dziesięciu centów, nie mówiąc już o domu i udziałach. Widzisz więc, moje dziecko, że uliczna kariera twego ojca pełna jest rozczarowań.

Tak więc ojciec pozostał w naszym mieszkaniu na Pell Street, a ja z Ernestem ruszyłam do Waszyngtonu. Choć nie nadszedł jeszcze sam koniec, stary porządek już właściwie nie istniał; agonia zaś była bliższa, niż mi się zdawało. Wbrew naszym oczekiwaniom socjaliści bez żadnych przeszkód zajęli miejsca w Kongresie. Wszystko odbyło się gładko, więc śmiałam się z Ernesta, który i w tym dopatrywał się złowróżbnych znaków.

Naszycy towarzyszy znaleźliśmy w dobrym nastroju, pełnych wiary w swe siły i nadziei na przyszłość. Przyłączyło się do nich kilku przedstawicieli Partii Rolnej i wspólnie opracowywano dokładne plany działania naszych zjednoczonych sił. Ernest brał w tym udział z energią i lojalnością, choć nie mógł się powstrzymać od powtarzania ni z tego, ni z owego: „Kiedy rozstrzyga proch, mieszaniny chemiczne lepsze są od mechanicznych; możecie mi wierzyć”.

Trudności wynikły najpierw w tych stanach, gdzie Partia Rolna zdobyła większość, a jej kandydatów wybrano na gubernatorów. Takich stanów było dwanaście. Ale nowi gubernatorzy nie mogli tam objąć urzędów. Ich poprzednicy nie chcieli ustąpić. Uczynili to w bardzo prosty sposób. Wysunęli jedynie zarzut nielegalności wyborów, a wówczas znalazło się dosyć kruczków prawnych, by całą sytuację, gmatwać w nieskończoność. Partia Rolna była bezsilna. Instancję ostateczną stanowiły sądy, a te były w ręku jej wrogów.

Nastąpiła chwila wysoce niebezpieczna. Gdyby oszukana Partia Rolna dopuściła się gwałtów, wszystko byłoby stracone. Jakże musieliśmy napracować się my, socjaliści, aby ich powstrzymać! Ernest po całych dniach i nocach ani na chwilę się nie zdrzemnął. Główni przywódcy Partii Rolnej widzieli niebezpieczeństwo i co do jednego stali po naszej stronie. Ale wszystkie wysiłki spełzły na niczym. Oligarchia pragnęła gwałtów i w tym celu posłała do roboty swoich prowokatorów. Nie ulega też kwestii, że Powstanie Chłopskie wywołali prowokatorzy.

Powstanie wybuchło w dwunastu stanach na raz. Wyłączeni farmerzy obejmowali przemocą urzędy. Było to oczywiście sprzeczne z konstytucją i oczywiście władze centralne wysłały przeciw powstańcom wojsko. A prowokatorzy wszędzie podburzali ludność. Emisariusze Żelaznej Stopy występowali w różnym przebraniu: jako rzemieślnicy, farmerzy czy robotnicy rolni. W Sacramento, stolicy Kalifornii, Partia Rolna zdołała utrzymać porządek. Wówczas nasłano na miasto tysiące tajnych agentów. Tłumy, z nich tylko złożone, krążyły ulicami paląc i grabiąc domy i fabryki. Agenci podbechtywali ludność tak długo, aż wreszcie przyłączyła się do grabieży. Whisky lała się w spelunkach i szynkach, rozdawano ją po ruderach, aby podniecić umysły. A gdy już wszystko było gotowe, zjawili się na scenie żołnierze armii amerykańskiej, którzy w gruncie rzeczy byli żołnierzami Żelaznej Stopy. Jedenaście tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zabito w Sacramento na ulicach lub wymordowano w mieszkaniach. Rząd państwowy przejął w swe ręce władzę rządu stanowego. I

wtedy dla Kalifornii wszystko się skończyło.

A tak jak w Kalifornii działo się też gdzie indziej. Każdy stan, w którym większość zdobyła Partia Rolna, został najpierw straszliwie złupiony, a potem zatopiony we krwi. Najpierw tajni agenci i bandy Czarnej Sotni wywoływały zamieszki, a potem wzywano wojsko. Rozruchy i rządy tłumy były klęską wszystkich okręgów wiejskich. Dniem i nocą płonęły farmy, składy, wioski i całe miasta, zasnuwając niebo chmurami dymu. Zaczęto używać dynamitu, wysadzano tunele i mosty, rozbijano pociągi. Nieszczęsnych farmerów rozstrzelowano i wieszano bez końca. W odwecie farmerzy mordowali plutokratów i oficerów. Serca ludzkie wypełniły się pragnieniem zemsty i krwi. Wojska regularne tępiły farmerów z równą zaciekłością, jak niegdyś tępiono Indian. Armia zresztą miała ku temu powody. Straciła dwa tysiące osiemset ludzi w strasznych wybuchach dynamitowych w stanie Oregon. W innej zaś okolicy taka sama liczba zginęła w potwornych katastrofach kolejowych. Toteż, nie tylko farmerzy, ale i wojsko walczyło o życie.

Władze wykorzystały także ustawę o milicji z roku 1903 i robotnicy jednego stanu musieli pod groźbą śmierci strzelać do swoich towarzyszy w innych stanach. Z początku, co prawda, ustawa ta nie działała sprawnie. Milicjanci wymordowali wielu oficerów, za co z kolei doraźne sądy wojskowe kazały stracić setki milicjantów. Przepowiednia Ernesta spełniła się całkowicie w wypadku Kowalta i Asmunsena. Obydwaj podlegali poborowi do milicji, obydwóch wcielono do służby i wysłano razem z ekspedycją karną odkomenderowaną z Kalifornii przeciw farmerom stanu Missouri. I Kowalt, i Asmunsen odmówili wykonania rozkazu. Załatwiono się z nimi szybko. Oddano ich pod doraźny sąd wojskowy, gdzie bez długich rozważań zapadł wyrok śmierci. Postawiono ich twarzą do muru i rozstrzelano.

Chcąc uniknąć służby w milicji, mnóstwo młodzieży uciekło w góry. Tam znaleźli się poza prawem i doczekali spokojniejszych czasów tylko po to, by spotkać się z tym straszliwszą zemstą. Rząd wydał proklamację wzywającą wszystkich posłusznych prawu obywateli do zejścia z gór na okres trzech miesięcy. Gdy wyznaczona data nadeszła, wysłano pół miliona żołnierzy do okręgów górskich. Nie było żadnych dochodzeń ani sądu. Każdego napotkanego człowieka rozstrzelowano na miejscu. Wojsko trzymało się założenia, że w górach nie pozostał żaden lojalny obywatel. Niektóre grupy młodzieży zajęły dogodnie do obrony pozycje i bardzo mężnie walczyły. Ale w końcu ich także spotkała śmierć.

Najbardziej wstrząsającą dla ludności „nauką” był jednak straszny los, jaki spotkał milicję stanu Kansas. Wielki Bunt Kamsaski wybuchł na samym (początku działań wojskowych przeciw Partii Rolnej. Zbuntowało się sześć tysięcy milicjantów. Od paru tygodni byli niespokojni i krnąbrni, i z tego powodu trzymano ich długi czas w obozie. Lecz bunt otwarty był bez wątpienia spowodowany przez agentów.

Milicjanci powstali w nocy na 22 kwietnia i wymordowali większość oficerów; nielicznym tylko udało się uciec. Wykraczało to poza plany Żelaznej Stopy, prowokatorzy okazali się zbyt gorliwi. Wszystko jednak, co działo się w owym czasie, było wodą na młyn Żelaznej Stopy. Przygotowana była na bunt, a wymordowanie tylu oficerów wykorzystała dla usprawiedliwienia dalszych swoich kroków. Jak spod ziemi wyrosło nagle dokoła obozu czterdzieści tysięcy żołnierzy wojsk regularnych. Buntownicy, zewsząd otoczeni, znaleźli się w pułapce. Nieszczęśni milicjanci przekonali się wkrótce, że ktoś dobrał się do ich broni maszynowej i że zdobyte przez nich naboje nie pasują do karabinów. Wywiesili wtedy białą chorągiew na znak, że chcą się poddać. Zignorowano to całkowicie. Po czym cały obóz, sześć tysięcy ludzi, wybito do nogi. Ani jeden nie został przy życiu. Zarzucono obóz szrapnelami, zasypano go gradem pocisków armatnich. A kiedy milicjanci, w ostatecznej rozpaczy, usiłowali przerwać otaczający pierścień, mordowano ich z broni maszynowej.

Rozmawiałam z naocznym świadkiem, który powiedział mi, że nikt z milicjantów nie zdołał zbliżyć się do gniazd karabinów maszynowych bardziej niż na dwieście kroków. Gdy już ziemia zasłana była trupami, kawaleria przypuściła końcową szarżę, miażdżąc rannych, kopytami koni i dobijając szablami.

Jednocześnie z pogromem Partii Rolnej doszło do powstania górników. Był to ostatni wysiłek zorganizowanego świata pracy. Blisko milion górników rozpoczęło strajk. Zbyt jednak rozproszeni po całym kraju, nie mogli wykorzystać w pełni swoich sił. Osaczono ich w poszczególnych okręgach i przemocą zmuszono do posłuszeństwa. Był to pierwszy wielki spęd niewolników. Pocock zdobył wtedy ostrogi poganiacza stad niewolniczych, a zarazem wiekuiłą nienawiść proletariatu. Urządzano niezliczone zamachy na jego życie, ale zdawał się mieć jakiś czar przeciw kulom. To on odpowiada za wprowadzenie rosyjskiego systemu paszportowego wśród górników i za odebranie im prawa przenoszenia się z jednej części kraju do drugiej.

Socjaliści tymczasem trzymali się mocno. Podczas gdy Partia Rolna skonała w ogniu i krwi, gdy zorganizowany świat pracy został całkowicie rozbity, socjaliści zdołali zachować zimną krew i wydoskonalili swoją tajną organizację. Na próżno Partia Rolna wzywała nas do udziału w powstaniu. Twierdziliśmy słusznie, że przystąpienie nasze do powstania byłoby samobójstwem dla całej Rewolucji. Żelazna Stopa z początku wahała się stawiać czoło całemu proletariatowi na raz. Obecnie przekonała się, że zadanie łatwiejsze jest, niż sądziła. Toteż marzyła, abyśmy wzięli udział w powstaniu. Zdołaliśmy jednak tego uniknąć, choć od prowokatorów po prostu roilo się w naszych szeregach. Za owych wczesnych dni agenci Żelaznej Stopy stasowali bardzo nieudolne metody. I zanim nauczyli się postępować bardziej umiejętnie, nasze bojówki sporo ich wytępiły. Było to ciężkie i krwawe zadanie. Ale toczyliśmy walkę na śmierć i życie, walkę o los Rewolucji. Musieliśmy więc zwalczać przeciwnika jego własną bronią. Mimo to postępowaliśmy uczciwie. Żaden z agentów Żelaznej Stopy nie został stracony bez sądu. Mogły się zdarzyć z naszej strony błędy, ale niezwykle rzadko. W skład bojówek weszli najdzielniejsi, najbardziej zdecydowani i zdolni do poświęceń towarzysze. Kiedyś, już po upływie dziesięciu lat, Ernest dokonał obliczeń na podstawie danych dostarczonych przez dowódców bojówek. Stwierdził wtedy, że przeciętna życia bojowca nie przekraczała lat pięciu. Byli to więc bohaterowie i tylko podziwiać trzeba, że sprzeciwiali się uśmiercaniu wrogów. Zabijali wbrew własnej naturze. A jednocześnie ukochali wolność i żadne poświęcenie na rzecz Sprawy nie wydawało im się zbyt wielkie.

Postawiliśmy sobie trojaki zadanie. Po pierwsze, usunięcie z naszych kół i organizacji tajnych agentów oligarchii. Po wtóre, zorganizowanie bojówek, a prócz tego ogólnej tajnej organizacji rewolucyjnej. Po trzecie zaś, wprowadzenie własnych tajnych agentów do wszystkich grup, na których wspierała się władza oligarchii: do kast robotniczych, a zwłaszcza telegrafistów, sekretarek i kancelistów, do armii, a wreszcie do środowisk prowokatorów i poganiaczy niewolników. Była to praca powolna, trudna i niebezpieczna i często nasze wysiłki dawały w wyniku kosztowną klęskę.

Żelazna Stopa zwyciężyła w otwartej walce. Ale zdołaliśmy wytrwać w nowych, zastosowanych przez nas, podziemnych formach walki, dziwnej i okrutnej. Wszelkie działania były tu niewidoczne, wiele rzeczy zostało nieodgadnionych na zawsze. Było to, jakby ślepcy walczyli ze ślepcami. A jednak panował tu jakiś ład, celowość i system. Nasi agenci przeniknęli do całej organizacji Żelaznej Stopy, podczas gdy agenci Żelaznej Stopy przeniknęli do naszej. Była to walka toczona w ciemnościach i krętymi drogami, pełna spisków i przeciwspisków, intryg i konspiracji. A poza tym wszystkim czaiła się bezustannie śmierć, nagła i straszliwa. Ludzie znikali, nie wiadomo kiedy i jak, nasi najbliżsi, najdrożsi towarzysze. Widzieliśmy ich dzisiaj, a nazajutrz już ich nie było. I nigdy potem nikt ich nie widział, wiedzieliśmy, że nie żyją.

Nikt nikomu nie wierzył, wszelkie zaufanie zanikło. Wiedzieliśmy, że człowiek, który spiskuje wraz z nami, może być zarazem agentem Żelaznej Stopy. Z pomocą naszych agentów podminowaliśmy organizację Żelaznej Stopy, ale Żelazna Stopa przeciwdziałała temu umieszczając tajnych swych kontragentów we własnej organizacji. A to samo działo się u nas. Mimo zaś braku wszelkiego zaufania i wiary musieliśmy oprzeć wszystkie nasze wysiłki na wierze i zaufaniu. Często nas zdradzano. Ludzie byli słabi, Żelazna Stopa mogła kusić pieniędzmi, wygodami, mnóstwem uciech i przyjemności, jakie czekały wśród wspaniałości budowanych przez nią cudownych miast. My nie mogliśmy ofiarować nic prócz zadowolenia, jakie daje wierność szlachetnym ideałom. A resztę zapłaty za wytrwanie przy nas stanowiło ciągle niebezpieczeństwo, tortury i śmierć.

Ludzie byli słabi. I właśnie dlatego musieliśmy za słabość wymierzać jedyną zapłatę, jaka pozostała nam jeszcze w ręku. Tą zapłatą była śmierć. Z konieczności musieliśmy karać zdrajców. Jeśli ktoś nas zdradził, los jego powierzaliśmy trosce dwunastu mścicieli. Mogło się nam nie powieść wykonanie wyroku na wrogach, takich jak Pocock i jego następcy. Ale tej jednej rzeczy byliśmy pewni: że każdy wyrok na własnych zdrajcach będzie wykonany. Za naszą zgodą inni towarzysze szli drogą zdrady, aby przedostać się do słynnych cudownych miast i tam rozprawić z rzeczywistym zdrajcą. I w końcu nasze ramię stało się tak groźne, że większym niebezpieczeństwem było zdradzić nas niż pozostać nam wiernym.

Rewolucja przemieniła się jakby w rodzaj religii. Trwaliśmy przy jej ołtarzu, który był ołtarzem wolności. Stamtąd spływała na nas iskra boskości. Mężczyźni i kobiety ofiarowywali życie na służbę sprawie, poświęcano jej niemowlęta, jak za dawnych wieków poświęcano, je Bogu. Tak ukochaliśmy Ludzkość.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

SZKARŁATNA LIBERIA

Partia Rolna, po zniszczeniu jej w poszczególnych stanach, znikła z Kongresu. Przedstawiciele jej oskarżono o zdradę, a ich miejsce oddano zausznikom Żelaznej Stopy. Socjaliści tworzyli teraz żalosną mniejszość i wiedzieli, że ich koniec się zbliża. Kongres i Senat stały się farsą, pustą dekoracją. Dyskutowano z powagą o sprawach publicznych i podejmowano uchwały zgodnie z dawną procedurą. Ale w rzeczywistości wszystko to miało na celu nadać konstytucyjne pozory decyzjom oligarchii. Ernest był w samym gąszczu walki, kiedy nadszedł koniec. Stało się to w okresie debaty nad ustawą o zasiłkach dla bezrobotnych. Kryzys poprzedniego roku rzucił ogromne masy proletariatu dosłownie na pastwę głodu, a bezustannie szerzące się wszędzie rozruchy pogorszyły jeszcze ich położenie. Głodowały miliony, podczas gdy oligarchowie i ich stronnicy opływali w nadwyżki. Wygłodniałych nędzarzy nazywaliśmy ludem otchłani. Socjaliści wnieśli ustawę o bezrobociu właśnie, by ulżyć jego doli. Lecz nie odpowiadało to zamiarom Żelaznej Stopy. Planowała ona zatrudnienie beczynnych milionów ludzi, ale obrała po temu własną drogę, daleką od naszej. A wobec tego nakazała odrzucić nasz wniosek. Ernest i towarzysze wiedzieli, że ich wysiłki są płonne, dość już jednak mieli niepewności. Chcieli, aby coś się wreszcie zdarzyło. Nie byli zdolni nic przeprowadzić w Kongresie. W najlepszym razie mogli położyć kres farsie ustawodawczej, w której chcąc nie chcąc musieli brać udział. Nie wiedzieli, jak ów kres będzie wyglądał, ale nigdy nie spodziewali się takiej katastrofy, jaka nastąpiła.

Tego dnia siedziałam na galerii. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że zanoszą się na coś strasznego. Zawisło to w powietrzu, a widomą oznakę stanowili uzbrojeni żołnierze, których wyciągnięte szeregi stały w korytarzach, oraz oficerowie zgrupowani przy wszystkich wejściach do sali obrad. Oligarchia gotowała się do zadania ciosu. Właśnie przemawiał Ernest. Opisywał cierpienia bezrobotnych, jak gdyby w jakiejś szaleńczej nadziei, że wzruszy serca i sumienia oligarchów. Lecz z ław republikanów i demokratów padały tylko drwiny i szyderstwa, a po chwili wszczął się zgiewek i zamieszanie. Wtedy Ernest gwałtownie zmienił front.

— Nie znane mi są słowa zdolne na was wpłynąć — powiedział. — Nie macie serc, do których można przemówić. Nie macie kośćca i nie macie oblicza. Ostentacyjnie nazywacie siebie republikanami i demokratami. Ale nie ma Partii Republikańskiej. Nie ma Partii Demokratycznej. Nie ma ani republikanów, ani demokratów w tej izbie. Jesteście lizusy i stręczyciele, nędzne twory na służbie plutokracji. Z waszych ust płyną potoki wyświechtanych frazesów o wolności, a na sobie macie szkarłatną liberię Żelaznej Stopy.

W tym momencie wrzawa i okrzyki „spokój!” zagłuszyły całkowicie Ernesta, który stał i czekał wzdornie, aż hałas nieco 'Ucichnie. Ręką zatoczył krąg wskazując ich wszystkich, przy czym zwrócił się do swych towarzyszy ze słowami:

— Czy słyszycie ryki spasionych bestii?

Wtedy zapanował tumult nieopisany. Jakby piekło się rozpętało. Przewodniczący wciąż przywoływał Izbę do porządku i rzucał pytające spojrzenia oficerom przy drzwiach. Rozległy się okrzyki „To bunt!”, a pewien zwalisty i tłusty kongresman z Nowego Jorku zaczął wrzeszczeć w stronę Ernesta: „Anarchista!” Ernest też zresztą nie miał miłego wyrazu twarzy. Sprawiał wrażenie rozjuszonego zwierzęcia i każdy nerw w nim dygotał. Zachował jednak spokój i opanowanie.

— Pamiętajcie — zawołał głosem, który wzniósł się wysoko ponad wrzawę — że takie same względy, jakie wy macie dziś dla proletariatu, proletariatu pewnego dnia mieć będzie dla was!

Okrzyki: „bunt!”, „anarchista!” wybuchły z podwójną siłą.

— Wiem, że nie będziecie głosować za tą ustawą — ciągnął Ernest. — Otrzymaliście rozkaz od waszych panów, aby głosować przeciw. I wy macie śmiałość nazywać mnie anarchista. Wy, którzy zniszczyliście rządy ludu i którzy bezwstydnie paradowacie w waszej szkarłatnej liberii, nazywacie mnie anarchista. Nie wierzę w ogień piekielny i siarkę. Ale w chwilach takich jak ta żałuję mej niewiary. W chwilach takich jak ta bliski jestem nawet uwierzenia w piekło. Bo musi być gdzieś piekło, abyście mogli otrzymać tam karę odpowiednią do waszych zbrodni. Wszechświat będzie potrzebował piekła tak długo, pokąd wy istnieć będziecie.

Jakiś ruch wszczął się we drzwiach. Ernest, przewodniczący i wszyscy członkowie Izby zwrócili się w (tamtą stronę).

— Dlaczego, panie przewodniczący, nie wzywa pan swoich żołnierzy? — spytał Ernest. — Dlaczego nie każe im pan, by robili swoje? Szybko uporają się z wykonaniem pańskiego planu.

— Szykują się tu jeszcze inne plany — odparł przewodniczący. — Dlatego sprowadzono żołnierzy.

— Czyżby nasze plany? — rzekł Ernest z szyderstwem. — Morderstwo czy coś pokrewnego?

Na dźwięk słowa „morderstwo” zgiełk wybuchł od nowa. Ernest nie mógł przemawiać, stał jednak w miejscu, czekając na ciszę. I wtedy właśnie stało się tamto. Z galerii nie zobaczyłam nic poza odblaskiem wybuchu. Straszny huk napęłnił mi uszy. Dostrzegłam tylko, że Ernest zachwiał się i pada wśród kłębow dymu, a żołnierze pędzą do niego ze wszystkich stron sali. Towarzysze Ernesta zerwali się na nogi, nieprzytomni z gniewu, gotowi na wszystko. On jednak zdołał na chwilę się podnieść i dał ręką znak prosząc o spokój.

— To spisek! — zawołał. — Zachowajcie spokój, bo inaczej zginiecie!

Zdążył ich jeszcze ostrzec, po czym opadł na ziemię i został otoczony przez żołnierzy. Inny oddział zaczął od razu opróżniać galerię i nic już nie widziałam.

Chociaż był moim mężem, nie pozwolono mi go zobaczyć. Gdy powiedziałam, kim jestem, natychmiast mnie aresztowano. A jednocześnie aresztowano co do jednego socjalistycznych członków Kongresu, łącznie z biedakiem Simpsonem, który leżał w hotelu chory na tyfus.

Rozprawa odbyła się szybko i trwała bardzo krótko. Los wszystkich z góry był przesądzony. Pojąć nie mogę, że Ernesta nie stracono już wtedy. Był to błąd ze strony oligarchii, błąd, który ją dużo kosztował. W owym czasie jednak oligarchia czuła się zbyt pewna siebie. Upojona zwycięstwem, nie mogła sobie nawet wyobrazić, że ta drobna garść bohaterów zdoła wstrząsnąć jej władzą aż do fundamentów. Jutro, kiedy wybuchnie wielkie powstanie i cały świat będzie rozbrzmiewać krokiem milionów, oligarchia zrozumie, ale zbyt późno, na jaką potęgę wyrosła garstka bohaterów.

Sama jestem rewolucjonistką i należę do naszego koła (tych, którym znane są nadzieje, obawy i najtajniejsze plany organizacji rewolucyjnej. Jak mało kto powołana więc jestem do udzielenia odpowiedzi na zarzut, jakoby oni byli sprawcami wybuchu bomby w Kongresie. I mogę stanowczo stwierdzić, bez żadnych zastrzeżeń czy wątpliwości, że socjaliści, w Kongresie i poza nim, nie mieli z tym nic wspólnego. Kto rzucił bombę, nie wiemy. Jednego tylko jesteśmy całkowicie pewni: że nie uczynił tego nikt z nas.

Z drugiej strony są poszlaki, że zamach był dziełem Żelaznej Stopy. Wykazać tego, rzecz jasna, nie możemy. Nasz wniosek jest tylko domniemaniem. Podam jednak znane nam fakty. Przewodniczący Izby otrzymał doniesienie tajnych agentów rządowych, że socjaliści zamierzają uciec się w

Kongresie do taktyki terrorystycznej i że wyznaczyli już dzień, w którym do tej taktyki przejdą. Był to ten sam dzień, w którym nastąpił wybuch. Wobec tego w oczekiwaniu wydarzeń zmasowano wojska na Kapitolu. Ponieważ zaś my nic nie wiedzieliśmy o bombie, a bomba mimo to rzeczywiście wybuchła, dalej ponieważ władze przygotowały się z góry na ten wypadek — jedynym słusznym wnioskiem jest, że Żelazna Stopa wiedziała o przygotowaniu wybuchu. Co więcej, oskarżamy Żelazną Stopę o przestępstwo: o przygotowanie i dokonanie zamachu w tym celu, aby winę przerzucić na nasze ramiona i w ten sposób ściągnąć na nas zagładę.

Wiadomość o doniesieniu przedostała się od przewodniczącego do wszystkich kreatur w Izbie noszących szkarłatną liberię. Kiedy Ernest przemawiał, wiedzieli, że ma nastąpić jakiś akt gwałtu. I trzeba im przyznać, że naprawdę uwierzyli, jakoby tego gwałtu mieli dopuścić się socjaliści. W czasie (rozprawy niektórzy z nich z najgłębszym przekonaniem zeznali, że widzieli, jak Ernest zamierzył się, by rzucić bombę, która jednak wybuchła przedwcześnie. Oczywiście żaden z nich nic podobnego nie widział. Po prostu rozgorączkowana strachem wyobraźnia podsuwała im takie pomysły i. kazała w nie wierzyć.

Ernest słusznie mówił na rozprawie:

— Gdybym istotnie chciał rzucić bombę, czyż wybrałbym w tym celu taką nędzną pukawkę, jak ta? Przecież to nie miałyby sensu. Nie było w niej dosyć prochu; nadymiała, to prawda, ale krzywdy nie zrobiła nikomu prócz mnie. Też zresztą niewielką, choć pękła tuż koło mnie. Proszę mi wierzyć: kiedy wezmę się do rzucania bomb — narobię prawdziwych szkód. Z moich petard pójdzie coś więcej niż dym.

Ze swej strony prokurator dowodził, że słabość bomby to właśnie był błąd socjalistów, podobnie jak przedczesny wybuch, spowodowany tym, że Ernestowi nerwy odmówiły posłuszeństwa. Na poparcie tego twierdzenia prokurator powoływał się na zeznania szeregu kongresmanów, którzy zapewniali, że widzieli, jak Ernest trzymał coś w ręku, a potem rzucił.

Spośród nas nikt nie spostrzegł momentu rzucenia bomby. Ernest mówił mi później, że na ułamek sekundy przed wybuchem usłyszał, jak coś upadło u jego stóp, i zdążył to nawet zobaczyć. Powiedział to na rozprawie, ale nikt nie chciał mu wierzyć. Zresztą cała sprawa, jak to mówią, była „wypitraszona” z góry. Żelazna Stopa postanowiła nas zniszczyć i nie można było temu zapobiec.

Jest przysłowie, że prawda zawsze wypłynie na wierzch. Zwątpiłam jednak o jego słuszości. Minęło już dziewiętnaście lat, a nie zdołaliśmy, przy największych wysiłkach, odnaleźć człowieka, który rzucił wtedy tę bombę. Z całą pewnością musiał to być jakiś wysłannik Żelaznej Stopy, nigdy jednak nie został wykryty. Nie trafiliśmy nigdy na najłżejszy trop wiodący do ustalenia jego tożsamości. Teraz zaś, po tak długim czasie, nie pozostaje bodaj nic innego, jak umieścić tę sprawę wśród tajemnic dziejów.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W CIENIU SONOMY

O moich losach w tym okresie niewiele mam do powiedzenia. Sześć miesięcy trzymano mnie w więzieniu, chociaż nie zarzucano mi żadnego przestępstwa. Byłam podejrzana — straszne słowo, z którym zapoznać się mieli niebawem wszyscy rewolucjoniści. Ale w tym akurat czasie zaczął powstawać i działać nasz własny wywiad. I przy końcu drugiego miesiąca mojego pobytu w więzieniu jeden z dozorców ujawnił się przede mną jako rewolucjonista związany z organizacją. A po kilku tygodniach okazało się, że Joseph Parkhurst, świeżo mianowany lekarz więzienny, jest członkiem jednej z naszych bojówek.

Całą organizację oligarchii przenikała, jak sieć pajęcza, nasza organizacja. Toteż wiedziałam o wszystkim, co działo się na świecie. Ponadto każdy z naszych uwięzionych przywódców był w kontakcie z grupą męźnych towarzyszy ukrywających się pod liberią Żelaznej Stopy. Choć Ernest przebywał w więzieniu odległym o trzy tysiące mil, aż na wybrzeżu Pacyfiku, porozumiewałam się z nim bez przerwy i nasze listy (regularnie szły w obie strony).

Przywódcy omawiali i kierowali akcją bez względu na to, czy byli w więzieniu, czy też na wolności. Ucieczkę niektórych można było zorganizować już w ciągu paru miesięcy. Ponieważ jednak pobyt w więzieniu nie stanowił przeszkody w naszej działalności, postanowiono unikać wszelkich przedwczesnych kroków. W więzieniu więc znajdowało się pięćdziesięciu dwóch kongresmanów i trzystu innych naszych przywódców. Opracowaliśmy plan uwolnienia wszystkich na raz; Gdyby wydostała się tylko część, wzrosłaby czujność oligarchów, co uniemożliwiłoby ucieczkę pozostałym. Z drugiej strony uznaliśmy, że takie uwolnienie ich z więzień rozsianych po całym kraju wywarłoby olbrzymi psychologiczny wpływ na proletariat. Dowiodłoby naszej siły i wzmogło zaufanie do nas.

Gdy więc po upływie sześciu miesięcy zostałam wypuszczona, zapadła decyzja, że ukryję się sama i przygotuję bezpieczne schronienie dla Ernesta. Nie było to zresztą wcale łatwe. Sikoro tylko odzyskałam wolność, zaczęli chodzić za mną ślad w ślad agenci Żelaznej Stopy. Musiałam koniecznie ich zmylić, po czym co prędzej przedostać się do Kalifornii. Rzecz się udała, i to w sposób po prostu śmieszny.

W tym właśnie czasie zaczęto już wprowadzać paszporty na wzór rosyjskich. Nie odważyłabym się przemierzyć kontynentu pod własnym nazwiskiem. Powinnam zginąć bez śladu, jeśli kiedykolwiek miałam jeszcze widzieć Ernesta, bo śledząc mnie trafiliby siłą rzeczy na niego i jego ucieczka byłaby zmarnowana. Nie mogłam jednak ukrywać się jako proletariuszka, bo proletariuszom nie przysługiwało prawo podróży. Pozostawało więc przebrać się za kogoś należącego do oligarchii. Najwyższych oligarchów była tylko garstka. Było za to mnóstwo pomniejszych, takich jak Wickson, ludzi, którzy mając parę milionów majątku tworzyli podporę rządzącej góry. Wraz z rodzinami stanowili oni bardzo pokaźną liczbę. Toteż postanowiliśmy, że występować będę jako żona czy córka jednego z oligarchów podrzędnych. W parę lat później nawet i to byłoby niemożliwe, gdyż system paszportowy udoskonalono do tego stopnia, że w całym kraju wszystkich mężczyzn, kobiety czy dzieci poddano skrupulatnej rejestracji i każdy ich krok był wiadomy.

W odpowiednio dobranej chwili wymknęłam się nagle chodzącym za mną szpiegom. A po godzinie Avds Everhard przestała istnieć. Równocześnie zaś niejaka parni Felicja Van Verdighan, w

towarzystwie dwóch pokojówek i pieska oraz specjalnej służącej dla pieska, wsiadła do salonowego przedziału w wagonie pulmianowiskim, a po paru minutach już podążała na zachód..

Wszystkie trzy „pokojówki” były (rewolucjonistkami. Dwie należały od dawna do naszych bojówek, trzecia zaś, Grace Holbrook, wstąpiła wkrótce potem i po sześciu miesiącach została zamordowana przez Żelazną Stopę. Ona właśnie opiekowała się pieskiem. Z tamtych dwóch Berta Stole przepadła w dwanaście lat później, a Anna Roysiton żyje dotychczas i' odgrywa coraz ważniejszą rolę w Rewolucji.

Bez przygód przemierzyliśmy cały kraj i zajechałyśmy do Kalifornii. Gdy pociąg stanął na dworcu śródmiejskim w Oakland, wysiadłyśmy i pani Felicja Van Verdighan wraz ze swymi pokojówkami i pieskiem znikła na zawsze. Dziewczęta wzięli pod opiekę zaufani miejscowi towarzysze. Inni towarzysze zajęli się mną. W pół godziny po opuszczeniu pociągu byłam już na pokładzie małego rybackiego statku płynącego zatoką San Francisco. Kierunek wiatru ciągle się zmieniał i przez większą część nocy krążyliśmy w koło. Widziałam jednak światła Alcatrazu, gdzie znajdował się Ernest, i krzepiła mnie myśl, że jestem tak blisko niego. O świcie z pomocą wiosł dotarliśmy do Wysp Marynarskich. Tu ukrywaliśmy się przez cały dzień, następnej zaś nocy, korzystając z przypływu i pomyślnego wiatru, w ciągu dwóch godzin przecięliśmy zatokę San Pablo i wpłynęliśmy w ujście Petalomy.

Tam czekał na nas towarzysz z końmi i przy świetle gwiazd ruszyliśmy dalej bez zwłoki. Na północy widniały zarysy góry Sonoma, ku której zmierzaliśmy. Ominęliśmy z lewej starożytne miasteczko Sonoma i wjechaliśmy w wąwóz biegnący u podnóży góry. Droga bita przeszła w drogę leśną, potem zmieniła się w ścieżkę, a wreszcie i ta zanikła pośród górskich łąk. Posuwaliśmy się teraz samym zboczem Sonomy. Tak było najbezpieczniej. Istotnie, nie spotkaliśmy żywej duszy.

Świt zastał nas na północnej grani i w bladym świetle poranka przebrnęliśmy pas gęstych krzewów, aż dostaliśmy się do narosłego sekwojami wąwozu. Powiało na nas ciepłym oddechem mijającego lata. Znałam dobrze te strony, drogie mi jeszcze z dzieciństwa. Toteż wkrótce zmieniłam się w przewodnika. Sama wypatrzyłam i wybrałam kryjówkę. Porzuciliśmy grań, przecięliśmy łąkę górską i pokrytym dębina zboczem dostaliśmy się na inną, mniejszą łąkę. Potem wspięliśmy się znowu na zbocze, porośnięte dla odmiany gęstwą ciemnoczerwonych jabłoni i krzewów poziomkowych. Pierwsze promienie słońca padły na nasze plecy, gdy przedzieraliśmy się przez nie. Z gąszczu wypadło stado przepiórek. Olbrzymi królik, pędząc szybko i bezszelestnie jak jelen, przebiegł nam drogę. A potem jelen o rozłożystych rogach ukazał się cały złoty od słońca. Przystanął na *szczyście* zbocza i znikł.

Jakiś czas posuwaliśmy się jego śladem, po czym skręciliśmy w dół zygzakowatą ścieżyną, którą wzgardził, i dotarliśmy do grupy wspaniałych sekwoi otaczających małe jezioro, brunatne od wydzielających się ze zbocza góry minerałów. Znałam tu każdy cal drogi. Pewien pisarz, dobry nasz znajomy, miał tu kiedyś zagrodę. Ale został rewolucjonistą i spotkał go los gorszy niż mój, gdyż zginął nie wiadomo kiedy i jak. Tyle tylko, że doszła nas wieść o jego śmierci. Otóż on jeden znał za życia tajemnicę kryjówki, do której zmierzałam. Kupił ongiś zagrodę ze względu na jej niezwykle piękno i zapłacił wysoką cenę ku oburzeniu miejscowych farmerów. Ze śmiechem opowiadał nam, jak farmerzy posępnie kiwali głowami usłyszawszy, ile wynosiła cena, a potem, po żmudnych jakichś obliczeniach, wykrzykiwali: „Przecież pan nie wyciągnie z tego nawet sześciu procent!”

Po śmierci pisarza zagroda nie przeszła na jego dzieci. Stała się własnością Wicksona, gdyż należały do niego wschodnie i północne zbocza Sonomy, od posiadłości Spreckela aż po rozgałęzienie doliny Bennetta. Wickson urządził (tutaj wspaniały rezerwat jeleni, gdzie żyły one w warunkach niemal pierwotnej puszczy. Posiadłość obejmowała tysiące akrów łagodnych zboczy

pociętych wąwozami, a wśród lasów kryły się niezliczone polanki. Dawnych właścicieli ziemi przegnano, zburzono też zakład dla niedorozwiniętych, aby zrobić miejsce jeleniom.

Koroną wszystkiego był fakt, że domek myśliwski Wicksona znajdował się o ćwierć mili od mojej kryjówki. Ale zamiast zagrażać zwiększało to tylko nasze bezpieczeństwo. Sąsiedztwo rezydencji małego oligarchy stanowiło dodatkową dla nas ochronę. Z natury rzeczy wszelkie podejrzenia kierowały się w inną stronę. Jeleni park Wicksona był ostatnim miejscem na świecie, gdzie szpiclom Żelaznej Stopy przyszłoby na myśl szukać mnie, a później także Ernesta.

Uwiązaliśmy konie między sekwojami nad jeziorkiem. W schowanku pod wypróchniałym pnem towarzysz mój znalazł całe mnóstwo zapasów: worek mąki, wszelkiego rodzaju puszki konserw, naczynia kuchenne, koce, płótno żaglowe, książki, papier, przybory do pisania, paczkę listów, bańkę nafty, piecyk naftowy, a wreszcie, co najważniejsze, okazały zwój bardzo mocnych lin. Schowek okazał się tak bogaty, że trzeba było wracać kilka razy, aby to wszystko przenieść do mojej kryjówki.

Kryjówka zresztą była bardzo blisko. Zabrałam ze sobą liny i poprowadziłam towarzysza. Przeszliśmy otoczoną gęstym lasem polankę, zarosła winoroślą i różnymi krzewami. Polanka urywała się nagle nad stromym brzegiem potoku. Potok wypływał ze źródeł tryskających w pobliżu i w najbardziej upalne lato nigdy nie wysychał. Z obu stron wody ciągnęły się wysokie, zalesione wzgórza, jakby całą ich grupę rozrzuciła tutaj niedbała dłoń jakiegoś przedhistorycznego tytana. Nie miały one skalistego podłoża. Wyrastały na setki stóp uformowane całkowicie z czerwonej wulkanicznej gleby, słynnej winniczej gleby sonamskiej. Górski potok wyłobił sobie w niej głębokie jak przepaść koryto.

Z wielkim trudem zeszliliśmy na sam dół urwiska, po czym idąc z biegiem strumyka zrobiliśmy jeszcze sto kroków. Tara właśnie było wejście do jaskini. Nic zresztą nie wskazywało na jej istnienie, bo też nie była to jaskinia w potocznym znaczeniu tego słowa. Aby dotrzeć do niej, trzeba było się czołgać (poprzez gęstwinę głogów, tak splątanych i zbitych, że tworzyły zwartą, zieloną zasłonę. Jaskinia była na sto łokci długa i tyleż szeroka. Głębokość miała o połowę mniejszą. Powstała zapewne w tym samym czasie co wzgórza, a kształt dzisiejszy nadało jej powolne, wieki trwające działanie wód potoku. Nigdzie nie widać było ani skrawka ziemi. Wszystko pokrywała bujna roślinność — od drobnych widłaków i szerokolistnych paproci po wspaniałe jodły i potężne sekwoje. Olbrzymie drzewa wyrastały nawet ze ścian jaskini; Niektóre były nachylone tak bardzo, że tworzyły jak gdyby sklepienie. Większość jednak strzelała wprost w niebo z miękkich i niemal prostopadłych ścian.

Była to idealna kryjówka. Nikt nigdy tu nie przychodził, nawet wszędobylskie chłopaki wiejskie z Glen Ellen. Gdyby zapadlina znajdowała się na dnie jakiegoś dłuższego wąwozu, na pewno znano by ją już od dawna. Ale koryto potoku nie było wąwozem. Cała jego długość nie przekraczała pięciuset jardów. Potok wypływał ze źródła tryskającego u stóp płaskiego wzniesienia o trzysta kroków powyżej zapadliny. A o sto kroków poniżej wpływał w kraj równiny i łączył się z rzeczką wijącą się pośród zielonych pastwisk.

Mój towarzysz umocował linę do pnia jednego z drzew. Uchwyciłam za drugi koniec i po krótkiej chwili znalazłam się na dnie. Zaraz potem przeniósł wszystkie zapasy ze schowka i spuścił je w dół. Następnie zwinął i ukrył linę, wreszcie zaś odszedł życząc mi szczęścia.

Zanim opowiem o dalszych wypadkach, chcę poświęcić mu parę słów. John Carlson był jednym z niezliczonych, skromnych a wiernych żołnierzy Rewolucji. Pracował w stajniach Wicksona niedaleko domku myśliwskiego. Nawet podróż zбочami Sonomy odbyliśmy końmi Wicksona. I oto od lat dwudziestu John Carlson jest strażnikiem mojej kryjówki. A ręczyć mogę, że przez cały ten czas nie miała do niego przystępu najłżejsza nawet myśl o nielojalności. Nie mieściło mu się wprost w

głowie, by mógł zawieść nasze zaufanie. Carlson to flegmatyk, na tyle tępy, że trudno nawet pojąć, jakie znaczenie dla niego ma Rewolucja. A jednak w tej nieruchawej duszy płonie gdzieś głębokie ukochanie wolności. I w pewnym sensie było może lepiej, że brakło mu polotu i wyobraźni. Nigdy nie tracił igłowy. Wypełniał wszelkie zlecenia, a nigdy nie zdradzał ani ciekawości, ani gadulstwa. Kiedyś spytałam go, dlaczego jest rewolucjonistą.

— W młodości byłem żołnierzem — odparł. — Było to w Niemczech. Wszyscy młodzi mężczyźni musieli tam służyć w wojsku. Więc poszedłem i ja. Razem ze mną był pewien żołnierz mniej więcej w moim wieku. Jego ojciec był, jak to mówią, agitatorom i siedział w więzieniu za obrazę cesarza. To znaczy za to, że mówił o nim prawdę. A syn rozmawiał ze mną dużo o ludziach i o ich pracy, i o tym, jak ludzi pracy grabią kapitaliści. Wtedy otworzyły mi się oczy na wiele spraw i zostałem socjalistą. Nigdy nie zapomnę tego mojego kolegi ani tego, co mówił. Kiedy przyjechałem do Stanów Zjednoczonych, odszukałem tu socjalistów. Wstąpiłem do jednej z sekcji — było to w czasach Socjalistycznej Partii Robotniczej. Później przyszedł rozłam i przystąpiłem do Partii Socjalistycznej. W tym czasie mieszkałem w San Francisco i pracowałem w jednej firmie przewozowej. Było to jeszcze przed wielkim trzęsieniem ziemi. Składki płacę już od dwudziestu dwóch lat. I teraz też jestem członkiem i dalej płacę składki, chociaż dzisiaj robi ślę to w wielkiej tajemnicy. I zawsze będę płacił, a kiedy już będzie republika spółdzielcza, to będę bardzo się cieszył.

Pozostawiona sobie zajęłam się ugotowaniem śniadania i wyporządzeniem mojego „domostwa”. Carlson zjawiał się często, o świcie albo późnym wieczorem, i pracował przez parę godzin. Z początku urządziłam sobie namiot z brezentu. Później zaś, gdy upewniliśmy się o całkowitym bezpieczeństwie, Carlson wybudował mi cały niewielki domek. Domek był najzupełniej ukryty przed obcym okiem, jakie mogło przypadkiem zajrzeć w głąb zapadliny. Naturalną osłonę tworzyła przebogata roślinność. Poza tym wykuty był w jednej z prostopadłych ścian, co również czyniło go niewidocznym. Składał się z dwóch izb dobrze odwodnionych i wentylowanych. Grube kłocę drzewa wzmacniały ściany. Mieliśmy tu najróżniejsze wygody. Kiedy przez pewien czas ukrywał się u nas terrorysta niemiecki Biedenbach, zainstalował przyrząd pochłaniający dym. Dzięki temu w zimowe, noce można było grzać się przy płonącym ognisku.

Tu muszę wtrącić parę słów w obronie tego szlachetnego człowieka. Nie ma bowiem w całej armii Rewolucji towarzysza równie źle rozumianego jak terrorysta Biedenbach. Nie zdradził on Sprawy. Nie był też stracony z wyroku towarzyszy, jak się powszechnie przypuszcza. Tę kaczkę puścili agenci oligarchii. Towarzysz Biedenbach był niesłuchanie roztargniony i miał fatalną pamięć. A zastrzelony został przez naszą czujkę u wejścia do podziemnego schronu w pobliżu Karmelu, gdyż zapomniał hasła i tajnych sygnałów. Wszystko to było tragiczną pomyłką.. Zupełnym zaś kłamstwem jest, że zdradził swoją bojówkę. Sprawa nie miała nigdy bardziej wiernego i oddanego działacza.

Wynaleziona przeze mnie kryjówka od dziewiętnastu już lat służy nam niemal bez przerwy. A przez cały ten czas, z jednym jedynym wyjątkiem, nie dotarł do niej nikt niepowołany, choć leży o ćwierć mili zaledwie od domku myśliwskiego Wicksona i o niecałą mdłę od wioska Glen Ellen. Co dzień słyszałam, jak przejeżdżają poranne i wieczorne pociągi, i nastawiałam zegarek według gwizdka niedalekiej cegielni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

PRZEOBRAŻENIE

Musisz ulec zupełnej przemianie — pisał mi Ernest. — Musisz przestać być sobą i stać się zupełnie inną kobietą. I to nie tylko zmienić strój, ale siebie samą. Musisz przeobrazić się cała tak, żebym ja nawet ciebie nie poznał. Zmienić się musi twój głos, twoje ruchy, sposób bycia, chód, zachowanie—słowem, wszystko". Wykonałam ten rozkaz. Co dzień wprawiałam się godzinami, by na zawsze skryć dawną Avis Everhaxd pod skórą innej postaci, która odtąd miała być mną. Osiągnięcie tego wymagało nie kończących się ćwiczeń. Tak drobiny na pozór szczegół jak zmiana barwy głosu pochłonął mnóstwo bezustannych wysiłków. W końcu jednak mówiłam tym nowym głosem zupełnie odruchowo. Ta właśnie odruchowość w graniu nowej roli była najważniejsza. Trzeba było tak z rolą się zrosnąć, aby samemu już nie dostrzegać, że jest przybraną skórą. Było to jak uczenie się nowego języka, na przykład francuskiego. Z początku mówienie po francusku odbywa się świadomie, trzeba tego za każdym razem chcieć. Uczeń myśli nadal po angielsku i tłumaczy swe myśli na francuski; albo też czyta po francusku, ale tłumaczy to na angielski, zanim zrozumie. Później jednak, gdy się wprawi, zaczyna czytać, pisać i nawet myśleć po francusku bez żadnej pomocy języka ojczystego.

Podobnie było z naszym przeobrażeniem. Musieliśmy ćwiczyć tak długo, aż przybrane role stały się rzeczywistością; aż wreszcie powrót do naszego pierwotnego „ja" wymagał znacznego wysiłku woli. Z początku, rzecz jasna, popełnialiśmy mnóstwo błędów. Tworzyliśmy jakby nową sztukę i wiele w niej było do odkrycia. Ale praca nad tym toczyła się wszędzie. Powstawali prawdziwi mistrzowie nowej sztuki, a zasób metod i środków powiększał się coraz bardziej. W końcu suma tych doświadczeń stała się jakby gałęzią wiedzy wykładanej w szkole Rewolucji.

W tym właśnie czasie zaginął mój ojciec. Listy, które stale do mnie pisywał, przestały nadchodzić. Nie było go już w mieszkaniu na Pell Street. Nasi towarzysze szukali go wszędzie. Wywiad nasz przetrząsnął wszystkie więzienia w kraju. Zaginął jednak, jak gdyby zapadł się w ziemię i po dziś dzień nie trafiliśmy na żaden jego ślad.

W mojej kryjówce spędziłam sześć długich, samotnych miesięcy, ale nie był to czas stracony. Rozwój naszej organizacji posuwał się szybko naprzód i ciągle było moc pracy do zrobienia. O tym, co czynić należy, decydował Ernest i inni przywódcy przebywający w więzieniu; a my, na zewnątrz, byliśmy wykonawcami. Organizowaliśmy propagandę ustną; budowaliśmy całą sieć wywiadu z mnóstwem odgałęzień; urządzaliśmy tajne drukarnie; a wreszcie zakładaliśmy wielką sieć szlaków podziemnych, co wymagało połączenia tysiącznych starych kryjówek i założenia nowych tam, gdzie brakło jakiegoś ogniwa w łańcuchu opasującym cały kraj.

Słowem, nigdy nie można było nadążyć z pracą. Pod koniec szóstego miesiąca mojej samotności przerwało ją przybycie dwóch towarzyszek. Były to młode dziewczyny, odważne i kochające wolność nade wszystko. Lora Peterson, która znikła w roku 1922, i Kate Bierce, ktwą ra wyszła później za mąż za Du Bois, ale nadal jest z nami i wypatruje jutrzeńki zwiastującej słońce, nowego wieku.

Dziewczęta były wciąż pod wrażeniem niedawnych przeżyć, niebezpieczeństw i otaczającej je grozy śmierci. Wśród załogi barki rybackiej, jaka przewiozła je przez zatokę San Pablo, był szpieg, agent Żelaznej Stopy, który pod maską rewolucjonisty zdołał dotrzeć do tajników naszej organizacji. Niewątpliwie trafił na mój ślad, gdyż jak się z czasem dowiedzieliśmy moje zniknięcie wywołało

żywe poruszenie w wywiadzie oligarchii. Na szczęście nie zdążył jeszcze nikomu przekazać zdobytych wiadomości. Zwlekał najwidoczniej dlatego, że wołał odnaleźć swoją kryjówkę i pochwycić mnie samą. I tak, to, co wiedział, zginęło z nim razem. Zanim jednak został zgładzony, zdołał opuścić barkę i uciec w chwili, gdy łódź zawinęła do ujścia Petalomy i dziewczęta wsiadały na wózek.

W połowie drogi, już na zboczu Sonomy, John Carlson kazał dziewczętom jechać dalej, sam zaś poszedł piechotą z powrotem. Uczynił to pod wpływem nagłych podejrzeń. Odszukał szpiega i później na swój sposób opisał nam, co się stało.

— Załatwiłem go — powiedział i do tego sprowadził się cały, niezbyt barwny opis. — Załatwiłem go — powtórzył, a w jego oczach zapłonął ponury blask, ręce zaś, duże i spracowane, rozwarły się i wymownie zacisnęły. — Ani zipnął. Schowałem go, a wieczorem wrócę tam i zakopię go głębiej.

W tym okresie sama podziwiałam nieraz zachodzącą we mnie przemianę. Chwilami nie mogłam wprost uwierzyć, że kiedyś pędziłam ciche i pogodne życie w spokojnym uniwersyteckim mieście, Ani że później stałam się rewolucjonistką oswojoną z widokiem gwałtów i śmierci. Jedno z dwojga nie mogło być prawdziwe. Skoro jedno było rzeczywistością, drugie musiało być snem — ale które z nich? Czy moje obecne życie rewolucjonistki kryjącej się w rozpadlinie górskiej jest tylko koszmarem? Czy też jestem w istocie rewolucjonistką, której tylko przyśniło się jakoś, że kiedyś mieszkała w Berkeley i nie znała innego życia niż to, jakie upływało na przyjmowaniu gości, chodzeniu na tańce i bywaniu na zebraniach dyskusyjnych i w salach wykładowych? Myślę jednak, że takie przeżycia wspólne były nam wszystkim walczącym pod czerwonym sztandarem braterstwa ludzi.

Nieraz przypomielałam sobie różne postacie z tamtego życia. I, rzecz dziwna, zjawiały się one i znikwały raz po raz w nowym moim życiu. Tak było z biskupem Morehouse. Na próżno szukaliśmy go z pomocą całej naszej organizacji. Przenoszono go z jednego domu obłąkanych do drugiego. Wiedzieliśmy, że ze szpitala psychiatrycznego w Napa przewieziono go do szpitala w Stockton, stamtąd zaś do zakładu Agnews w dolinie Santa Clara. Tu wszakże ślad się urwał, a brakowało przy tym danych o jego śmierci. Musiał więc jakoś się wymknąć. Nigdy jednak wyobraźnia nie podszeptała mi, w jak strasznych okolicznościach miałam go raz jeszcze zobaczyć. Nie jego właściwie, ale krwawe widmo wśród potwornej rzezi Komuny Chicagoskiej.

Nie było mi natomiast sądzone zobaczyć Jacksona, którego ręka zmiażdżona w maszynie Zakładów Sierra uczyniła mnie rewolucjonistką. Ale wszyscy wiedzieliśmy, czego dokonał, zanim zginął. Nie przyłączył się do rewolucji. Rozgoryczony niedolą, zatopiony w rozważaniu swych krzywd, stał się anarchista. I to nie anarchista filozoficznym, lecz po prostu 'bestią oszalałą z nienawiści i pragnienia zemsty. Wziął też istotnie pomstę za to, co go spotkało. W nocy gdy wszyscy już spali, zmylił czujność strażników i wysadził w powietrze pałac Pertonwaithe'a. Z pałacu zostały zgliszcza i nikt nie ocalał, nawet strażnicy. Jackson zaś, czekając w więzieniu na rozprawę, sam udusił się derką.

Inaczej zupełnie potoczyły się losy doktora Hammerfielda i doktora Ballingforda. Dochowali wierności swojej klasie, a ta ich wynagrodziła rezydencjami biskupimi, w których pędzą życie w zgodzie z dzisiejszym światem. Obydwaj są wielbicielami oligarchii. Obydwaj utuczyli się na tym bardzo. Doktor Hammerfield — powiedział kiedyś Ernest — zdołał tak przerobić swoją metafizykę, że uznał Żelazną Stopę za wyraz woli bożej; przyozdobił też swoje teorie kultem piękna, a lotne kręgowce, opisane przez Haeckla, sprowadził do rzędu nie- . dostrzegalnych widm; różnica więc między nim a doktorem Ballingfordem polega na tym, że ten drugi uczynił Boga oligarchów nieco

bardziej lotnym i nieco mniej kręgowym.

Największą niespodziankę sprawił nam wszystkim Piotr Donnelly, majster-łamistażnik z Zakładów Sierra, z którym zetknęłam się badając sprawę Jacksona. W roku 1918 byłam na zebraniu Czerwonych w San Francisco. Była to najbardziej zawzięta, groźna i bezlitosna z naszych bojówek. Ściśle mówiąc, nie tworzyła części naszej organizacji. Należeli do niej sami fanatycy i szaleńcy, my zaś nie chcieliśmy popierać takich nastrojów. Choć jednak nie należeli do nas, utrzymywaliśmy z nimi przyjazne stosunki. Do przyścia na to zebranie skłoniła mnie pewna sprawa ogromnej wagi. Wśród paru dziesiątków zgromadzonych ja jedna nie miałam maski. Kiedy już załatwiliśmy moją sprawę, odprowadził mnie jeden z obecnych. W jakimś ciemnym przejściu zapalił zapalniczkę i trzymając ją tuż przy twarzy odrzucił maskę. Ujrzałam na chwilę wykrzywione namiętnością rysy Piotra Donnelly; Potem zapalniczka zgasła.

— Chciałem tylko, żeby mnie pani poznała — odezwał się w ciemności. — Czy pamięta pani administratora Dallasa?

Skinęłam głową na wspomnienie człowieka o lisiej twarzy, który kierował Zakładami Sierra.

— To był pierwszy, którego sprzątnąłem — rzekł z dumą Doonelly. — Jak tylko wstąpiłem do Czerwonych.

— Ale skąd pan się wziął między nimi? — spytałam. — Co się stało z pana żoną i dziećmi?

— Nie żyją. — odparł. — I właśnie dlatego... Nie — dodał z pośpiechem — to nie z zemsty za nich. Pomarły spokojnie, w łóżkach — chorowały, aż poumieraly, jedno po drugim. Za ich życia miałem ręce związane. Ale teraz, kiedy ich już nie ma, mogę zemścić się za moje zmarnowane życie. Kiedyś byłem majstrem-łamistażnikiem, Piotrem Donnelly. Dziś za to jestem numer 27 Czerwonych z Frisco. A teraz już chodźmy, to panią stąd wyprowadzę.

Później dowiedziałam się o nim więcej. W pewnym sensie powiedział prawdę, że wszyscy jego bliscy nie żyją. Jeden syn, Tymoteusz, żył jednak, choć ojciec uważał go za zmarłego, gdyż wstąpił na służbę Najemników Żelaznej Stopy. Każdy Czerwony z Frisco obowiązany był zabić co roku dwunastu oligarchów albo ich sług. Katrą za niewywiązanie się z tego była śmierć. Czerwony, który nie wykonał swej liczby zamachów, popełniał samobójstwo. Zamachów nie dokonywali na oślep. Tworzyli grupę szaleńców, którzy spotykali się często i wydawali masowe wyroki na oligarchię. Wykonawców wyznaczano później przez losowanie.

Właśnie w związku z taką ich rozprawą znalazłam się na tym zebraniu. Jeden z naszych towarzyszy, który od lat zdołał utrzymać się jako urzędnik w miejscowej kancelarii wywiadu Żelaznej Stopy, trafił na listę Czerwonych z Frisco i miał być sądzony. Oczywiście nie mógł sam się stawić, a jego sędziowie nie wiedzieli, rzecz jasna, że jest naszym człowiekiem. Ja miałam poświadczyć jego tożsamość i lojalność. Mogłoby kogoś zdziwić, skąd się w ogóle o tym dowiedzieliśmy. Wy tłumaczenie jest proste. Jeden z naszych tajnych agentów należał do Czerwonych z Frisco. Musieliśmy mieć baczenie zarówno na wrogów, jak i na przyjaciół. A ta grupa szaleńców była wystarczająco ważna, by zasługiwać na czujność.

Wracam jednak do Piotra Donnelly a jego syna. Wszystko było dobrze, dopóki następnego roku Donnelly nie znalazł na liście skazańców, których miał zabić, nazwiska Tymoteusza. Wówczas to więź rodzinna, zawsze tak niesłychanie w nim silna, odezwała się znowu. Aby ocalić syna, zdradził towarzyszy. Zdrada udała mu się tylko częściowo, mimo to kilkunastu Czerwonych z Frisco zostało straconych, a cała grupa nieomal zniszczona. W odwet ci, co przetrwali, zadali Donnelly'emu śmierć, na jaką zasłużył.

Ale Tymoteusz na krótko przeżył ojca. Czerwoni z Frisco poprzysięgli wykonanie na nim wyroku. Oligarchia czyniła wszystko, aby go uchronić. Przenoszono go stale z miejsca na miejsce. Trzech

Czerwonych postradało życie w bezskutecznych zamachach. A trzeba wiedzieć, że bojówka składała się z samych mężczyzn. W końcu jednak zwrócili się do kobiety, naszej towarzyszki. Była nią Anna Royston. Koło Naczelne zabroniło jej tego, lecz Anna zawsze była samowolna, a dyscypliną gardziła. Poza tym była geniuszem i miała tak niesłychany wdzięk, że nigdy właściwie nie udało się w pełni poddać jej dyscyplinie. Stanowi klasę dla siebie i nie można jej mierzyć zwykłą miarą rewolucjonistów.

Choć odmówiliśmy jej zezwolenia, Anna postanowiła wyrok wykonać. A była kobietą wprost urzekającą. Wystarczyło jej skinąć, by każdego mężczyznę mieć u swoich stóp. Złamała dziesiątki serc wśród naszych młodszych towarzyszy, a dziesiątki innych, podbitych jej urokiem, wstąpiło do naszej organizacji. Anna jednak stanowczo nie chciała wyjść za mąż. Niezmiernie lubiła dzieci, ale utrzymywała, że własne dziecko musiałoby ją oderwać od Sprawy. A przecież Sprawie poświęciła życie.

Tymoteusz okazał się łatwym łupem dla Anny. Nie miała wyrzutów sumienia, bo w tym właśnie czasie nastąpiła rzeź w 'Nashville, gdzie Najemnicy pod wodzą Donnelly'ego wymordowali ośmiuset tkaczy. Sama jednak nie zabiła swojego jeńca. Wydała go Czerwonym z Frisco. Stało się to zeszłego roku i odtąd Anna nosi nowe imię. Wszyscy rewolucjoniści . nazywają ją „Czerwoną Dziewicą” .

Spośród dawnych znajomych spotkałam także pułkownika Ingrama i pułkownika Van Gilberta. Pułkownik Ingram zajął w oligarchii wysokie stanowisko i został posłem w Niemczech. Proletariat obydwóch krajów serdecznie go nienawidził. Spotkałam go w Berlinie, gdzie podejmował mnie jako uwierzytelnionego międzynarodowego szpiega Żelaznej Stopy. Udzielił mi wydatnej pomocy. Tu wspomnę tylko, że w mej podwójnej roli zdołałam wywiązać się z kilku ważnych dla Rewolucji zadań.

Pułkownik Van Gilbert zdobył sobie rozgłos jako wyjący Van Gilbert. Odegrał znaczną rolę w układaniu nowego kodeksu po upadku Komuny Chicagońskiej. Przedtem zaś, jako sędzia śledczy, doczekał się wyroku śmierci za szatańsko nikczemny sposób prowadzenia śledztw. Należałam do grupy, która go sądziła i wydała wyrok. Anna Royston była wykonawcą.

Jeszcze jedna postać wyłoniła się z dawnych czasów: adwokat Jacksona, Joseph Hurd. Wszystkiego mogłam spodziewać się raczej niż spotkania z tym człowiekiem. Dziwne zresztą było o spotkanie. W dwa lata po upadku Komuny Chicagońskiej późną nocą dotarliśmy z Ernestem do kryjówki w Benton Harbor, znajdującej się po drugiej stronie jeziora, już w stanie Michigan. Przybyliśmy właśnie na zakończenie rozprawy jakiegoś szpiega. Skazany został na śmierć i wyprowadzono go w chwili, gdyśmy weszli. Nędznik wyrwał się nagle strażnikom, rzucił do moich nóg i kurczowo chwytając mnie za kolana, nieprzytomnym głosem błagać zaczął o łaskę. Wzniósł przy tym do góry przerażoną twarz i wtedy rozpoznałam w nim Josepha Hurda. Byłam nieraz świadkiem wielu strasznych rzeczy, nic jednak nie wytrąciło mnie tak z równowagi, jak widok tej półobłąkanej istoty modlącej się o życie. Po prostu szalał z rozpacz tak, że aż budził litość. Chwyciło go z dziesięciu naszych towarzyszy, ale nie mogli oderwać go ode mnie. I kiedy wreszcie wyprowadzili go, szamoczącego się i krzyczącego, padłam zemdlna na ziemię. Łatwiej patrzeć, jak umierają mężni, niż słuchać, jak tchórz błaga o życie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ZNIKNIĘCIE OLIGARCHY

Do wspomnień dawnego życia wybiegłam trochę naprzód w opisie nowego. Masowe uwolnienie więźniów nastąpiło dopiero w połowie roku 1915. Choć akcja była bardzo skomplikowana, przeprowadziliśmy ją bez powikłań i osiągnięcie to napełniło nas krzepiącą dumą. W ciągu jednej nocy uwolniliśmy pięćdziesięciu jeden naszych kongresmanów oraz przeszło trzystu innych przywódców z więzień i fortec rozsianych po całym kraju, od Kuby do Kalifornii. Nie było wypadku niepowodzenia. I wszyscy uwolnieni przedostali się bezpiecznie do przygotowanych zawczasu kryjówek. Jedynym kongresmanem, do którego nie zdołaliśmy dotrzeć, był Artur Simpson; zmarł on w Cabanas wskutek okrutnych tortur.

Osiemnaście miesięcy, jakie po tym nastąpiły, były najszcześniejszym może okresem mego pożycia z Ernestem. Przez cały ten czas byliśmy zawsze razem. Później, kiedy wróciliśmy znowu do świata, często musieliśmy się rozłączać. Owej nocy czekałam na przybycie Ernesta z niemniejszą niecierpliwością niż dziś oczekuję, by zapłonął ogień jutrzejszego powstania. Ernesta nie widziałam tak dawno, a myśl o jakimś niepowodzeniu doprowadzała mnie do takiego szaleństwa, że każda godzina wydawała mi się stuleciem. Byłam zupełnie sama. Biedenbach i trzech młodych (rewolucjonistów zamieszkałych także w kryjówce strażowali na zboczu góry. Byli dobrze uzbrojeni i gotowi na wszystko. Myślę, że tej nocy w całym kraju nikt z towarzyszy nie pozostał w kryjówce.

Niebo zaczęło już blednąć zapowiedzią przedświt, gdy usłyszałam w górze sygnał i zaraz dałam odpowiedź. W ciemności omal nie wpadłam na Biedenbacha, który schodził pierwszy; ale w następnej chwili już byłam w ramionach Ernesta. Wówczas też przekonałam się, jak zupełna była moja przemiana: tylko najwyższym wysiłkiem woli mogłam stać się z powrotem dawną Avis Everhard, odzyskać dawny sposób bycia i mówienia, dawny uśmiech i brzmienie głosu. I tylko bezustannym wysiłkiem woli mogłam zachować moją dawną osobowość. Gdybym zapomniała się choćby przelotnie, natychmiast bezwiednie stałabym się tą nową osobowością, jaką sama stworzyłam.

Po wejściu do domku mogłam przyjrzeć się Ernestowi przy świetle. Mało się zmienił, tyle, że jego cera miała bladość więzienną. Był wciąż tym samym ukochanym moim mężem i bohaterem. Jedyne rysy twarzy zaostrzyły się nadając jej jakiś ascetyczny wyraz. Dobrze mu jednak z tym było, gdyż wyszlachetniało to tryskające życiem oblicze. Stał się teraz jakby nieco bardziej poważny; ale ogniki śmiechu nadal błyskały mu w oczach. Stracił na wadze około dwudziestu funtów, lecz był w świetnej formie fizycznej. Nie zaniedbywał gimnastyki przez cały czas pobytu w więzieniu i mięśnie miał jak z żelaza. Właściwie był w formie lepszej nawet niż przed uwięzieniem. Nie mogliśmy się dość nagadać, mijały całe godziny. Wreszcie położył się i ukołysałam go do snu, ale sama nie mogłam zasnąć. Byłam zbyt szczęśliwa. I nie miałam zasobą ucieczki z więzienia i długiej jazdy konno.

Podczas gdy Ernest spał, przebrałam się, zmieniłam uczesanie i wróciłam do mojej przybranej postaci. A po zbudzeniu Biedenbacha i areszty towarzyszy z ich pomocą uknułam mały spisek. Wszystko już było gotowe i siedzieliśmy w izbie skalnej służącej za jadalnię i kuchnię, kiedy Ernest otworzył drzwi i wszedł. W tej samej chwili Biedenbach zwrócił się do mnie nazywając mnie Mary, ja zaś wdałam się z nim w rozmowę.

Jednocześnie spojrzałam na Ernesta z takim zaciekawieniem, z jakim każda młoda towarzyszka patrzyłaby na słynnego bohatera Rewolucji widząc go po raz pierwszy. Ernest obrzucił mnie tylko zniecierpliwionym wzrokiem i rozglądał się po pokoju. Zaraz potem zostałam mu przedstawiona jako Mary Holmes.

Dla ukoronowania mistyfikacji położyliśmy dodatkowe nakrycie i kiedy usiedliśmy do śniadania, jedno krzesło nie było zajęte. Nie posiadałam się wprost z radości obserwując rosnący niepokój i niecierpliwość Ernesta. W końcu nie wytrzymał.

— Gdzie moja żona? — zapytał gwałtownie.

— Jeszcze śpi — odparłam.

Była to krytyczna chwila. Ale głos mój był głosem zupełnie obcym i Ernest nie wyczuł w nim nic znajomego. Siedzieliśmy dalej przy jedzeniu, a ja mówiłam dużo i z entuzjazmem, zupełnie tak, jak mówiłaby gorąca wielbicielka do przedmiotu swej adoracji. Mój podziw dla Ernesta był oczywisty, aż w pewnej chwili entuzjazm i ubóstwienie doszły do szczytu zanim Ernest odgadł moje zamiary, zarzuciłam mu ręce na szyję i pocałowałam go w usta. Odsunął mnie na odległość ramienia i wpatrzył się we mnie ze zdziwieniem i zakłopotaniem. Wówczas czterej pozostali współbiesiadnicy wybuchnęli salwami śmiechu i wyjaśnili mu sytuację. Z początku Ernest nie chciał uwierzyć. Przyglądał mi się badawczo i już był na wpół przekonany, ale potem pokręcił głową i nieufność wróciła. Dopiero gdy ma powrót stałam się dawną Avis Everhard i zaczęłam mu szeptać do ucha sekrety, których nie mógł znać nikt na świecie oprócz nas, uznał we mnie swoją prawdziwą, rzeczywistą żonę.

Tegoż dnia po południu wziął mnie w ramiona i z wielkim zakłopotaniem przyznał się, że doznaje poligamicznych uczuć.

— Jesteś moją Avis — powiedział — a jednocześnie całkiem kim innym. Jesteś dwiema kobietami na raz, a więc stanowisz jakby mój harem. No, ale tak czy owak wiem teraz, czego się trzymać. Jeżeli grunt w Stanach Zjednoczonych zacznie nam parzyć stopy, mam już kwalifikacje, by dostać obywatelstwo tureckie .

Od tego dnia życie w kryjówce upływało mi szczęśliwie. Pracowaliśmy wprawdzie dużo i do późna, ale pracowaliśmy razem. Przez osiemnaście bezcennych, miesięcy należeliśmy całkowicie do siebie. A nie byliśmy opuszczeni, gdyż ustawicznie zjawiali się nasi przywódcy i towarzysze — dziwna goście z podziemnego świata knowań i rewolucji, przynoszący jeszcze dziwniejsze wieści o biegu walki na wszystkich polach bitew. Mimo to było u nas przyjemnie i wesoło. Nie zachowywaliśmy się jak ponurzy spiskowcy. Pracowaliśmy ciężko i dużo cierpieliśmy. Ale zapełnialiśmy wyrwy w szeregach i szliśmy naprzód. A wśród tych wszystkich wysiłków i bezustannej gry życia i śmierci znajdowaliśmy czas na miłość i śmiech. Byli między nami artyści, uczeni, badacze, muzycy, poeci. Toteż w tej rozpadlinie na zboczu górskim kwitła wyższa i świetniejsza kultura niż w pałacach czy cudownych miastach oligarchów. Zresztą niejednen z naszych towarzyszy trudził się nad upiększeniem owych pałaców i miast .

Nie byliśmy przy tym uwięzieni w naszej kryjówce. Często wyjeżdżaliśmy wieczorami w góry na długie spacery, a jeździliśmy końmi Wicksona. Gdybyż wiedział, ilu rewolucjonistów przewiozły jego wierzchowce! Urządzaliśmy nawet majówki w miejscach odludnych i nam tylko znanych, gdzie spędzaliśmy cały dzień wychodząc z domu przed świtem, a wracając w nocy. Piliśmy też śmietankę Wicksona, jedliśmy jego masło, a Ernest nie gardził strzelaniem do Wicksonowych przepiórek i królików, czasem zaś i rogaczy.

Kryjówka była istotnie bezpieczna. Wspomniałam już, że została odkryta tylko jeden raz. Wiąże się to z tajemniczym zniknięciem młodego Wicksona. Teraz, kiedy nie żyje, mogę mówić o tym

swobodnie. U krańca rozpadliny był zakątek wystawiony na słońce przez kilka godzin dziennie, a całkowicie niewidoczny z góry. Nasypaliśmy tutaj żwiru i piasku dobytego z łóżyska potoku i można było do woli wygrzewać się w słońcu. Tu właśnie pewnego popołudnia siedziałem, na wpół drżąc nad tomem Mendenhalla. Było' mi tak wygodnie, bezpiecznie i spokojnie, że nawet jego ogniste liryki nie mogły mnie wyrwać z uśpienia.

Nagle drgnęłam: grudka ziemi upadła do mych stóp. Jednocześnie doleciał mnie z góry szurgot. W następnej chwili z obsuwającej się pod nim ściany stoczył się jakiś młodzieniec i wylądował tuż przy mnie. Był to Filip Wickson, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem i gwizdnął lekko ze zdziwienia.

— Aha — mruknął, po czym zdjął kapelusz. — Bardzo panią przepraszam, ale nie spodziewałem się, że tu kogoś spotkam.

Ja byłam mniej obojętna. Jako nowicjuszka, niezbyt jeszcze umiałam zachować się w groźnych okolicznościach. Później, kiedy zostałam międzynarodowym szpiegiem, z pewnością umiałabym lepiej się znaleźć. Teraz jednak 'zerwałam się tylko i wyrzuciłam z siebie okrzyk alarmowy.

— Co to ma znaczyć? — zapytał wpatrując się we mnie badawczo.

Widać było, że schodząc tu nie podejrzewał wcale naszej obecności. Odetchnęłam więc z ulgą.

— A jak panu się zdaje? — odparłam. W owym czasie naprawdę nie umiałam jeszcze się znaleźć.

— Nie wiem — odrzekł wzruszając ramionami. — Chyba że gdzieś tutaj są pani przyjaciele. W każdym razie musi się pani wytłumaczyć. Coś mi się tu nie podoba. Ten teren należy do mego ojca i wstęp jest tutaj wzbroniony. Więc...

Ale właśnie w tej samej chwili rozległ się za jego plecami głos Biedenbacha. Jak zwykle łagodnie i grzecznie, ale stanowczo powiedział: „Ręce do góry, mój młody panie!”

Młody Wickson najpierw podniósł ręce, a potem odwrócił się i ujrzał Biedenbacha z automatem w ręku. Widok ten nie zmącił jego spokoju.

— Oho! — powiedział — gniazdo rewolucjonistów. I w dodatku z ostrymi żądłami. No, ale długo tu nie wysiedzicie, mogę was zapewnić.

— Ale pan może wysiedzi tu dość długo, aby zmienić zdanie — odrzekł łagodnie Biedenbach. — A póki co, muszę pana poprosić ze sobą do środka.

— Do środka? — Młody człowiek był szczerze zdumiony. — Czybyście mieli tutaj katakumby? Słyszałem o takich rzeczach.

— Chodź pan, to się przekonasz — powiedział Biedenbach trochę z cudzoziemską wymawiając słowa.

— Ależ to bezprawie — protestował tamten.

— Tak, według waszych praw — odparł terrorysta znacząco. — Ale według naszych jest to zupełnie legalne, wierz mi pan. Musi pan pogodzić się z faktem, że jesteś w innym świecie niż świat brutalnego ucisku, w którym dotąd żyłeś.

— O tym wszystkim można podyskutować — mruknął Wickson.

— W takim razie zostanie pan u nas i będziemy dyskutowali.

Młody człowiek roześmiał się i posłusznie już wszedł do domu. Biedenbach zaprowadził go do wykutej w skale izby i oddał pod straż jednemu z towarzyszy, a my usiedliśmy w kuchni, by omówić sytuację.

Biedenbach ze łzami w oczach utrzymywał, że Wickson musi umrzeć. Odetchnął z ulgą, kiedy przegłosowaliśmy go i odrzucili jego potworny wniosek. Z drugiej strony w żadnym wypadku nie mogliśmy stąd wypuścić młodego oligarchy.

— Wiem, jak będzie najlepiej — rzekł Ernest. — Zatrzymamy go tutaj i będziemy wychowywać.

— Wobec tego — zawołał Biedenbach — zastrzegam sobie przywilej oświecenia go w zakresie prawoznawstwa.

Tak więc wśród śmiechu postanowiliśmy zatrzymać Filipa Wicksona jako więźnia i wychować go w duchu naszej etyki i zasad społecznych. Na razie zaś trzeba było niezwłocznie zatrzeć wszelkie ślady jego przyścia i obecności. A było ich sporo, zwłaszcza na ścianie rozpadliny, po której się stoczył. Obowiązek ten przypadł Biedenbachowi, który uwieszony na linie, pracował w pocie czoła przez całą resztę dnia. Wreszcie nie pozostało znaku. Podobnie zatarliśmy ślady nad brzegiem potoku, od rozpadliny aż do szczytu wzgórz. O zmierzchu zaś przyszedł John Carlson i zażądał butów Wicksona.

Młody człowiek nie chciał się ich wyrzec i nawet gotów był walczyć o nie wręcz. W końcu jednak skapitulował, gdy Ernest mu dowiódł, że nie na darmo był kiedyś kowalem. Później Carlson długo narzekał na bolesne otarcie skóry i nagniotki spowodowane zbyt małym wymiarem butów, ale dzielnie sprawił się za ich pomocą. U krańca rozpadliny, tam, gdzie młody człowiek zakończył swą wędrówkę, Carlson włożył buty i poszedł na lewo. Chodził tak milami po wzgórzach, po zboczach i wąwozach, aż wreszcie urwał ślady nad jakimś odległym potokiem. Wszedł w wodę, zdjął buty Wicksona, zacierał jeszcze jakiś czas ślady, a w końcu włożył swoje własne buty. Wicksonowi zwrócono jego obuwie dopiero po tygodniu.

Już pierwszej nocy usłyszeliśmy naszczekiwanie psów policyjnych i mało kto spał w kryjówce. Nazajutrz psy raz po raz z dzikim ujadaniem trafiały do wąwozu, po czym skręcały w lewo, po śladach Carlsona. Odgłos ich naszczekiwań ginął w dalekich wąwozach wysoko pod szczytem góry. A przez cały ten czas nasi ludzie czekali w pogotowiu u wejścia do zapadliny, z arsenałem broni automatycznej, nie mówiąc już o machinach piekielnych sfabrykowanych przez Biedenbacha, pod ręką i gdyby jakaś grupa ratownicza zapędziła się w poszukiwaniu młodego Wicksona do naszej kryjówki, zaskoczenie intruzów byłoby zupełne.

Taka jest prawda, którą dzisiaj ujawniam, o zniknięciu Filipa Wicksona, niegdyś oligarchy, a później towarzysza i rewolucjonisty. W końcu bowiem zdołaliśmy go nawrócić. Umysł miał świeży i giętki i wrodzone wysokie poczucie moralne. Po kilku miesiącach wysłaliśmy go konno, na jednym z ojcowskich wierzchowców, z boczem Sonomy do ujścia Petalomy, gdzie umieściliśmy go w małej łodzi rybackiej. Dalej zaś eta parni, rzemiennym dyszlem, przemyciliśmy go naszymi tajnymi szlakami aż do kryjówki w Karmelu.

Tam przebywał osiem miesięcy, po czym aż z dwóch powodów zdecydował się z nami pozostać. Po pierwsze zakochał się w Annie Royston, a po wtóre stał się jednym z nas. Dopiero gdy upewnił się ostatecznie, że jego uczucie nie może liczyć na żadną wzajemność, zgodził się zastosować do naszych życzeń i wrócił do ojca. Pozornie aż do śmierci był oligarchą, w rzeczywistości należał do najwartościowszych z naszych agentów. Raz po raz Żelazną Stopę zawodziły podejmowane przeciwko nam plany i operacje. Oligarchowie zachodzili w głowę, nie mieli bowiem pojęcia, ilu naszych agentów było w ich własnym gronie. Młody Wickson zachował aż do końca pełną lojalność dla sprawy. I nawet jego śmierć była właściwie skutkiem jego całkowitego oddania. W czasie pamiętnej burzy 1927 roku wziął udział w zebraniu naszych przywódców i dostał zapalenia płuc, na które niebawem umarł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

BESTIA RYCZĄCA W OTCHŁANI

W czasie naszego długiego pobytu w kryjówce pozostawaliśmy w ścisłej łączności z wydarzeniami na świecie i gruntownie badaliśmy siłę oligarchii, z którą prowadziliśmy wojnę. Z powodu zjawisk okresu przejściowego stopniowo wyłaniały się określone kształty nowych instytucji i przybierały cechy trwałości. Oligarchom udało się zorganizować maszynę rządową, ogromną i zawiłą, a jednak funkcjonującą mimo naszych wysiłków, aby ją zagwoździć i zahamować.

Dla wielu rewolucjonistów było to niespodzianką. Nie myśleli, że jest to możliwe. A jednak kraj zaczął pracować. Ludzie trudzili się na polach i w kopalniach, choć teraz byli już tylko niewolnikami. A przemysły . kluczowe po prostu rozkwitały. Członkowie wielkich kast robotniczych byli zadowoleni i pracowali wesoło. Po raz pierwszy w życiu zaznali teraz spokoju. Nie gnębiła ich myśl o kryzysie, strajkach i lokautach, nie mieli piętna przynależności związkowej. Mieszkali w wygodnych domach i pięknych miastach dla nich zbudowanych — cudownych w porównaniu z dzielnicami nędzy, jakie dawniej zajmowali. Odżywiali się dobrze, mieli krótszy czas pracy, a dłuższe urlopy i znacznie więcej zainteresowań, rozrywek i przyjemności. O swoich zaś mniej szczęśliwych braci i siostry, o wyrobników wyzutych z przywilejów, o lud zagnany w przepaść nie troszczyli się wcale. Nadciągał wiek egoizmu.

Co prawda obraz ten nie we wszystkich szczegółach jest ścisły. Wśród kast robotniczych mnóstwo było naszych agentów — ludzi, których oczy widziały znacznie więcej niż potrzeby brzucha, widziały promienny kształt wolności i braterstwa.

W tym także czasie ukształtowała się i sprawnie działała potężna organizacja Najemników. Powstała ona z dawnej armii regularnej i liczyła obecnie około miliona ludzi, nie mówiąc już o wojskach kolonialnych. Najemnicy tworzyli jakby państwo w państwie. Mieli własne miasta, w których rządzili się sarni, i korzystali z licznych przywilejów. Oni właśnie zużywali poważną część kolosalnej gospodarczej nadwyżki. Zerwali wszelką styczność i więź uczuciową z resztą narodu, toteż rozwinęła się w nich odrębna moralność i świadomość klasowa. Ale i pośród nich mieliśmy również tysiące agentów.

Sami oligarchowie ulegali teraz niezwykłej i, trzeba to przyznać, nieoczekiwanej przemianie. Jako klasa narzucili sobie surową dyscyplinę. Każdy z nich miał wyznaczoną pracę i pracę tę musiał wykonać. Nie było już złotej młodzieży, bogatej i próżnującej. Energię młodych użyto dla wzmocnienia sił oligarchii. Służyli w wojsku jako dowódcy i w przemyśle na czołowych stanowiskach. Niektórzy poświęcili się wiedzy stosowanej i wydali z siebie znakomitych techników. Inni znów zajmowali przeróżne stanowiska w olbrzymiej maszynie rządowej i w koloniach, a dziesiątki tysięcy wstąpiły do licznych gałęzi wywiadu. Jeszcze inni zajęli się sztuką, literaturą, nauką, weszli w skład duchowieństwa i nauczycielstwa. A w każdej z tych dziedzin odgrywali doniosłą rolę w kształtowaniu umysłowości narodu w sposób sprzyjający utrwaleniu się oligarchii na zawsze.

Uczono ich, a potem oni uczyli z kolei, że wszystko, co robią, jest słuszne. Od chwili gdy jako, dzieci zaczęli patrzeć na świat, wpajano w nich ideę arystokracji. Wpajano tak uporczywie, że wreszcie stawał się kością z ich kości i krwią z ich krwi. Uważali siebie za poskramiaczy zwierząt, władców dzikich bestii. Głęboko pod ich stopami rozlegały się zawsze głuche odgłosy buntu.

Gwałtowna śmierć wiecznie na nich czyhała. W każdym zaś strzale, każdym rzuceniu bomby czy uderzeniu noża upatrywali przejawy miotania się bestii ryczącej w otchłani. Bestii, którą muszą poskromić, jeśli ludzkość ma trwać. Uważali siebie za zbawców ludzkości, bohaterów poświęcających się dla najwyższego dobra.

Jako klasa wierzyli, że oni tylko podtrzymują cywilizację. W ich pojęciu, gdyby kiedykolwiek osłabli, bestia pochłonęłaby ich, a wraz z nimi wszystko, co piękne, radosne i dobre, zginęłoby w jej przepastnych, obmierzłych wnętrznościach. Gdyby ich nie stało, przyszłyby rządy anarchii, a ludzkość zapadłaby się na powrót w mrok przedwieczny, z którego wyłoniła się z takim trudem. Już jako dzieci wciąż mieli przed oczyma straszliwy obraz anarchii. Potem zaś opętani wychodowanym w nich strachem, sami z kolei ukazywali ten obraz swoim potomkom. Należało wiecznie przygniatać łeb bestii i na tym polegał najszczytniejszy obowiązek arystokraty. Słowem, oni jedynie, przez swój bezustanny wysiłek i poświęcenie, stali pomiędzy słabą ludzkością a nienasyconą bestią. Wierzyli w to, wierzyli głęboko.

Nie podobna dość silnie podkreślić tej wysokiej moralności u całej klasy oligarchów. Ona stanowiła o sile żdeelaznej Stopy i aż zbyt wielu naszych towarzyszy nie chciało lub nie mogło tego zrozumieć. Wielu przypisywało siłę Żelaznej Stopy systemowi nagrody i kary. Był to błąd. Niebo i piekło mogą być główną pobudką gorliwości religijnej jakiegoś fanatyka. Dla olbrzymiej większości ludzi religijnych jednak niebo i piekło mają znaczenie wtórne w porównaniu z dobrem i złem. Umiłowanie, upragnienie dobra, niezadowolenie ze wszystkiego, co nim nie jest, słowem — słuszne postępowanie jest podstawową pobudką religijną. I tak samo było z oligarchią. Więzienia, zesłania i ucisk, a z drugiej strony zaszczyty, pałace i cudowne miasta — wszystko to ma znaczenie wtórne. Potęga oligarchów płynie z ich wiary, że postępują dobrze. Nieważne tu są wyjątki, nieważny nawet ucisk i krzywda, z których zrodziła się Żelazna Stopa. Wszystko to prawda. Lecz istotne jest, że siła oligarchii leży w głębokim jej przeświadczeniu o własnej słuszności.

Zresztą w ciągu tych strasznych dwudziestu lat siła Rewolucji nie polegała na niczym innym, jak właśnie na poczuciu słuszności. Nie podobna inaczej wytłumaczyć ogromu męczeństwa i ofiar. Tylko z najgłębszego poczucia słuszności Rudolf Mendenhall spalił się cały dla Sprawy i wyśpiewał swoją przedziwną łabędzią pieśń w ostatnią noc życia. Tylko dlatego Hurlbert umarł w torturach, do końca nie chcąc zdradzić swych towarzyszy. Tylko dlatego Anna Royston wyrzekła się szczęścia macierzyństwa. I tylko dlatego John Carlson był bezinteresownym i wiernym strażnikiem kryjówki w Glen Ellen. Przepytajmy wszystkich rewolucjonistów, młodych i starych, mężczyzn i kobiety, geniuszy i tępaków, na szczytach społeczeństwa lub w jego dołach, a przekonamy się, że głównym motorem ich działań było wielkie, nienasycone pragnienie dobra.

Odbiegłam jednak od mojej opowieści. I Ernest, i ja przed opuszczeniem kryjówki dobrze już rozumieliśmy, jak bardzo wzrosła potęga Żelaznej Stopy. Kasty robotnicze. Najemnicy i niezliczone hordy agentów i policjantów wszelkiego rodzaju, zaprzędane były oligarchii. A pomijając utratę wolności, na ogół działo się im lepiej niż poprzednio. Jednocześnie zaś olbrzymie, bezbronne masy ludności — lud otchłani — popadały w coraz głębszą apatię i tępe godzenie się ze swą nędzą. Ilekroć wśród tej masy wyłaniały się silne postacie proletariuszy, oligarchowie przeciągali ich na swoją stronę zapewniając lepsze warunki przez zaliczenie do kast robotniczych albo do Najemników. Tak uciszano niezadowolonych, a proletariat pozbawiano naturalnych jego przywódców.

Warunki, w jakich żyli ludzie otchłani, były okropne. Nauczanie powszechne zniesiono, pozbawieni więc byli oświaty. Żyli jak zwierzęta w ogromnych gettach robotniczych, wydani na nędzę, nieopisany brud i poniżenie. Wyzuto ich z wszystkich dawnych swobód. Byli niewolniczą siłą roboczą. Nie mieli prawa wyboru pracy. Nie mieli też prawa zmiany miejsca pobytu ani noszenia i

posiadania broni. Nie byli niewolnikami ziemi jak farmerzy. Byli niewolnikami maszyn i wyznaczonej im pracy. Gdy wyłaniały się szczególne potrzeby, jak budowa autostrad czy linii lotniczych, kanałów, tuneli, kolei podziemnych lub fortyfikacji, zarządzano pobór w gettach robotniczych i nie pytając o zgodę, wywożono dziesiątki tysięcy niewolników do miejsca ich nowej pracy. Całe ich armie trudy się teraz przy wznoszeniu miasta Ardis, wtłoczone do nędznych baraków, gdzie życie rodzinne nie może istnieć i panuje tępe zezwierzę. Prawdą jest, że getta robotnicze są otchłanią, w której rozlega się ryk dzikiej bestii, budzącej nieopisany strach wśród oligarchów. Ale ta bestia jest ich własnym dziełem — sami w niej hodują najgorsze instynkty.

Właśnie ostatnio rozeszła się pogłoska o zarządzaniu nowego poboru dla budowy Asgardu, miasta, które kiedyś zaćmić ma nawet wspaniałości Ardis. My, rewolucjoniści, ukończymy te wielkie budowy, lecz nie rękoma nieszczęsnych niewolników. Gmachy, ulice i parki tych pięknych miast powstaną przy dźwiękach pieśni, a ich cuda wyrastać będą nie z jęków i przekleństw, ale z muzyki i radości.

Ernest pragnął wrócić do świata i bezpośredniego działania. Szybko bowiem już dojrzewało nieszczęsne nasze Pierwsze Powstanie, tragicznie zdławione w Komunie Chicagoskiej! Potrafił jednak uzbroić się w cierpliwość. I przez cały czas próby, kiedy Hadly, specjalnie w tym celu sprowadzony z Illinois, przerabiał go na innego człowieka, Ernest układał wielkie plany zorganizowania wykształconego proletariatu i utrzymania wśród ludu otchłani przynajmniej pierwocin oświaty — oczywiście w wypadku, gdyby Pierwsze Powstanie zakończyło się niepowodzeniem.

Kryjówkę opuściliśmy dopiero w styczniu 1917 roku. Wszystko było przygotowane. Objęliśmy zaraz posady prowokatorów w siatce Żelaznej Stopy. Występowałam jako siostra Ernesta. Posady zawdzięczaliśmy oligarchom, którzy byli zarazem naszymi towarzyszami, a zajmowali wysokie stanowiska. Mieliśmy też wszelkie potrzebne dokumenty i z każdego szczegółu przeszłości mogliśmy się dokładnie wyliczyć. Przy odpowiednim poparciu nie było to wcale trudne, w widmowym bowiem świecie wywiadu tożsamość była czymś mgławicowym. Agenci zjawiali się i znikali jak duchy, otrzymywali rozkazy, wykonywali zadania, tropili ślady i składali raporty przełożonym, których często nigdy nie widzieli; lub też współpracowali z innymi agentami, z którymi nigdy nie zetknęli się przedtem i nie mieli zetknąć się później.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

KOMUNA CHICAGOSKA

Jako prowokatorzy mogliśmy nie tylko dużo podróżować, ale już z samego charakteru naszej pracy nawiązać kontakt z proletariatem i towarzyszami w służbie Rewolucji. W ten sposób należeliśmy jednocześnie do obydwu obozów, pozornie służąc Żelaznej Stopie, a potajemnie pracując z całej mocy dla Sprawy. W najrozmaitszych wywiadach oligarchii było nas bardzo wielu i mimo licznych czystek i reorganizacji tajnej służby oligarchowie nigdy nie zdołali wszystkich nas usunąć.

Ernest odegrał główną rolę w planowaniu Pierwszego Powstania, którego datę wyznaczono na wiosnę 1918 roku. Ale jeszcze jesienią 1917 nie byliśmy gotowi. Wiele bardzo zostawało nam do zrobienia i gdy Powstanie wybuchło przedwcześnie, siłą rzeczy skazane było na klęskę. Cały plan z konieczności był niezmiernie skomplikowany i przedwczesny wybuch musiał go zniszczyć. Żelazna Stopa przewidywała to z góry i na tym właśnie oparła swoje zamysły.

Postanowiliśmy, że pierwszy nasz cios uderzy w system nerwowy oligarchii. Zapamiętała ona lekcję strajku powszechnego i zabezpieczyła się przed sabotażem telegrafistów, budując stacje radiowe kierowane przez Najemników. My z kolei zamierzaliśmy udaremnić to posunięcie. Na dany znak wyjść mieli w całym kraju z kryjówek, miast i robotniczych baraków oddani towarzysze i wysadzić radiostacje w powietrze. Tak więc pierwsze już uderzenie miał zwalić Żelazną Stopę na ziemię i pozbawić środków łączności.

A w tym samym czasie inni towarzysze mieli wysadzić tunele i mosty i zdeorganizować całą sieć kolejową. Jeszcze inni, na ten sam sygnał, mieli porwać dowódców policji i Najemników, jak również wszystkich tych oligarchów, którzy wyróżniali się zdolnościami lub zajmowali stanowiska naczelne. I tak, choć niewątpliwie trzeba byłoby stoczyć szereg miejscowych bitew po całym kraju, nieprzyjaciel walczyłby pozbawiony przywódców.

Wiele innych rzeczy miało się jeszcze wydarzyć na dany przez nas znak. Patrioci w Kanadzie i Meksyku, znacznie silniejsi, aniżeli sądziła Żelazna Stopa, mieli naśladować naszą taktykę. Ponadto liczne towarzyski (kobiety, gdyż mężczyźni zajęci będą gdzie indziej) miały rozrzucić proklamacje odbite w tajnych drukarniach. Ci z nas, którzy zajmowali wyższe stanowiska w służbie Żelaznej Stopy, mieli niezwłocznie wywołać całkowity zamęt we wszystkich urzędach. Wśród Najemników mieliśmy tysiące towarzyszy. Ich zadaniem było wysadzić w powietrze składy i zniszczyć delikatną aparaturę całej maszyny wojennej. A miasta Najemników i kast robotniczych miały ulec podobnemu zniszczeniu.

Słowem, za jednym zamachem chcieliśmy wymierzyć nagły, potężny i miażdżący cios. Zanim sparaliżowana oligarchia zdążyłaby odzyskać przytomność, nastalby jej koniec. Zdawaliśmy sobie sprawę, że, oznacza to straszne chwile i wielkie straty ludzkie, lecz żaden rewolucjonista nie waha się w takich razach. Przeznaczaliśmy rolę nawet niezorganizowanemu ludowi otchłani. Mieliśmy go rozpętać i wypuścić na pałace i miasta władców. Nikt nie liczył się z utratą życia i zniszczeniem - własności. Niech rycząca bestia wyjdzie z otchłani, a policja i Najemnicy niech zabijają. Rycząca bestia i tak wyszłaby z otchłani, a policja i Najemnicy i tak by zabijali. W ostatecznym wyniku różne grożące nam niebezpieczeństwa niweczyłyby się nawzajem, a w tym samym czasie moglibyśmy wykonać bez większych przeszkód własne zadania i ująć w ręce cały mechanizm społeczeństwa.

Taki był nasz plan, którego wszystkie szczegóły musieliśmy wypracować w zupełnej tajemnicy, a w miarę jak zbliżała się data realizacji, zapoznawać z nim coraz więcej towarzyszy. W owym rozszerzaniu się kręgu wtajemniczonych leżało główne niebezpieczeństwo. Nie doszło jednak do ujawnienia spisku tą drogą. Żelazna Stopa dzięki swoim szpiegom wyczuła nadciągające Powstanie i postanowiła udzielić nam nowej a krwawej nauki. Na miejsce tej lekcji wybrano Chicago, najbardziej oddane nam miasto, a lekcja była straszliwa.

Chicago najwcześniej dojrzało do rewolucji. Od dawna już zwano je miastem krwi, a teraz miało ponownie zasłużyć na ten przydomek. Duch rewolucyjny był tam bardzo silny. Zbyt wiele strajków rozbili tam kapitaliści, aby robotnicy mogli zapomnieć i przebaczyć. Nastroje powstańcze ożywiały nawet kasty robotnicze. Przechowały one wspomnienie ofiar padłych w poprzednich strajkach. I mimo zmienionych a korzystnych warunków nie wygasła w nich nienawiść dla klasy rządzącej. Owe nastroje udzieliły się i Najemnikom, których trzy pułki gotowe były przejść w zwartym szyku na naszą stronę.

Chicago zawsze było najburzliwszym ośrodkiem zmagania między światem pracy i kapitalistami, miastem walk ulicznych i gwałtownej śmierci. Uświadomieni klasowo i zorganizowani robotnicy stawiali tu czoła świadomym klasowo i zorganizowanym kapitalistom. Niegdyś nawet nauczyciele tworzyli tu związki zawodowe, razem z murarzami i pomocnikami murarskimi, wchodzące do Amerykańskiej Federacji Pracy. Chicago też stało się głównym ośrodkiem przedwczesnego Pierwszego Powstania.

Wybuch przyspieszyła Żelazna Stopa. Uczyniła to bardzo zręcznie. Całą ludność, nie wyłączając uprzywilejowanych kast robotniczych, poddano reżimowi okrucieństw i prowokacji. Łamano układy i zobowiązania, a za choćby najmniejsze wykroczenie stosowano drakońskie kary. Nad ludem otchłani znęcano się tak długo, aż wyrwał się ze zwykłej apatii. Żelazna Stopa świadomie pragnęła sprowokować bestię do ryku. A jednocześnie przejawiała niezwykle lekceważenie najprostszych środków ostrożności w Chicago. Liczne pułki Najemników wycofano z miasta i rozproszono po kraju, a wśród pozostałych wyraźnie rozluźniono dyscyplinę.

Wszystko to razem nie zabrało zbyt wiele czasu — najwyżej kilka tygodni. Do sztabu Rewolucji dochodziły niejasne pogłoski o biegu wypadków, ale brak nam było dostatecznych danych, by je zrozumieć. W naszym przekonaniu był to samorzutny odruch nastrojów rewolucyjnych, które należało umiejętnie utrzymać w korbach. Nikomu nie przychodziło na myśl, że jest to wynik świadomego działania. A plany działania opracowywano w największym sekrecie i w najtajniejszym kręgu Żelaznej Stopy. Do nas jednak fakty te nie dotarły. Kонтrewolucja była niewątpliwie świetnie pomyślana i świetnie przeprowadzona.

Byłam w Nowym Jorku, kiedy otrzymałam rozkaz natychmiastowego udania się do Chicago. Człowiek, który mi go doręczył, był jednym z oligarchów. Rozpoznałam to z jego sposobu mówienia, choć nie znałam jego nazwiska i nie widziałam twarzy. Instrukcje były tak jasne, że mylić się nie mogłam. Odczytałam wyraźnie między wierszami, że nasz spisek został odkryty, a przeciwnik z kolei nas podminował. Wybuch czekał tylko na podpalenie lontu. Uczynić to mieli znajdujący się już na miejscu lub wysyłani pośpiesznie niezliczeni agenci Żelaznej Stopy, w tej liczbie i ja. Pochlebiam sobie, że zdołałam zachować zimną krew pod przenikliwym wzrokiem oligarchy. Ale serce biło mi nieprzytomnie. Omal nie krzyknęłam i nie rzuciłam mu się do gardła, gdy chłodnym, opanowanym tonem udzielał mi wskazówek.

Skoro tylko odszedł, obliczyłam się z czasem. W najlepszym razie zostało mi parę minut zaledwie, aby przed odejściem pociągu porozumieć się z kimś z miejscowych naszych przywódców. Pilnie bacząc, czy nie jestem śledzona, popędziłam do szpitala urazowego. Miałam szczęście, bo

udało mi się natychmiast zobaczyć naczelnego chirurga, towarzysza Gaivina. Z trudem chwytając oddech chciałam mu powtórzyć nowinę, ale przerwał mi z miejsca.

— Już wiem — powiedział spokojnie, choć jego irlandzkie oczy płonęły. — Wiem, z czym przychodzisz. Dowiedziałem się przed kwadransem i już przekazałem wiadomość. Uczynimy tu wszystko, aby towarzysze zachowali spokój. Chicago musi być poświęcone, ale tylko Chicago.

— Czy próbowałaś zawiadomić Chicago? Potrząsnął głową.

— Nie ma żadnych połączeń telegraficznych. Chicago jest odcięte. Będzie tam piekło.

Urwał, ale widziałam, jak jego dłonie zaciskają się w pięści. Wreszcie wybuchnął:

— Do licha! Chciałbym tam teraz być!

— Jest jeszcze nadzieja, że to się uda powstrzymać — odparłam — jeśli z pociągiem nic się nie stanie i znajdę się tam na czas. Albo też jeśli inni towarzysze z naszego wywiadu znają już prawdę i nie przybędą za późno.

— A wy, prowadzący wywiad w ich naczelnej komórce — powiedział — daliście się tym razem zaskoczyć.

Pochyliłam głowę ze wstydem.

— Trzymali to w najgłębszej tajemnicy — wyjaśniłam. — Tylko najwyżsi przywódcy oligarchów wiedzieli o tym do dziś. A tak wysoko jeszcze nie dosięgliśmy, więc nic dziwnego, że nikt z nas o tym nie wiedział. Ach, gdyby Ernest był tutaj.

Może zresztą jest już w Chicago i opanował sytuację.

Doktor Galvin pokręcił głową.

— Z ostatnich wiadomości, jakie o nim miałem, wynika, że wysłano go do Bostonu czy też New Haven. Praca dla nieprzyjacielskiego wywiadu musi mu bardzo utrudniać poruszanie się. Ale z dwojga złego lepsze to niż czekanie w kryjówce.

Zaczęłam się żegnać, Galvin mocno uściśnął mi dłoń.

— Trzymaj się i nie trać otuchy — rzekł odprowadzając mnie do drzwi. — Cóż z tego, jeśli nawet przegramy Pierwsze Powstanie? Nastąpi po nim drugie, a wtedy Będziemy mądrzejsi. Nie wiem, czy jeszcze się kiedy zobaczymy, ale jedno ci mogę powiedzieć. Choć będzie tam piekło, dałbym dziesięć lat życia za możliwość zamiany z tobą i wyjazdu. Do widzenia i wszystkiego dobrego.

„Dwudziesty Wiek” odszedł z Nowego Jorku o szóstej wieczór i miał być w Chicago nazajutrz o siódmej rano. Ale tej nocy spóźnił się z powodu innego pociągu idącego przed nami. Wśród podróżnych w moim wagonie był towarzysz Hartman, podobnie jak ja zatrudniony w wywiadzie Żelaznej Stopy. On właśnie powiedział mi o pociągu idącym bezpośrednio przed nami. Był to pociąg taki sam jak nasz, tylko pusty. Chodziło o to, aby w razie zamachu na „Dwudziesty Wiek” tamten skład uległ katastrofie. Zresztą i w naszym pociągu pasażerów było niewiele — w moim wagonie jechało trzynastu.

— Z pewnością wiozą jakieś ważne figury — wywnioskował Hartman. — Widziałem za nami prywatną salonkę.

Noc zapadła, kiedy mieliśmy pierwszą zmianę lokomotywy. Wyszłam na peron, aby odetchnąć świeżym powietrzem i wypatrzeć, co się da. Przez okna salonki zobaczyłam sylwetki trzech mężczyzn, których zdołałam rozpoznać. Hartman miał rację. Jednym z podróżnych był generał Altendorff, a dwaj pozostali, Mason i Vanderbold, stanowili mózg najtajniejszej komórki wywiadu oligarchii.

Noc była cicha i księżycowa. Ja jednak nie mogłam usnąć i przewracałam się niespokojnie z boku na bok. O piątej rano wstałam i ubrałam się.

W ubieralni zagadnęłam służącą, jakie mamy opóźnienie. Powiedziała, że dwie godziny. Służąca

była Mulatką. Spostrzegłam w jej twarzy wyraz przerażenia, oczy podkrążone głęboko i szeroko otwarte jakby pod wpływem niesamowitego lęku.

— Co się stało? — spytałam.

— Nic, proszę pani. Po prostu źle jakoś spałam. Przyjrzałam się jej uważniej i na próbę podałam jeden z naszych umownych znaków. Odparła podobnie i upewniłam się, że należy do nas.

— Jakież straszne rzeczy szykują się w Chicago — powiedziała. — Przed nami jedzie ten cały pusty pociąg i pociągi z wojskiem. Będziemy bardzo opóźnieni.

— Pociągi z wojskiem? Skinęła głową.

— Tak, mijaliśmy je przez całą noc. Linia jest nimi zatłoczona. A wszystkie idą w stronę Chicago. Żołnierzy przewożą tu samolotami. To znaczy, że musi się coś stać. Narzeczony mój jest w Chicago — dodała tonem usprawiedliwienia. — Jest po naszej stronie, ale służy w Najemnikach. Bardzo się boję o niego.

Biedaczka nie wiedziała, że jej narzeczony był w jednym z trzech pułków, które miały przejść na naszą stronę.

Razem z Hartmanem poszłam na śniadanie do wagonu restauracyjnego i zmusiłam się do jedzenia. Chmury pokryły niebo i pociąg pędził jak ciemna błyskawica poprzez bladą szarość wstającego dnia. Usługujący nam w wozie Murzyni wiedzieli, że zanoszą się na coś straszliwego. Padł na nich cień wielkiego przygnębienia, wrodzona im beztroska znikła. Byli roztargnieni, powolni w ruchach i wciąż posępnie szeptali między sobą w końcu wagonu przyległym do kuchni. Hartman nie miał złudzeń.

— Cóż my możemy poradzić? — powtarzał raz po raz i beznadziejnym gestem wzruszał ramionami. — To widać — mówił wskazując za okno — wszystko już jest gotowe. Niewątpliwie trzymają je tak w odległości trzydziestu czy czterdziestu mil od miasta na każdej linii.

Miał na myśli transporty wojskowe stojące na bocznych torach.

Żołnierze przygotowywali sobie posiłki na ogniskach rozłożonych wzdłuż torów i popatrywali z zaciekawieniem na pędzący jak piorun pociąg, który mijał ich ani trochę nie zwalniając biegu.

Kiedy wjeżdżaliśmy do Chicago, panował tam całkowity spokój. Najwidoczniej nic się jeszcze nie stało. Na jednym z dworców podmiejskich przyniesiono nam poranne gazety. Nic właściwie nie zawierały. A jednak można z nich było wiele wyczytać, jeśli było się biegłym w czytaniu między wierszami tekstu przeznaczonego dla zwykłego odbiorcy. W zredagowaniu każdej informacji czuło się wprawna rękę Żelaznej Stopy. Pełno było napomknien o słabych punktach w pancerzu oligarchii. Oczywiście nie było w tym wszystkim nic wyraźnego. Chodziło o to, aby czytelnik sam się domyślił tych słabych punktów. Rzecz została zręcznie zrobiona. Pod tym kątem widzenia poranne gazety z 27 października stanowiły wprost arcydzieło.

Brakło w nich wiadomości miejscowych. Już to samo było mistrzowskim pociągnięciem. Spowiło Chicago mgłą tajemnicy podsuwając przeciętnemu obywatelowi myśl, że oligarchia nie śmie ich ogłaszać. Czyniono też fałszywe, rzecz jasna, aluzje do rzekomych zamieszek w całym kraju. Aluzjom tym nadano postać napomknien o przygotowaniu różnych zarządzeń karnych. Były też wzmianki o wysadzeniu w powietrze szeregu radiostacji, przy czym za wykrycie sprawców obiecywano wysokie nagrody. W rzeczywistości żadna radiostacja nie wyleciała w powietrze. Gazety donosiły ponadto o wielu podobnych zdarzeniach pokrywających się z planem rewolucji. W umysłach naszych towarzyszy w Chicago miało to wywołać przeświadczenie, że ogólne powstanie już się zaczyna, choć początek ów jest pod wielu względami rażąco inny, niż przewidywał plan. Istotnie też ktoś odcięty od właściwych informacji musiał, w sposób mglisty, lecz niewątpliwy, nabrać pewności, że cały kraj dojrzał do wybuchającego powstania.

Prasa podawała, że dezercje wśród Najemników w Kalifornii stały się tak liczne, iż trzeba było rozwiązać całkowicie sześć pułków, których żołnierzy razem z rodzinami wygnano z ich miasta i zapędzono do gett robotniczych. A naprawdę Najemnicy kalifornijscy tworzyli najwierniejsze pułki oligarchii! Ale skąd miano o tym wiedzieć w odciętym od reszty świata Chicago? Był wreszcie jakiś strzęp depeszy podającej opis rozruchów w Nowym Jorku, w których obok zwykłej ludności wzięły udział i kasty robotnicze. Depesza kończyła się zapewnieniem (tak ujętym, aby każdy wziął je za blagę), że wojsko opanowało sytuację.

To samo, co z pomocą dzienników porannych, zrobili oligarchowie także i na tysiąc innych sposobów. Później dowiedzieliśmy się na przykład o wysłaniu poufnych doniesień w takiej formie i w tym celu, aby dotarły do uszu rewolucjonistów. Nadawano je raz po raz telegraficznie prawie aż do świtu.

— Żelazna Stopa nie będzie chyba potrzebowała naszych usług — rzekł Hartman odkładając gazetę w chwili, gdy pociąg zajeżdżał na dworzec główny. — Całkiem niepotrzebnie nas tutaj wysłali. Ich plany rozwinęły się najwidoczniej lepiej, niż sami oczekiwali. Teraz już tylko patrzeć, a rozpęta się piekło.

Wysiadając odwrócił się i przyjrzał pociągowi.

— Spodziewałem się tego — mruknął. — Odczepili salonkę, kiedy przyniesiono gazety.

Hartman był straszliwie zgnębiony. Usiłowałam dodać mu otuchy, ale nie zważał na moje starania i nagle, zniżając głos, zaczął mówić z wielkim pośpiechem. Przechodziliśmy halę dworcową i w pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi.

— Nie byłem zupełnie pewien — mówił — więc nie powiedziałem nikomu. Pracowałem nad tym już od tygodni, ale nie mogłem zdobyć pewności. Trzeba koniecznie uważać na Knowltona. Mocno go podejrzewam. Zna tajemnicę bardzo wielu naszych kryjówek, ma w swoim ręku życie setek naszych ludzi, a myślę, że jest zdrajcą. Właściwie jest to raczej moje odczucie niż coś określonego. Ale mam wrażenie, że od pewnego czasu zauważyłem w nim jakąś zmianę. Obawiam się, że albo nas już sprzedał, albo zrobi to lada dzień. Mógłbym prawie dać głowę za to. Nie zdradziłbym się przed nikim z moimi podejrzeniami, gdyby nie to, że nie spodziewam się wrócić żywy z Chicago. Trzeba koniecznie uważać na Knowltona. Nie spuszczać go z oczu. Wyśledzić, co w tym się kryje. Nie wiem o nim nic określonego. To tylko wyczucie, jak dotąd nie trafiłem na żadną poszlakę. — Byliśmy już za dworcem, na chodniku. — Ale powtarzam — zakończył z powagą — pilnujcie Knowltona.

Hartman miał rację. Zanim upłynął miesiąc, Knowlton życiem przyplacił swą zradę. Został skazany i stracony przez towarzyszy z Milwaukee.

Na ulicach panowała cisza, niepokojąca cisza. Miasto było jakby wymarłe. Zamilkł zwykły hałas i zgiełk. Nie było nawet taksówek. Nie chodziły tramwaje ani kolejka napowietrzna. Z rzadką widziało się samotnych przechodniów. Nie wyszli jednak na spacer. Spieszyli w bardzo określonych kierunkach, choć ruchy ich miały dziwną niepewność, jakby się obawiali, że nagle runą na nich budynki albo chodniki rozstąpią się pod nimi czy też uniosą w powietrze. Jedyne ulicznicy kręcili się tu i tam, z błyskiem w oku wyczekując niezwykłych a wstrząsających wydarzeń.

Nagle gdzieś z daleka od strony dzielnicy południowej dotarł do naszych uszu głuchy odgłos wybuchu. To było wszystko. Cisza wróciła, choć ulicznicy, poderwani odgłosem, nasłuchiwali niczym młode jelonki. Bramy domów były pozamykane, a w sklepach opuszczono żaluzje. Wszędzie tylko widniały wzmocnione posterunki policji i raz po raz szybko przemykały samochodowe patrole Najemników.-

Doszliśmy z Hartmanem do wniosku, że nie miałyby celu zgłaszać się do miejscowych

kierowników wywiadu. Byliśmy przekonani, że ze względu na późniejsze wypadki brak naszego zgłoszenia będzie usprawiedliwiony. Poszliśmy więc w kierunku wielkiego getta robotniczego w dzielnicy południowej żywiąc nadzieję nawiązania kontaktu z towarzyszami. Za późno! Wiedzieliśmy o tym. Nie mogliśmy jednak zostać bezczynni i bierna wśród tych wymarłych, milczących ulic. Zastanawiałam się, gdzie mógł być teraz Ernest. Co dzieje się w miastach kast robotniczych, w miastach Najemników i fortcach?

Jakby w odpowiedzi rozległ się straszliwy, przeciągły huk stłumiony przez odległość; huk powtarzających się jeden po drugim wybuchów.

— To w fortecy — rzekł Hartman. — Boże zmiłuj się nad tymi trzema pułkami!

Znalazłszy się na skrzyżowaniu, zobaczyliśmy w stronie wielkich rzeźni olbrzymi słup dymu. Gdy doszliśmy do następnego skrzyżowania, podobne słupy dymu wznosiły się do nieba od strony dzielnic zachodnich. Nad miastem Najemników zawisł na uwięzi wielki balon, który w naszych oczach rozerwał się i opadł w płomieniach na ziemię. Ta tragedia w powietrzu była dla nas zagadką. Nie wiedzieliśmy, czy balonem kierują towarzysze czy też wrogowie. Uszu naszych dobiegły dziwne odgłosy, jakby gdzieś bardzo daleko kipiał ogromny kocioł. Hartman powiedział, że to strzały z broni maszynowej.

Lecz tu, gdzie byliśmy, nic się nie działo i szliśmy wśród całkowitej ciszy. Krążyła tylko policja i patrole samochodowe, a raz przemknął sznur wozów strażackich widocznie wracających od jakiegoś pożaru. Przejeżdżający samochodem oficer zapytał o coś strażaków i usłyszeliśmy, jak odkrzyknęli „Nie ma wody! Wysadzili w powietrze główny rurociąg!”

— Odcieśliśmy im zaopatrzenie w wodę! — zawołał Hartman podniecony. — Jeżeli potrafimy aż tyle zrobić w akcji przedwczesnej, poronionej, odosobnionej, to co dopiero będzie, kiedy podejmiemy zgodny i jednoczesny wysiłek w całym kraju!

Samochód z oficerem, który dopiero co zadał pytanie, ruszył naprzód. Naraz rozległ się ogłuszający huk. Maszyna, razem ze swoim żywym ładunkiem, w kłębach dymu uniosła się w górę, a potem opadła jako bezkształtna masa metalu i ciał ludzkich.

Hartman płonął zachwytem.

— Dobra nasza! — powtarzał ciągle szeptem. — Proletariat bierze dzisiaj cięgi, ale i sam je rozdaje.

Policja pędziła zewsząd na miejsce katastrofy. Nadszedł także drugi patrol samochodowy. Co do mnie, byłam zupełnie oszołomiona. Nagłość i szybkość wypadku nie pozwalały zrozumieć, jak to się stało, choć byłam obok i widziałam całe zajście. Byłam tak oszołomiona, że prawie nie zdawałam sobie sprawy z faktu, iż zatrzymała nas policja. Wyrwał mnie z osłupienia dopiero widok policjanta celującego w Hartmana. Hartman jednak zachował zimną krew i podał właściwe hasło. Ręka z rewolwerem zawahała się, a następnie opadła. Równocześnie usłyszałam zachrypy z wściekłości głoś policjanta. Przeklinał na czym świat stoi i całą swą złość wylewał na wywiad. „Zawsze ta sama historia!” — powtarzał, podczas gdy Hartman z dumą, jak przystało agentowi, wykazywał mu nieudolność policji.

Po chwili wiedziałam już, jak się to stało. Szczątki samochodu otoczyła spora grupa ludzi. Dwaj z nich wzięli na ręce ciężko rannego oficera chcąc go przenieść do drugiego wozu. Wtem wszystkich ogarnęła panika. Rozbiegli się w różne strony gnani strachem i pędzili na oślep. Rannego zostawili na ziemi. Rozwścieczony policjant biegł razem z innymi, podobnie jak Hartman i ja. Opętani nieprzytomnym przerażeniem uciekaliśmy nie wiedząc wcale dlaczego, byle tylko znaleźć się jak najdalej od tego okropnego miejsca.

Nic właściwie wtedy się nie stało, ale wszystko się wyjaśniło. Uciekający wracali teraz niczym

stado owiec, ale ich wzrok wciąż kierował się z niepokojem na wysokie, wielookienne budynki wznoszące się jak ściany wąwozu z obu stron ulicy. Bombę rzucono z jednego z tych niezliczonych okien. Ale z którego? Nie było drugiej bomby, był tylko śmiertelny strach przed nią.

Pełni domysłów i zrozumienia przyjrzelśmy się oknom. Za każdym z nich mogła czaić się śmierć. Każdy budynek mógł stanowić zasadzkę. Tak wyglądała wojna w nowoczesnej dżungli wielkiego miasta. Ogromne gmachy były łańcuchem górskim, sieć ulic tworzyła wąwozy. Mało zmieniliśmy się od czasu naszych jaskiniowych przodków, mimo że dokoła sunęły samochody pancerne.

Na którymś zakręcie zobaczyliśmy ciało kobiety. Leżała w poprzek chodnika w kałuży krwi. Hartman pochylił się, aby sprawdzić, co się jej stało. Mną widok ten wstrząsnął do samej głębi. Wielu zabitych miałam zobaczyć jeszcze tegoż dnia; ale całe pobojowisko, w jakie zamieniło się miasto, nie wywarło na mnie tak okropnego wrażenia, jak owe pierwsze zwłoki leżące u mych stóp, porzucone samotnie na pustym chodniku. „Strzał w piersi” — rzekł Hartman. Pod pachą zabitej była paczka ulotek, którą przyciskała ramieniem jak dziecko. Nawet w tej chwili jakby nie chciała rozstać się z tym, co było przyczyną jej śmierci. Gdy Hartman zdołał wreszcie wydobyć ulotki, przekonaliśmy się, że zawierają proklamację rewolucyjną.

— Towarzyszka! — szepnęłam.

W odpowiedzi Hartman mruknął tylko przekleństwo pod adresem Żelaznej Stopy. Poszliśmy dalej. Policja i patrole zatrzymywały nas często, ale dzięki znanym nam hasłom mogliśmy iść bez przeszkód. Z okien nie spadała już ani jedna (bomba, z ulic znikli ostatni przechodnie i otaczająca nas cisza była coraz większa. Tylko z oddali dochodziło wrzenie olbrzymiego kotła i głuchy łoskot wybuchów. A ku niebu coraz wymowniej wznosiły się czarne słupy dymu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

LUD OTCHŁANI

Nagle wszystko zmieniło swój wygląd. Powietrze przeszył jakby prąd elektryczny. Samochody mijały nas całymi grupami, a siedzący w nich ludzie krzyczeli ostrzegawczo. Jeden z wozów, nie zmniejszając szybkości, zaczął zygzakować na jezdni i zaraz po tym wybuch bomby wyrył o staję za nim ogromny lej w bruku. Zobaczyliśmy, jak policjanci biegiem znikli w bocznych ulicach i wiedzieliśmy, że nadciąga coś straszliwego. Słysząc było odgłos rosnący jak grzmot.

— Nasi towarzysze idą — rzekł Hartman.

Dojrzeliliśmy już czoło kolumny wypełniającej całą szerokość ulicy. Pędem przemknął ostatni samochód pancerny i przystanął na chwilę tuż przy nas. Wskoczył z niego żołnierz ostrożnie niosąc coś w ręku. Z tą samą ostrożnością umieścił to coś w rynsztoku i wskoczył z powrotem do wozu. Wóz ruszył pełnym gazem, skręcił na rogu i znikł nam z oczu. Hartman podbiegł i pochylił się nad ściekiem.

— Nie podchodzić! — zawołał.

Zobaczyłam, że szybko i sprawnie robi coś przy nieznanym przedmiocie. Kiedy wrócił do mnie, czoło miał złane potem.

— Rozładowałem w samą porę — powiedział. — Żołnierz niezdarnie to zrobił. Przygotował bombę dla naszych towarzyszy, ale nie nastawił na odpowiedni czas. Wybuchłaby za wcześnie. A teraz nie wybuchnie wcale.

Wypadki toczyły się teraz z zawrotną szybkością. Po drugiej stronie ulicy, nieco na ukos, zobaczyłam głowy wyglądające z wysokich pięter budynku. Ledwo zdążyłam pokazać je Hartmanowi, gdy fala ognia i dymu zaalała budynek, a powietrzem wstrząsnął huk wybuchu. W kamiennej fasadzie gmachu powstały wyrwy i widać było jego żelazny szkielet. W następnej chwili podobne fale ognia i dymu ogarnęły budynek leżący na wprost tamtego. W przerwie między jednym a drugim wybuchem słysząc było strzały kulomiotów. Ta bitwa w powietrzu trwała jakiś czas, po czym wygasła. Łatwo było się domyślić, że nasi towarzysze są w jednym gmachu, a Najemnicy w drugim i strzelają do siebie przez ulicę. Nie mogliśmy jednak rozróżnić, kto jaki budynek zajmuje.

Tymczasem na ulicy czoło kolumny już prawie się z nami zrównało. W chwili gdy znalazło się przed walczącymi ze sobą budynkami, obydwie wznowiły akcję. Jeden gmach rzucał bomby na ulicę, a drugi atakował go z naprzeciwka. Obecnie wiedzieliśmy już, w którym są nasi towarzysze. Zasługa ich była wielka, gdyż chronili idących ulicą od bomb nieprzyjaciela.

Wtem Hartman chwycił mnie za ramię i pociągnął do najbliższej bramy.

— To nie nasi towarzysze — krzyknął mi do ucha.

Brama była zamknięta i zabarykadowana od wewnątrz. Nie mieliśmy gdzie się ukryć. W następnej sekundzie minęło nas czoło kolumny. Nie była to zresztą maszerująca kolumna, ale zdziczały tłum. Potworna rzeka wypełniająca ulicę, lud otchłani oszalały z pijaństwa i nienawiści, który poderwał się wreszcie spragniony krwi swoich panów. Zetknęłam się już poprzednio z ludem otchłani, byłam w jego gettach i myślałam, że znam go dość dobrze. Teraz jednak pojęłam, że widzę go po raz pierwszy. Znikła tępa apatia. Lud otchłani zmienił się w żywioł. Był to widok wspaniały i groźny. Przed moimi oczyma płynęła fala za falą ludzi ryczących i wyjąjących z gniewu, zdziczałych, opitych alkoholem z rozgrabionych składów, opitych nienawiścią, opitych żądzą krwi. Mężczyźni, kobiety i dzieci w łachmanach, o twarzach, z których znikły wszelkie cechy ludzkie, w których

malowały się tylko zacięte zwierzęce instynkty. Małpy i tygrysy, bezkrwiste gruźlicze widma i ciężkie włochate zwierzęta pociągowe; szare twarze, z których społeczeństwo jak wampir wyssało wszystkie żywotne soki, obrzękłe, pokraczne, zwyrodniałe postacie, wyschłe jędze, szkielety o brodach patriarchów, gnijąca młodość i ropiejąca starość, twarze szatańsko pokracznych, ohydnych, nieszczęsnych potworów, zzartych przez choroby i straszne skutki ciągłego głodowania — .szumowiny, odpadki życia, oszalała, wyjąca, miotająca się, piekielna horda.

Zresztą nie mogło być inaczej. Lud otchłani nie miał nic do stracenia prócz życia w nędzy i bólu. A wygrać też nic nie mógł poza jednym, okropnym i ostatecznym zachłyśnięciem się zemstą. Gdy patrzyłam na nich, uderzyła mnie myśl, że wśród tej rozszalałej rzeki ludzkiej lawy znajdują się towarzysze, którzy bohatersko podjęli zadanie wydzwignięcia bestii z otchłani i rzucenia jej przeciw naszemu wspólnemu wrogowi.

Pod wpływem tej myśli stało się ze mną coś dziwnego. Uległam zupełnemu przeistoczeniu. Opuścił mnie strach przed śmiercią, strach o siebie i innych. Czułam się dziwnie uniesiona, czułam się jakby inną istotą na innym świecie. Cokolwiek się miało zdarzyć, było bez znaczenia. Sprawa tym razem mogła być przegrana, lecz powróci jutro. Równie świeża i równie paląca. Odtąd, wśród orgii i grozy, jaka rozszalała się w następnych godzinach, potrafiłam zachować pełen zainteresowania spokój. Śmierć nic nie znaczyła, jak nic nie znaczyło życie. Byłam widzem, z zaciekawieniem oglądającym zdarzenia i czasem brałam w nich udział pod naporem fali. Ale umysł mój wzniósł się w zimne, nadgwiezdne wyżyny i beznamiętnie dokonywał przewartościowywania wszelkich wartości. Gdyby nie to, z pewnością bym zginęła.

Znaczna część tłumu już się przesunęła, kiedy nas odkryto. Jakaś kobieta w nieprawdopodobnych łachmanach, o policzkach zapadłych i wąskich czarnych oczach, płonących i przenikliwych, dostrzegła Hartmana i mnie. Wydała przeraźliwy okrzyk i przypadła do nas. Część tłumu oderwała się od płynącej fali i rzuciła za nią. Teraz jeszcze, gdy piszę te słowa, widzę siwe włosy kobiety rozwichrzone w beładne kosmyki, krew cienką smugą płynącą jej z czoła, z ukrytej pod kosmykami rany; widzę siekierę w jej prawym ręku i palce lewej ręki, chudej i pomarszczonej, jak kurczowo zaciskają się w powietrzu niczym żółte szpony. Hartman skoczył, by zasłonić mnie sobą. Nie było czasu na żadne wyjaśnienia. Byliśmy dobrze ubrani i to wystarczyło. Hartman wymierzył cios pięścią, uderzając kobietę pomiędzy płonące oczy. To odrzuciło ją w tył. Ale odbiła się o napierający za nią mur ludzki i skoczyła znów naprzód, osłabła i oszołomiona. Jej siekiera opadła bezsilnie na ramię Hartmana.

W następnej chwili utraciłam świadomość tego, co się dzieje. Tłum przewrócił mnie i wszystko dokoła wypełniło się orgią wrzasków, jęków i przekleństw. Ciosy padały na mnie jak grad. Czyjeś ręce szarpały i darły moją odzież i ciało. Czułam, że mnie rozdzierają na części. Przygnieciona do ziemi zaczęłam się dusić. Jakaś silna ręka chwyciła moje ramię jak w kleszcze i wściekle szarpała. Z bólu i braku tchu zemdlałam. Hartman nie wydostał się już z owej bramy. Zasłonił mnie i przyjął na siebie pierwszy rozmach ataku. Dzięki temu zdołałam ocaleć, gdyż tłok stał się tak wielki, że nikt już nie wiedział, co robi. Tylko ręce miotają się w obłądnych skurczach.

Ocknęłam się pchana jakimś rozszalałym naporem. Ten sam napór tłoczył wszystko dokoła. Zagarnęła mnie jakaś straszliwa powódź i niosła mnie nie wiadomo dokąd. Na policzku czułam świeży powiew, płuca wciągały go łapczywie. Ledwo żywa i w pół przytomna, mgliście tylko zdałam sobie sprawę, że czyjeś mocne ramię opasało mnie, podtrzymuje i ciągnie naprzód. Własne nogi z trudem mnie unosiły. Tuż przed sobą widziałam plecy mężczyzny w płaszczu rozdartym na całą długość. Rozdarcie zsuwało się i rozsuwało w rytm jego kroków. Widok, ten zajął mnie na dłuższą chwilę, nim odzyskałam całkowicie przytomność. Wtedy poczułam ból policzków i nosa i ciepło

krwi zalewającej twarz. Nie miałam kapelusza, włosy opadły mi w nieładzie, a ból w tyle głowy przypomniiał rękę szarpiącą mnie za włosy podczas szamotania w bramie. Ramiona i piersi miałam posiniaczone, bolały przy każdym ruchu.

Gdy przyszedłam bardziej do siebie, spojrzałam, nie zaprzestając biegu, na mężczyznę, który mnie podtrzymywał. To on właśnie wyciągnął mnie z bramy i ocalił. Teraz dostrzegł mój ruch.

— W porządku! — krzyknął zachrypłym głosem. — Poznałem panią od razu.

Nadal nie wiedziałam, kim jest mój zbawca. Zanim jednak mogłam się odezwać, stąpnęłam na coś żywego, co drgnęło pod moimi nogami. Idący za mną pchnęli mnie naprzód tak, że nie miałam czasu nic zobaczyć. Wiedziałałam jednak, że była to kobieta, która upadła i teraz tysiące nóg wgniatało ją w chodnik.

— W porządku — powtórzył mój towarzysz. — Jestem Garthwaite.

Miał brodę, był wychudzony i brudny. Ale zdołałam przypomnieć sobie w nim nieustraszonego młodzieńca, który przed trzema laty przebywał kilka miesięcy w naszej kryjówce pod Glen Ellen. Zrobił znak tajnej służby Żelaznej Stopy na dowód, że on również do niej się zalicza.

— Wydobędę stąd panią, jak tylko nadarzy się okazja — oświadczył. — Ale proszę uważać na kroki. Pod groźbą śmierci nie wolno się potknąć i upaść.

Wszystko tego dnia działo się nagle i tłum także zatrzymał się z przerażającą gwałtownością. Zderzyłam się z jakąś dużą kobietą, która szła przede mną (mężczyzna w rozdartym płaszczu tymczasem znikł), ci zaś, którzy szli z tyłu, wpadli gwałtownie na mnie. Rozpętało się piekło krzyków, przekleństw i jęków konających. A ponad nami rozległ się trzask kulomiotów i gwizdanie kul. W pierwszej chwili nie mogłam nic zrozumieć. Ludzie padali koło mnie na prawo i lewo. Kobieta przede mną zgięła się we dwoje i padła z rękoma kurczowo splecionymi na brzuchu. U moich nóg jakiś mężczyzna rzucał się w przedśmiertnych, drgawkach.

W tym właśnie momencie zorientowałam się, że jesteśmy na czole kolumny. Połowa jej znikła — sama nie wiem kiedy i jak. Po dziś dzień nie mam pojęcia, co się stało z tą półmilową rzeką ludzką — czy za jednym zamachem zmiotło ją jakieś straszne narzędzie wojny, czy rozproszyła się i została zniszczona grupami, czy też ludzie ci zdołali uciec. Dość, że tworzyliśmy teraz czoło kolumny, nie zaś jej środek i sypał się na nas grad świszczącego ołowiu.

Gdy śmierć przeredziła nieco tłum, Garthwaite, wciąż mocno ściskając mi ramię, skierował potok tych, co jeszcze żyli, do bramy jakiegoś gmachu. Brama jednak była zamknięta, a zewsząd parła na nas masa nieprzytomnie tłoczących się ludzi. Trwaliśmy tak jakiś czas bez żadnej widocznej zmiany, położenia.

— Ładnie to urządziłem — lamentował Garthwaite. — Wciągnąłem panią prosto w pułapkę. Na ulicy były jakieś, choć słabe, nadzieje. Tu — żadnych. Tu nie zostało nam nic oprócz krzyku. Niech żyje Rewolucja!

Wtedy przyszło to, czego się spodziewał. Najemnicy zabijali nie oszczędzając nikogo. Z początku nacisk tłumy omal nas nie zmiążdżył. Stopniowo jednak zelżał, w miarę jak zabici i konający padali na ziemię. Garthwaite przyłożył usta do mego ucha i coś wykrzykiwał, ale wśród strasznej wrzawy nie mogłam go dosłyszeć. Nie czekając odpowiedzi, obalił mnie na ziemię, nakrył ciałem umierającej kobiety, a wreszcie z wielkim trudem sam wczołgał się pod spód i częściowo okrył mnie sobą. Wokół rosnać zaczął stos trupów, a na jego powierzchni miotały się obłędnie resztki żyjących. Ale i ci wkrótce znieruchomieli. Zapadła cisza, przerywana jedynie jękami i chrapliwym rżeniem konających.

Zostałabym zaduszona, gdyby nie Garthwaite. Zdawało się zupełnym niepodobieństwem, abym mogła wytrzymać przygniatający mnie ciężar i żyć. A jednak poza bólem odczuwałam tylko

ciekawość. Jak to wszystko się skończy? Jaka właściwie jest śmierć? Był to mój krwawy chrzest na pobojowisku w Chicago. Przedtem śmierć istniała dla mnie wyłącznie w teorii. Odtąd zaś stała się faktem tak prostym i łatwym, że aż nieważnym.

Najemnicy nie zadowolili się tym, co do tej pory działali. Wkroczyli do bramy dobijając rannych i wyszukując żywych, którzy jak my ukryli się wśród trupów. Pamiętam, jak spod stosu wyciągnęli człowieka, który korząc się błagał o życie, dopóki strzał z rewolweru nie uciął tych próśb. Z innego znów zwału trupów poderwała się nagle kobieta krzycząc i strzelając. Zanim ją wykończyli, wystrzeliła sześć razy, choć nie wiem z jakim skutkiem. Przebieg tych tragedii mogliśmy śledzić tylko z odgłosów. Następowaly jedna po drugiej, a kresem każdej był strzał z rewolweru. W przerwach słyszeliśmy rozmowy i przekleństwa żołnierzy, którzy grzebali wśród trupów popędzani przez oficerów.

W końcu podeszli do naszego stosu i czuliśmy, że ucisk słabnie, w miarę jak odciągają zabitych i rannych. Garthwaite zaczął głośno podawać znak rozpoznawczy. Ale tamci widać go nie słyszeli. Wtedy zaczął krzyczeć co tchu w piersiach.

— Słuchajcie — doszedł nas głos jednego z żołnierzy. A zaraz potem jakiś oficer rozkazał ostro: „Uważać tam. Przeszukiwać ostrożnie!”

Ach, co za uczucie, gdy wreszcie nas wyciągnęli i można było zaczerpnąć powietrza! Z początku mówił tylko Garthwaite. Potem jednak i mnie poddano krótkiemu przesłuchaniu: musiałam wykazać, że jestem w służbie Żelaznej Stopy.

— W porządku, prowokatorzy — orzekł oficer. Był to gołowąs, świeżo wypuszczony ze szkoły i najwyraźniej należał do jakiejś wybitnej rodziny oligarchów.

— Diabelna robota — utyskiwał Garthwaite. — Postaram się o zwolnienie i pójdę do wojska. Wy przynajmniej macie coś z tego.

— Zasłużył pan sobie na zmianę — odparł młody oficer. — Mam trochę chodów i zobaczę, co będzie można zrobić. Powiem, w jakich warunkach tutaj was znalazłem.

Zapisał nazwisko i numer Garthwaite'a, po czym zwrócił się do mnie.

— A pani?

— O, ja wychodzę za mąż — odrzekłam beztróska — a wtedy nie będę miała z tym wszystkim nic wspólnego.

Podczas naszej rozmowy dobijanie rannych trwało dalej. Dziś, gdy o tym wspominam, wydaje mi się to tylko snem. Wtedy jednak było najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Garthwaite i młody oficer z ożywieniem roztrząsali różnice między tak zwaną wojną współczesną a przebiegiem obecnych walk ulicznych i bitew toczonych po całym mieście z okien drapaczy chmur. Słuchałam ich z uwagą, poprawiając jednocześnie włosy i usiłując doprowadzić jakoś do ładu podartą suknię. A rannych wciąż dobijano. Chwilami strzały rewolwerowe zagłuszały rozmowę Garthwaite'a i oficera, którzy musieli powtarzać wypowiedziane dopiero co słowa.

Przeżyłam trzy dni Komuny Chicagoskiej. O jej skali i o rozmiarach rzezi pewne pojęcie dać może fakt, że przez cały ten czas nie widziałam nic poza mordowaniem ludu otchłani i walką napowietrzną między drapaczami chmur. Nie udało mi się zobaczyć bohaterskiego dzieła naszych towarzyszy. Słyszałam tylko wybuchy bomb, jakie rzucali, i min podłożonych przez nich oraz widziałam dym wznieconych przez nich pożarów. Zdołałam też ujrzeć z daleka jeden z ich wielkich czynów: atak balonów na fortece. Było to drugiego dnia Komuny. Trzy zbuntowane pułki zostały wybite w fortecach do ostatniego żołnierza. Fortece były pełne Najemników, wiatr wiał w odpowiednim kierunku i z wielkiego gmachu biurowego wzniosły się nasze balony.

Tu muszę dodać, że Biedenbach po opuszczeniu Glen Ellen wynalazł niesłychanie potężny środek

wybuchowy — „ekspedyt”, jak go nazwał. Tej właśnie broni użyły balony. Napełniono je po prostu rozgrzanym powietrzem i choć wykonane były naprędce i nieudolnie, jakoś funkcjonowały. Widziałam ich lot z dachu drapacza. Pierwszy nie trafił nad fortecę, gdyż wiatr zniósł go daleko poza miasto i później dopiero dowiedzieliśmy się o jego losie. Załogę stanowili Burton i O'Sullivan. W chwili opadania balonu znaleźli się nad pociągiem wojskowym pędzącym pełną parą w stronę Chicago i cały zapas ekspedytu zrzucili na lokomotywę. Wybuch uniemożliwił ruch na tej Linii na szereg dni. Najlepsze zaś było to, że balon, wyzbywszy się ładunku ekspedytu, wzniósł się ponownie w powietrze i opadł kilka mil dalej, przy czym obydwaj bohaterowie wyszli z tej wyprawy bez szwanku.

Następny lot też się nie powiódł. Balon nie zdołał się wznieść na odpowiednią wysokość i podziurawiony kulami spadł, zanim dosięgnął fortecy. Lecieli w nim Herford i Guinness, a wybuch, jaki nastąpił, rozszarpał ich na strzępy i wyrwał lej w polu, na które spadli. Biedenbach — jak nam później mówiono — był w zupełnej rozpaczce i sam jeden wsiadł do trzeciego balonu. Ten leciał również nisko, ale miał szczęście, gdyż nieprzyjaciel nie zdołał mu przebić powłoki. Jeszcze dziś mam go w oczach, jak wtedy, gdy stałam na dachu — napełniony powietrzem worek pływający w górze i drobną figurkę ludzką uczepioną u dołu. Nie mogłam dojrzeć fortecy, lecz ci, co stali ze mną, twierdzili, że Biedenbach jest tuż nad nią. Nie widziałam także, jak zrzucił ekspedyt, ale spostrzegłam, jak w pewnej chwili balon nagle wzbił się pod niebo. Minęło sporo czasu, zanim ujrzeliśmy wielki słup dymu wznoszący się w górę, a zaraz potem doszedł nas huk wybuchu. Łagodny Biedenbach zniszczył jeden z fortów. W tym samym czasie ruszyły do ataku jeszcze dwa balony. Jeden, trafiony pociskiem, rozpadł się w powietrzu, a spowodowana tym eksplozja ekspedytu uszkodziła drugi balon, który jednak spadł prosto na następną fortecę. Nie można było tego lepiej zrobić, choć dwóch towarzyszy przypłaciło to życiem.

Wracam jednak do ludu otchłani, zwłaszcza że zetknęłam się z nim tylko bezpośrednio. Szalał po całym mieście wyrzynając wszystkich i burząc wszystko, po czym sam został z kolei wybity w pień. Ani na chwilę jednak nie zdołał przedostać się do położonej na zachód dzielnicy oligarchów. Oligarchowie dobrze umieli zorganizować swoją ochronę. Nie bacząc na szalone zniszczenie centrum miasta, oni oraz ich kobiety i dzieci wyszli z walki nietknięci. Podobno podczas najzaciętszych bitew dzieci oligarchów bawiły się w parkach, a ich ulubioną zabawą było naśladowanie starszych — zabawa w tępienie proletariatu.

Najemnicy przekonali się wkrótce, że rozprawa z ludem otchłani jest rzeczą niełatwą, gdy równocześnie musieli bić się z naszymi towarzyszami. Chicago dotrzymało wierności swoim tradycjom; zginęło całe pokolenie rewolucjonistów, ale wraz z nim zginęło też pokolenie ich wrogów. Żelazna Stopa nie ujawniła, rzecz jasna, żadnych liczb, ale według bardzo nawet oględnych danych padło wówczas co najmniej sto trzydzieści tysięcy Najemników. Dla towarzyszy jednak nie było żadnej nadziei. Nie powstał za nimi cały kraj, walczyli samotnie i oligarchia mogła rzucić przeciwko nim wszystkie siły. Istotnie, co dzień i co godzinę szły bez końca do Chicago pociągi wojskowe zwożąc setki tysięcy Najemników.

Ale i ludu otchłani było nieskończone mnóstwo I Mając już dość ciągłego zabijania, żołnierze spędzali nieszczęsnych w ogromne stada chcąc ich wegnać jak bydło w jezioro Michigan. Właśnie w momencie, gdy powstał ten plan, Garthwaite i ja spotkaliśmy młodego oficera (w pierwszym dniu walk). Ów plan masowego zatopienia ludzi nie powiódł się właściwie, a to dzięki wspaniałej akcji naszych towarzyszy. Wbrew oczekiwaniom, że utopią miliony, Najemnicy zdołali wpędzić do jeziora najwyżej czterdzieści tysięcy ofiar. Gdy tylko bowiem jakąś część tłumu mieli już w rękę i pędzili ulicami w stronę wody, towarzysze organizowali dywersję, a tłum wymykał się poprzez dziurę w

zagarniającej go sieci.

Widzieliśmy z Garthwaite'em taki wypadek wkrótce po spotkaniu młodego oficera. Kolumna, której częścią byliśmy niedawno, musiała się cofać pod naporem wojska, ale nie mogła się cofać na wschód ani południe, gdyż zagradzały jej drogę inne silne oddziały wojskowe. Wojsko, z którym się zderzyła, nie pozwalało jej przedostać się na zachód. Jedyna wolna droga prowadziła na północ, w kierunku jeziora. Tam też posuwał się tłum pod ogniem broni maszynowej napierających oddziałów. Czy odgadł, że pędzą go do jeziora, czy był to tylko ślepy odruch potwora — nie umiem powiedzieć. W każdym razie skręcił w bocznice na zachód, po czym jeszcze raz skręcił i wrócił do miejsca, skąd ruszył, kierując się na południe w stronę wielkiego getta.

Garthwaite i ja usiłowaliśmy w tym czasie przedostać się na zachód, by się wydobyć z terenu walk ulicznych, ale zostaliśmy wciągnięci w sam ich środek. Dochodząc do (rogu ujrzelśmy, jak tłum z rykiem pędzi na nas. Garthwaite chwycił mnie za rękę i zaczęliśmy właśnie uciekać, gdy nagle pociągnął mnie w bok, niemal spod kół kolumny samochodów pancernych. Za kolumną pancerną szli żołnierze z bronią automatyczną. Zanim jednak zajęli pozycję, tłum już ich ogarnął i wyglądało na to, że ulegną prawie bez wystrzału.

Tu i ówdzie jakiś żołnierz strzelał w pojedynkę, lecz taki przygodny ogień nie mógł powstrzymać tłumy: parł naprzód, rycząc z wściekłości. Nie można też było widocznie otworzyć ognia z kulomiotów. Wozy, na których się znajdowały, zablokowały ulicę zmuszając żołnierzy do rozmieszczenia się na chodnikach i wokół pancerek. Przybywało coraz więcej żołnierzy, tłok rósł i nie mogliśmy się w żaden sposób wymknąć. Garthwaite wciąż mnie prowadził, aż znaleźliśmy się przy samej ścianie jakiegoś budynku.

Tłum był już zaledwie o dwadzieścia pięć stóp, gdy kulomioty otworzyły ogień; ta ulewa śmierci kładła wszystko pokotem. Tłum naciskał, lecz nie mógł się posunąć. Olbrzymi stos zabitych i konających rósł z każdą minutą. Napierający z tyłu wbijali się wprost w stojące przed nimi szeregi. Potworna fala ludzka wyrzucała coraz więcej rannych mężczyzn i kobiet, a drgające ciała padały pod koła samochodów pod nogi żołnierzy. Wojsko bagnetami dobijało nieszczęśnych. Widziałam, jak jeden z nich zdołał stanąć na nogach i runął do gardła żołnierza szarpiąc go zębami. Padli obaj, żołnierz i niewolnik, tarzając się po ziemi.

Wreszcie ogień ustał. Zadanie było spełnione. Udaremniono zaciekle próby przedarcia się tłumy przez kolumny wojska. Rozległy się rozkazy, aby oczyścić teren dla wozów pancernych. Nie mogły się przedostać przez barykadę trupów, więc kazano skierować je w boczną ulicę. Żołnierze zaczęli odciągać ciała zabitych sprzed kół, gdy stała się rzecz niespodziana. Dopiero później dowiedzieliśmy się, jak się to stało.

O paręset kroków dalej grupa towarzyszy obsadziła jakiś budynek. Po dachach sąsiednich gmachów przedostali się aż do miejsca starcia i z góry patrzyli na zmasowanych żołnierzy. Wtedy nastąpił odwet.

Bez ostrzeżenia runęła na ulicę lawina bomb. Rozszarpały one na strzępy i wozy pancerne, i wielu żołnierzy. W szalonym popłochu zaczęliśmy uciekać z pozostałymi przy życiu. Lecz o sto kroków dalej z innego budynku otwarto na nas ogień. I tak jak przedtem żołnierze zasłali ulicę trupami niewolników, tak teraz sami z kolei padali pokotem. Garthwaite i ja ocaleliśmy, jakby chroniły nas czary. I znów jak poprzednio ukryliśmy się w bramie. Tym razem jednak Garthwaite czuwał. Gdy tylko ucichł huk bomb, wyjrzał na zewnątrz.

— Tłum wraca! — zawołał. — Musimy się stąd wydostać I Uciekaliśmy trzymając się za ręce i potykając na oślizłym,

zalany krwią chodniku. Dobrnęliśmy do rogu i w bocznej ulicy dostrzegliśmy kilku biegnących

żołnierzy. Nic im się nie stało, droga więc była wolna. Staaliśmy na chwilę, by spojrzeć za siebie. Tłum powoli się zbliżał. Po drodze zabierał broń padłych żołnierzy i dobijał rannych. Widzieliśmy koniec młodego oficera, który nas uratował: z wysiłkiem uniósł się w górę, oparł na łokciu i strzelił do siebie z rewolweru.

— Przepadły moje widoki awansu! — roześmiał się Garthwaite widząc, jak jakaś kobieta z nożem rzeźnickim w ręku rzuca się na rannego. — Chodźmy. Idziemy w złym kierunku, ale jakoś się "wydobędziemy".

Biegliśmy na wschód ulicami, gdzie na razie panował, spokój, lecz w każdej chwili mogło się zdarzyć coś nowego. Od południa olbrzymia łuna wypełniała niebo i wiedzieliśmy, że to pożar wielkiego getta. Wreszcie opadłam bezsilnie na chodnik. Byłam wyczerpana, nie mogłam już zrobić kroku. Całe ciało miałam posiniaczone i obolałe. Mimo to uśmiechnęłam się, gdy Garthwaite skręcając papierosa powiedział:

— Wiem, że chcąc panią ratować robię tylko bałagan, ale w żaden sposób nie mogę połapać się w sytuacji. Wszystko się pokręciło. Jak tylko próbujemy uciec gdzieś dalej, coś się zdarza i musimy zawracać. Jesteśmy teraz nie więcej jak paręset kroków od tamtej bramy, skąd panią wyciągnąłem. Wrogowie i przyjaciele mieszały się ze sobą zupełnie. To kompletny chaos. Nie sposób zgadnąć, kto siedzi w tych przeklętych budynkach. A jak się chce zobaczyć, to dostaje się bombą po głowie. Iść spokojnie także nie można, bo wpada się w tłum i dostaje kulą od żołnierzy. Albo wpada się między żołnierzy i dostaje kulą od własnych towarzyszy siedzących na dachu. A po tym wszystkim przychodzi tłum i także zabija.

Pokiwał smętnie głową, zapalił papierosa i usiadł koło mnie.

— W dodatku — mruknął — jestem tak głodny, że mógłbym gryźć kamienie.

Przy tych słowach poderwał się, skoczył na środek ulicy i wydłubał z bruku kamień. Wrócił trzymając go w ręku i cisnął nim w szybę wystawową sklepu.

— Parter i niewielka z tego pociecha — rzekł pomagając mi wejść przez wybitą dziurę — ale dobre i to. Pani się zdrzemnie, a ja pójdę na zwiady. Doprowadzę panią w miejsce bezpieczne, ale potrzeba mi na to czasu — mnóstwo czasu — i coś do jedzenia.

Sklep, w którym się znaleźliśmy, był sklepem siodlarza. Garthwaite urządził mi posłanie z derek końskich, które zaciągnął do biura właściciela za sklepem. Na swoje nieszczęście dostałam straszliwego bólu głowy, marzyłam więc o tym, aby przymknąć oczy i spróbować zasnąć.

— Wrócę niedługo — rzekł na pożegnanie. — Nie spodziewam się, że sprowadzę auto, ale na pewno znajdę jakieś jedzenie.

Zobaczyłam Garthwaite'a dopiero po trzech latach. Zamiast wrócić do mnie znalazł się w szpitalu z kulą w płucu i drugą, która utkwiała mu w karku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ZMORY

Poprzedniej nocy nie zmrużyłam oka w „Dwudziestym Wieku”. W dodatku byłam potwornie wyczerpana. Toteż teraz zasnęłam głęboko. Gdy obudziłam się, była noc Garthwaite nie wrócił. Zgubiłam zegarek i nie miałam pojęcia, która być może godzina. Leżałam z przymkniętymi oczyma, gdy usłyszałam znany mi głuchy odgłos dalekich wybuchów. Piekło szalało więc nadal. Dowlokłam się do wystawy. Łuny ogromnych pożarów sprawiały, że na ulicy było widno jak w dzień. Można było z łatwością czytać najdrobniejszy druk. Z odległości kilkuset jardów dochodził łoskot granatów ręcznych i trzask broni maszynowej. Dalej słychać było serie cięższych wybuchów. Zawlokłam się znowu na derki i zasnęłam.

Kiedy obudziłam się ponownie, z okna sączyło się mdłe, żółtawe światło. Był świt drugiego dnia. Podeszłam do szyby wystawowej. Całe niebo zasnuwał gęsty dym poprzebijany jęzorami ognia. Przeciwną stronę ulicy włókł się jakiś obszarpany niewolnik. Jedną rękę trzymał przyciśniętą do boku, a za sobą zostawiał krwawy ślad. Oczy miał rozbiegane, pełne lęku i grozy. Raz spojrzął wprost na mnie, a w jego twarzy odmalowało się nieme cierpienie rannego i ściganego zwierzęcia. Widział mnie, ale żadna łączność nie nawiązała się między nami. Z jego strony przynajmniej nie było ani współczucia, ani zrozumienia; zadrżał tylko ze strachu i powlókł się dalej. Na całym bożym świecie od nikogo nie oczekiwał pomocy. Był helotem wśród wielkich łowów, jakie panowie urządzali na helotów. Jedyne, czego szukał i ma co miał nadzieję, to nora, do której mógłby się wczołgać i ukryć w niej jak zwierzę. Przyśpieszył karoten, gdy usłyszał za rogiem sygnał przejeżdżającej karetki pogotowia. Pogotowie nie było dla takich jak on. Z bolesnym jękiem wpadł do najbliższej bramy. Po chwili wyszedł z niej i rozpaczliwie pokuszywał dalej.

Wróciłam na derki i jeszcze z godzinę czekałam na Garthwaite'a. Ból głowy nie ustawał. Przeciwnie, dokuczał mi coraz bardziej. Musiałam użyć całego wysiłku woli, by otworzyć oczy i spojrzeć na jakiś przedmiot. A każdemu otwarciu oczu i każdemu spojrzeniu towarzyszył nieznośny wprost ból. W mózgu czułam gwałtowne bicie puls. Niepewnym, zataczającym się krokiem podeszłam do rozbitej szyby i ruszyłam ulicą na oślep, instynktownie szukając ucieczki z tej strasznej dzielnicy. Odtąd żyłam w koszmarze. Wspomnienie tego, co stało się w następnych godzinach, jest wspomnieniem nie kończących się zmór. Wiele zdarzeń utrwaliło się ostro w mej pamięci. Ale wśród tych niezatartych obrazów znajduję ciemne i puste luki. Co zaszło w owych przerwach — nie wiem i nigdy wiedzieć nie będę.

Przypominam sobie, że na rogu potknęłam się o nogi jakiegoś człowieka. Był to ten sam ścigany nieszczęśnik, którego poprzedni widziałam przez okno. Wyraźnie pamiętam jego biedne, bezradne, gruzłowate dłonie leżące na chodniku — raczej łapy czy szpony niż ręce — pokręcone i zniekształcone od niezliczonych dni pracy, o skórze pełnej odcisków i grubej na pół cala. Podniosłam się i ruszyłam dalej. Przedtem jednak spojrzałam mu w twarz i przekonałam się, że jeszcze żyje, gdyż oczy jego, choć zamglone, patrzyły i widziały mnie.

A później przyszła dobrotliwa pustka. Nic nie wiedziałam, nic nie dostrzegałam i tylko wlokłam się w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca. Następną koszmarną wizją była cicha uliczka zmarłych. Trafiłam na nią niespodziewanie, jak wędrowiec trafia wśród pól na płynącą strugę. Tyle, że struga, którą ujrzałam, wcale nie płynęła. Zakrzepła w śmierci. Od muru do muru, pokrywając bruk i

chodniki, leżały równo poukładane zwłoki. Tylko tu i ówdzie wystawał większy zwal trupów. Nieszczęsny lud otchłani, ścigani heloci, leżeli tu. Niczym kalifornijskie króliki po odkróliczeniu. Spojrzałam w górę i w dół ulicy. Żadnego ruchu, żadnego odgłosu. Jedyne domy patrzyły z obu stron licznymi szybami na tę scenę. I tylko raz, jeden jedyny raz, zobaczyłam, że w tym potoku śmierci porusza się ręka. Przysięgam, że widziałam jej ruch, dziwny kurczowy ruch bolesnego skonania. A jednocześnie uniosła się głowa złana krwią, pełna niewymownej grozy, skinęła na mnie i zaraz opadła, aby już więcej nie drgnąć.

Pamiętam inną jeszcze ulicę, dwa rzędy spokojnych domów, i przerażenie, które mi przywróciło świadomość, gdy znów ujrzałam lud otchłani płynący na mnie jak rzeka. A potem zobaczyłam, że nie mam czego się bać. Rzeka płynęła wolno, a z jej głębi tryskały przekleństwa, krzyki, jęki i skargi, starcze mamrotania, histeria i obłęd. Byli to bowiem najmłodsi i najstarsi, słabi i chorzy, bezsilni i bezradni, wszystkie kaleki wielkiego getta. Pożar dzielnic południowych wygnał ich wprost w piekło walk ulicznych. Nie dowiedziałam się nigdy i dotąd nie wiem, gdzie się podziali i co się z nimi stało.

Pamiętam jak przez mgłę, że rozbiłam szybę i ukryłam się w sklepie, by uniknąć spotkania z tłumem ściganym przez żołnierzy. Kiedy indziej na cichej ulicy wybuchła koło mnie bomba, choć rozglądając się nie dostrzegłam nigdzie śladu ludzkiej istoty. Ostro natomiast wraził mi się w pamięć wystrzał, po którym nagle zrozumiałam, że strzela do mnie żołnierz stojący w samochodzie. Kula przeszła mimo, a w następnej chwili z krzykiem i gwałtownymi gestami podawałam hasło. Jak przez mgłę pamiętam jazdę tym samochodem, choć z tej jazdy wyłania mi się jeden bardzo jaskrawy obraz. Żołnierz siedzący koło mnie strzelił, a wtedy otworzyłam oczy i zobaczyłam George'a Milforda, którego znałam za naszych dni na Pell Street, jak zwolna opada na chodnik. Zanim jeszcze upadł, żołnierz strzelił ponownie. Milford zgiął się wpół, potem wyprostował i runął na wznak. Żołnierz zachichotał, a samochód przyspieszył biegu.

Później nie widziałam już nic. Z głębokiego snu obudziły mnie kroki człowieka chodzącego tam i z powrotem tuż przy mnie. Pot spływał mu z czoła wzdłuż twarzy bladej i wyczerpanej. Jedną ręką przyciskał drugą mocno do piersi, a przy każdym kroku krew kapłała na podłogę. Miał na sobie mundur Najemników. Z zewnątrz, jak gdyby tłumiony przez grube mury, dochodził głuchy huk wybuchających bomb. Byłam więc w jakimś budynku toczącym zaciętą walkę z innym budynkiem.

Wszedł chirurg, aby opatrzyć rannego, i dowiedziałam się, że jest godzina druga po południu. Głowa bolała mnie równie dotkliwie jak przedtem, chirurg więc przerwał na chwilę opatrunek i dał mi silne lekarstwo na wzmocnienie serca i uspokojenie nerwów. Zasnęłam znowu, a gdy się ocknęłam, byłam na dachu. Wokół nas walka ustała i mogłam z uwagą śledzić atak balonów na forty. Ktoś objął mnie ramieniem, a ja mocno się na nim wsparłam. Owym kimś był Ernest, co wydało mi się zupełnie naturalne. Dziwiło mnie tylko, dlaczego ma tak bardzo opalone włosy i brwi.

Jedyne szczęśliwy przypadek sprawił, że odnaleźliśmy się wśród całej grozy Chicago." Ernest nie miał pojęcia, że wyjechałam z Nowego Jorku, i kiedy wszedł do pokoju, gdzie spałam, w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć, że to jestem ja. Od naszego spotkania niewiele już widziałam z Komuny Chicagoskiej. Po przyjrzeniu się atakowi balonów Ernest zabrał mnie na dół i przespałam całe popołudnie i noc. Następny dzień spędziliśmy w budynku, a nazajutrz, czyli czwartego dnia Komuny, Ernest dostał od władz pozwolenie wyjazdu i samochód, po czym opuściliśmy miasto.

Ból głowy przeszedł, ale byłam rozbita na duszy i ciele. Pół leżąc w samochodzie, oparta o Ernesta, apatycznymi oczyma patrzyłam, jak żołnierze starają się wyprowadzić nasz wóz poza miasto. Walki toczyły się jeszcze, ale już tylko w odosobnionych miejscach. Tu i ówdzie całe bloki znajdowały się w ręku towarzyszy, ale otaczały je zwartym kręgiem silne oddziały wojska. Towarzysze byli w ten sposób zamknięci w setkach izolowanych pułapek, a dzieło przełamania

ich oporu posuwało się naprzód. Zaprzestanie oporu oznaczało tu śmierć, gdyż nie szczędzono *nikogo*. I towarzysze walczyli do ostatniego człowieka .

Ilekcroć zbliżaliśmy się do takiego punktu, posterunki wojskowe kazały nam zawracać i szukać objazdu. Za którymś razem okazało się, że aby wyminąć dwa silne umocnienia towarzyszy, trzeba przejechać wypaloną dzielnicę leżącą między nimi. Z obu stron dochodził zgiełk bitwy, a samochód przedzierał się przez dymiące zgliszcza i przemykał wzdłuż walących się ścian. Często ulicę zagradzały takie zwały gruzów, że należało się cofać. W tym labiryncie ruin można było posuwać się tylko bardzo powoli.

Dzielnica rzeźni (getto, same zakłady i cała reszta) przedstawiała jedno olbrzymie dymiące gruzowisko. Daleko po prawej ręce wielki obłok dymu przysłaniał niebo — przedmieście Pulmanowskie, jak nam wyjaśnił żołnierz-kierowca, czy raczej to, co było nim niegdyś, gdyż obecnie zostało całkowicie zniszczone. Kierowca jeździł tam poprzedniego dnia zawożąc rozkazy. Jak twierdził, był to teren najcięższych bodaj walk i wiele ulic było nie do przebycia z powodu stosów trupów.

Objężdżaliśmy właśnie rozbite mury jakiegoś budynku dzielnicy rzeźni, gdy nagle wielka fala zabitych zatrzymała samochód. Naprawdę wyglądało to niczym fala ciśnięta przez morze. Zrozumieliśmy zaraz, co się tutaj stało. Tłum wybiegł w pędzie spoza zakrętu, a wtedy ustawiona w poprzek ulicy broń maszynowa zwała go pokotem na ziemię. Lecz i żołnierzy spotkał taki sam los. Musiała spaść na nich jakaś przypadkowa bomba i tłum, powstrzymywany tak długo, aż z trupów i konających powstała wysoka fala, przelał się końcu poza nią i druga spieniona fala żywych niewolników runęła na żołnierzy niosąc im śmierć. Leżeli teraz jedni i drudzy straszliwie zmasakrowani, między szczątkami samochodów pancernych i brani.

Ernest wyskoczył z wozu. Dostrzegł z daleka znane mu dobrze przygięte ramiona, okryte perikalową koszulą, i kosmyk białych włosów. Nie wyjrzałam w ślad za nim i dopiero, gdy usiadł przy mnie i ruszyliśmy dalej, powiedział:

— To był biskup Morehouse.

Niebawem znaleźliśmy się wśród zamiejskiej zieleni. Odwróciłam głowę, by po raz ostatni spojrzeć na miasto. Niebo zasnuwał dym, z daleka usłyszałam stłumiony odgłos wybuchu. Wtedy ukryłam twarz na piersi Ernesta i rozpłakałam się na myśl o klęsce Sprawy. Ernest przytulił mnie serdecznie.

— Klęska tylko tym razem, kochanie — rzekł — ale nie na zawsze. Zdobyliśmy wiedzę. I jutro Sprawa stanie na nowo do walki, silniejsza doświadczeniem i jeszcze większą karnością.

Samochód zatrzymał się przy stacji kolejowej. Mieliśmy tu złapać pociąg do Nowego Jorku. Kiedy czekaliśmy na peronie, przemknęły jak błyskawica trzy pociągi pędzące w stronę Chicago. Wiozły obszarpany tłum wyrobników, ładunek lodu otchłani.

— Pobór niewolników dla odbudowy Chicago — powiedział Ernest. — Bo niewolnicy w Chicago zostali już wszyscy wybici.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

TERRORYŚCI

Wiele tygodni upłynęło od naszego powrotu do Nowego Jorku, zanim w pełni mogliśmy ocenić rozmiary klęski, jaka spotkała Sprawę, i ogarnąć grozę położenia. Krew lała się dalej. W wielu miejscowościach rozrzuconych po całym kraju wybuchły bunty niewolników, a po nich nastąpiły rzezie. Liczba męczenników bezustannie wzrastała. Wszędzie odbywały się niezliczone wprost egzekucje. Wyjęci spod prawa i zwykli uchodźcy chronili się w góry i na pustkowia, gdzie ścigano ich bezlitośnie. Nasze kryjówki zatłoczone były towarzyszami, na których głowy wyznaczono cenę. Wskutek informacji uzyskanych przez szpiegów część tych kryjówek wytropiły i rozgromiły wojska Żelaznej Stopy.

Mnóstwo towarzyszy upadło na duchu i z rozpaczy sięgnęło w odwet do taktyk terrorystycznych. Utrata nadziei skłoniła ich do rozpaczliwych i beznadziejnych kroków. Powstało dużo organizacji terrorystycznych nie związanych z nami, a sprawiających nam wiele kłopotu. Ci zbłąkani ludzie dobrowolnie składali w ofierze własne życie, lecz jednocześnie opóźniali naszą organizację i często sprawiali, że zawodziły nasze plany.

A wśród tego pobojuwiska kroczyła Żelazna Stopa, niewzruszenie, z rozmysłem przetrząsając wszystkie tkanki organizmu społecznego w poszukiwaniu rewolucjonistów. Robiła czystki wśród Najemników i kast robotniczych, w wywiadzie i jego tajnych służbach. Karała bez litości, ale na zimno. Znosiła w milczeniu zamachy odwetowe i bez zwłoki wypełniała wyrwy powstałe w jej szeregach. A jednocześnie Ernest i inni nasi przywódcy nie ustawali w pracy reorganizując armię Rewolucji. Rozmiary tego wysiłku pojąć można tylko, jeśli weźmie się pod uwagę.

Przygotowano na podstawie bookini.pl